

KNOW, ARTUR, SEWIN, SEIT, ENNE, GYNE, T  
G R A F I E H I S T O R I E



JAN KAROL CHODKIEWICZ

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
Nr. ....~~



## TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — KRAKÓW, 1908. (WYCZERPAŁE).

JOACHIM LELEWEL. — ZARYS BIOGRAFICZNY. 1786 — 1831.

WARSZAWA, 1918.

MAURZYCY MOCHNACKI. — ŻYWOT I DZIEŁA. WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA, 1922.

POLSKA NIEPODLEGŁA. — OPOWIADANIA Z DZIEJÓW POLSKI.

WARSZAWA, 1919.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO. — WYDANIE DRUGIE. WARSZAWA, 1922.

STEFAN BATORY. — WARSZAWA, 1922.

HETMAN ŻÓLKIEWSKI. — WARSZAWA, 1920.

KONSTITUCJA 3 MAJA. — WYDANIE TRZECIE. WARSZAWA, 1921.

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. — WYDANIE DRUGIE. 1920.

POWSTANIE LISTOPADOWE. — WYDANIE PIERWE. 1921.

POWSTANIE STYCZNIOWE. — WYDANIE DRUGIE. 1921.

---





JAN KAROL CHODKIEWICZ

ARTUR ŚLIWIŃSKI

# JAN KAROL CHODKIEWICZ

HETMAN WIELKI LITEWSKI

Z ILUSTRACJAMI, MAPĄ I PLANEM  
BITWY POD KIRCHOLMEM



~~Nr 1978~~



~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~

~~Nr .....  
1922~~

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE  
POZNAŃ — LWÓW — RÓWNE — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO





'Sliw  
Jan K. Chod  
~~#978~~

~~92+93(458)~~



92+943.8

SN 19 132



355(091).9205-0524/2] "15/16"



## PRZEDMOWA.

Dziesięcioletnie panowanie Stefana Batorego przywróciło Rzeczypospolitej zachwianą w oczach świata powagę. Wojowniczy król Stefan przekonał sąsiadów, że nie zardzewiał jeszcze miecz polski, że w narodzie, który za poprzedniego króla przywykł do pokoju, żywie duch rycerski i w walce z wrogami, jak dawniej święci wspinałe triumfy. Następcy swemu pozostawił Batory dzielne rycerstwo, opromienione chwałą odniesionych zwycięstw, pozostawił znakomitych wodzów i statystów, co wyszli z jego szkoły, a zdolni byli umysłem i ramieniem wspierać skutecznie najśmielsze przedsięwzięcia. Ponadto obok zaczątków ważnych reform, porządkujących ustrój wewnętrzny Rzeczypospolitej, pozostawił jeszcze po sobie ideę unji z Moskwą pod przewodnictwem Polski i olbrzymi plan wojny z potęgą turecką. Ta wojna miała wyzwolić ujarzmione przez sułtanów ludy, odwrócić grożące cywilizacji zachodniej niebezpieczeństwo i Rzeczpospolitą uczynić pierwszym w Europie mocarstwem.

Energiczna, przedsiębiorcza a samodzielna natura Batorego rwała się do czynów, co miały kształtować historję świata według nowych przeznaczeń.

Ale po śmierci króla Stefana zagasł na tronie polskim twórczy duch inicjatywy i zamarła wola, wydobywająca z narodu utajone siły. Nowy król, Zygmunt III Waza nie był zdolny wzbić się na szczyty, ku którym sięgał orli wzrok Batorego. A tymczasem wypadki sprzyjały najrozleglejszym planom i zamiarom. Zawierucha w carstwie moskiewskim oddawała dziedzictwo Iwana Groźnego w ręce Rzeczypospolitej. Wyzwoleńcze ruchy Węgrów i Czechów pozwalały Polsce rozciągnąć swój tradycyjny wpływ na oba kraje i obalić w nich panowanie zdradliwego cesarza. Otwierała się nadto perspektywa ścisłego ze Szwecją sojuszu, który mógł pomóc Rzeczypospolitej do odegrania wielkiej roli na wschodzie i północy Europy.

W takich warunkach nowy król mógł śmiało wykończyć gmach polskiej świetności i chwały.

Ale Zygmunt, utwierdziwszy się na tronie a ujawszy w swe ręce ster nawy państwowej, odwrócił się od zagadnień, które nurtowały umysł Batorego i z rozległych gościńców myśli politycznej zboczył na kręte ścieżki małych uprzedzeń i osobistych widoków. Ogół szlachecki, zawsze potrzebujący impulsu, by zdobyć się na ofiarność i poświęcenie, nie otrzymywał od nowego króla podniety. U szczytu i na dole zapanowała obojętność na zadania Rzeczypospolitej, jako siły samodzielnej na widowni świata. Zwężyły się dążenia, zacieśniły się widnokreśli. Wielcy ludzie, żyjący wielkimi ideami Batorego, poczuli się osamotnieni. Zygmunt III oddalał ich od siebie, krępował ich poczynania, a sam nie miał idei, któreby mogły porwać i zapalić wyższe umysły. Zmalał król, zmalał naród. A że król nie rozumiał narodu, a naród nie mógł pogodzić się z królem, więc musiało dojść

między nimi do starcia. Nagromadzona energia, niewyzyskana dla wielkich celów przez króla, przeciw królowi się zwróciła. Przyszło do walki wewnętrznej, której nie ożywiała idea przewodnia, a która wniosła do życia publicznego pierwiastki rozkładu, zarody przyszłych klęsk i nieszczęść.

A jak w życiu wewnętrznym, tak i w polityce zewnętrznej przestała działać wola, natchniona wielkością.

Błąd za błędem popełniał Zygmunt III.

Batory wyzwolił Polskę z pod przewagi zdradliwej polityki Habsburgów. Zygmunt, acz drogę do tronu polskiego, jak Batoremu zagradzała mu ta sama polityka, acz dopiero po zwycięstwie nad swym rywalem, arcyksięciem Maksymiljanem, mógł być pewien otrzymanej korony, stale dążył, nie dbając o przyszłość narodu, do najściślejszego z Wiedniem sojuszu. W roku 1613 zawarł traktat z cesarzem Maciejem, a później wspierał żarliwie cesarza Ferdynanda. Gdy do walki z jarzmem niemieckim porwali się Węgrzy, gdy książę siedmiogrodzki Betlen Gabor, zgromadziwszy liczne wojska, szedł zwycięsko naprzód i obległ stolicę cesarską, zdawać się mogło, że bije ostatnia godzina panowania cesarskiego nad dzielnym narodem. Iściły się marzenia Batorego: Polska i Węgry mogły być niebawem do wspólnych a wielkich zadań powołane. Ale następca króla Stefana podał rękę Ferdynandowi i w najkrytyczniejszej dla niego chwili rzucił na Węgry kilka tysięcy strasznych Lisowczyków. Drapieżne, nie zrównane w boju hufce przeszły Karpaty i jak lawina runęły na ziemię węgierską. Wódz Gabora, Stefan Rakoczy pobity został na głowę, a zwycięzcy, jak burza zniszczenia i śmierci wtargnęli do



Siedmiogrodu. Wojska węgierskie na skutek tego najazdu zmuszone były zaniechać oblężenia. Wiedeń był ocalony — cesarz Ferdynand wychodził zwycięsko z krytycznej sytuacji.

I zbuntowanych Czechów namawiał Zygmunt do posłuszeństwa „prawemu monarsze”. A gdy namowy nie pomogły, posłał na poskromienie „buntowników” te same straszliwe hufce i na ziemi czeskiej, jak na węgierskiej pomagał skutecznie do panowania zaborczej dynastji.

Za te usługi cesarz wypłacił się Polsce czarną niedzięcznością. Gdy Rzeczpospolita stanęła wobec wojny z Turcją, gdy jej niepodległości zagroziło okropne niebezpieczeństwo, sojusznik Zygmunta nie tylko nie przyszedł mu z pomocą, nie tylko w myśl traktatu nie pozwolił Polakom werbować w swych krajach żołnierzy, ale sam czynił w owej chwili na ziemiach polskich zaciągi i osłabiał siły zagrożonego w swym bycie narodu.

Zdawać się mogło, że przynajmniej stosunki Rzeczypospolitej ze Szwecją, zamącone w przeszłości walką o wpływ nad Bałtykiem, doprowadzą, dzięki nowemu królowi, do trwałego przymierza państw obu. Tymczasem król nie umiał wznieść się ponad osobiste widoki i ciasny fanatyzm religijny, który z wyraźną dla państwa szkodą pchał go do przymierza z domem cesarskim. Przed ambicją królewską schodziły na plan dalszy najżywotniejsze interesy Rzeczypospolitej. Utraconą koronę szwedzką zdobywał Zygmunt III polską krwią i wysiłkiem polskim. Skutkiem fatalnej polityki zraził ku sobie Szwedów, doprowadził do sojuszu między Szwecją a Moskwą, przysporzył Polsce nowego wroga i nie odzyskał dzie-

dzicznego tronu. Ale wywołał wojnę szwedzką, która z przerwami trwała zgórą pół wieku, kosztowała potoki krwi polskiej, przywiodła kraj do najokropniejszej ruiny, a w ostatniej fazie byt i niepodległość narodu postawiła na kartę.

Śród klęsk i nieszczęść, które przysporzyła Polsce polityka Zygmunta, jakby dla pouczającego kontrastu błyszczały niebywałą świetnością dzieła rycerskie narodu, żył i pracował poczet znakomitych ludzi, a polityka polska odnosiła przepyszne, choć, niestety, chwilowe tylko triumfy. Zamoyski, Żółkiewski, Chodkiewicz, Koniecpolski, nie licząc innych znakomitości, oto postacie, które po wsze czasy zdobić będą karty naszej historii. Byczyna, Kircholm, Kłuszyn, Chocim, Trzciana, oto dowody, ile bohaterstwa i siły żywotnej posiadała jeszcze Polska, do jakich czynów była zdolna i czem się stać mogła, gdyby jej losami kierowała świadoma wielkich celów wola.

Ale mały król Zygmunt nie miał wielkich celów.

Uparty, zawistny, podejrzliwy, lękał się geniuszu Zamoyskiego, źle się czuł w promieniach wielkości, bijącej od posągowych postaci Żółkiewskiego i Chodkiewicza. Szukając posłusznych swoim ambicjom narzędzi, zaufaniem obdarzał miernoty, otaczał się słuzalcami.

Rzeczpospolita, stanąwszy u szczytu, doszedłszy do kresu swojej potęgi, zaczęła się toczyć ku przepaści.

Oczywiście nie tylko król Zygmunt III był przyczyną tego zjawiska. Więcej niż król zawinił ogół magnatów i szlachty, który obojętnie spoglądał na gigantyczne wysiłki najtęższych w tej epoce ludzi i pozwolił Zygmunтови prowadzić państwo na ma-

nowce. Ten ogół porywał się do walki z intrygami króla, ale sam pozbawiony idei przewodniej, któraby ogarniała całokształt interesów Rzeczypospolitej, zatricił w walce poczucie odpowiedzialności i stawał się czynnikiem rozkładu.

Na takim tle zarysowały się wielkie czyny i dzieła kilku niepospolitych w dobie owej mężów. Ogarniając szerokie widnokreśli, a widząc zgubne poczynania króla i ślepotę ogółu, wytężali siły, by wydobyć Polskę z toni niebezpieczeństw. Ale nie podawali im ręki możni panowie, odpychał ich król, opuszczała szlachta. A w najtrudniejszych chwilach padały na ich głowy pioruny oburzenia, podnosiły przeciw nim swój syczący głos żmije obmowisk i potwarzy. Niezrozumiani i nieocenieni, choć nieraz budzący zachwyty i dumę, nawet w dniach największych triumfów przeżywali tragedję wielkich Polaków: tragedję opuszczenia, tragedję samotności. Dokonawszy dzieł wielkich, stanawszy u mety, przekonywali się, że ich prace, trudy, zwycięstwa giną bezowocnie. Genjusz dał im siłę wytrwania, życie polskie niszczyło najwspanialsze tej siły zdobycze.

W takich okolicznościach borykał się za panowania Zygmunta III genjusz Zamoyskiego. W takich okolicznościach żył, walczył i umierał nieśmiertelny zwycięzca z pod Kłuszyna i zdobywca Moskwy. W takich okolicznościach rozbłysła blaskiem wiekopomnej sławy lwia postać Chodkiewicza.

---

W piśmiennictwie naszym niewiele znakomitych Polaków doczekało się swoich biografij. Chodkiewicz należy do szczęśliwych wyjątków: już w roku 1781-ym



ukazał się jego życiorys, napisany pracowitem piórem Naruszewicza.

Król Stanisław August, chcąc odtworzeniem pełnej sławy przeszłości oddziałać na umysły i serca pokolenia, wyraził na jednym z obiadów czwartkowych życzenie, aby na wzór Plutarcha, pisarze polscy odtworzyli żywoty choć niektórych zacnych Polaków. Wtedy to Naruszewicz postanowił doprowadzić do skutku już wcześniej powzięty swój zamiar i opisać żywot Chodkiewicza. W ten sposób powstało obszerne rozmiarami dzieło, owoc długich, mozolnych poszukiwań, praca, przesycona zaciętą tendencją i uwielbieniem dla bohatera, którego nieśmiertelne dzieła miały wstrząsnąć sumieniami żyjących Polaków i, przeciwstawiając się ohydzie ówczesnego życia, wskazać narodowi drogę obowiązku, dzielności i sławy.

Dzieło Naruszewicza, do dnia dzisiejszego niepozabawione wartości, acz wiele podanych przez autora faktów przedstawia się zgoła inaczej w świetle badań późniejszych, po raz pierwszy rzuciło światło na wspaniałą duszę hetmana i dało wymowny przykład, co w najtrudniejszych warunkach zdziałać może człowiek z charakterem i wolą.

W epoce upadku Polski, gdy wszelka władza krajowa była poniewierana, gdy państwo, pozbawione rządu, wojska i skarbu, stawało się igraszką w rękach złych a silniejszych sąsiadów, gdy obca przemoc szalała bezkarnie na ziemiach Rzeczypospolitej, a ramię polskie zwisało bezsilnie, bohaterski żywot Chodkiewicza był jakby rękawicą, ciśniętą niemocy ujarzmianego narodu, był zarazem zjawiskiem, przechodzącym miarę żyjącego w hańbie pokolenia.

Sto kilkadziesiąt lat upłynęło od ukazania się pracy Naruszewicza: posągowa postać zwycięzcy z pod Kircholmu nie tylko nie straciła nic ze swej wielkości, ale wyolbrzymiała w perspektywie dziejów i, stając dzisiaj w blasku wiekopomnych czynów, nie przestaje budzić podziwu.

---

## I.

### CHODKIEWICZ.

Dom Chodkiewiczów zdawna cieszył się wielką powagą na Litwie, a należał do najpotężniejszych rodów magnackich w Rzeczypospolitej. Znakomity wojownik był synem kasztelana wileńskiego i gubernatora Inflant, Jana Chodkiewicza, a miał, — powiada sławny owych czasów kaznodzieja, ksiądz Fabjan Birkowski, — „dziadów i pradziadów takich, z których rzadki był, któryby abo buławy hetmańskiej nie nosił, abo stołka senatorskiego nie zasiadł”. Potężni magnaci, złączeni przez koligacje z najwplywowszemi domami Korony i Litwy, zgóry spoglądali na tłum szlachecki i wysoko nosili dumne swe głowy. Matka bohatera, Krystyna ze Zborowskich, również pochodziła z rodziny, co pięła się ku górze, trzęsła krajem i, nie przebierając w środkach, zuchwale wyciągała ręce po najwyższe w Rzeczypospolitej zaszczyty i dostojęstwa.

Jan Chodkiewicz, zajmujący, z racyj piastowanych godności, trzy krzesła w senacie, miał na swe usługi olbrzymią masę ślepo wierzącej w niego szlachty litewskiej, a w rodzimym kraju panował, jakby dyk-



tator. Był czas, że przed jego żelazną wolą ugięła się Litwa. Znakomity wódz, tęgi statysta, był mało-mówny, ponury. Zacięty Litwin, żywiący wiele uraz do braci z Korony, ale stojący wiernie na straży Rzeczypospolitej, szedł przez życie przebojem, z ręką, jakby przyrosłą do rękojeści szabli. Przed tą szablą drżeli nieprzyjaciele zewnętrzni, cofali się osobiści wrogowie. Nawet potężni Radziwiłłowie musieli liczyć się z jego wolą i nieraz ustępowali mu z drogi. Zawzięty, gwałtowny, idący za porywem namiętności, wiele cech umysłu i charakteru przekazał swemu sławnemu synowi.

Przyszły hetman, urodzony na Litwie w roku 1560-ym, od dzieciństwa otoczony atmosferą wielkich ambicyj i wpływów, wczesnie przejął się dumą rodową i obudził w sobie poczucie owej magnackiej wyższości i znaczenia, którem przepojony był dom rodzicielski. Szlachcic, herbu Kościesza, pisał się hrabią na Myszy i Szkłowie, panem na Bychowie, Lachowiczach, Kretyndze i innych dobrach. „Pan dumny nazwisko swoje dużemi pisał literami”, a od lat najmłodszych miał skłonność do wysuwania się na czoło i przewodniczenia kolegom.

Natura uposażyła go w umysł żywy, pojętny, dała mu wybitne zdolności i temperament tak krewki, gwałtowny, burzliwy, że już w wieku chłopięcym z największą trudnością przywodziło go do upamiętania. Skłonny do cholery, jak się dobitnie wyraża Niesiecki, w ogromny kłopot wprawiał swych wychowawców. Nauczyciel Chodkiewicza, jezuita ksiądz Lesiewski, chcąc poskromić szalejącego chłopca, rozkazywał zasłaniać mu oczy i dopiero w ten sposób

gasił jego „choleryczne zapędy”. Najwidoczniej słowa perswazji pomysłowego jezuitę nie odnosiły najmniejszego skutku.

Młode lwiątko, wlot chwytające naukę, rwało się do zabaw i ćwiczeń, pozwalających wyszumieć się wichrom, co miotały całą jego istotą. Biegając po skończonych lekcjach z rówieśnikami w pole, sypał szańce, dobywał urojone zamki, staczał bitwy i, szalejąc na placu boju, czuł się dopiero w swoim żywiole. Przewodził towarzyszącej zabawie, nieproszony obejmował dowództwo, a gdy spotykał opór, stawał się niebezpiecznym i wpadał w ową „cholere”, z którą walczyć musieli jego wychowawcy.

Wysłany wraz ze starszym swym bratem Aleksandrem do Wilna, kształcił się w uczelni, zrównanej przywilejem Batorego z Akademią Krakowską, a doborem prowadzanych z zagranicy sił profesorskich zapowiadającej najświetniejszy rozwój nauk na Litwie.

Niesiecki powiada, że zamiłowany był w naukach, a w historii, w krasomówstwie, w matematyce i znajomości obcych języków nikomu się nie dał wyprzedzić. Bystry, zdolny, kipiący nadmiarem życia, które potokiem gorącej krwi szumiało w jego żyłach, wczesnie przejawiał usposobienie wodza i zdobywcy. W jego wystąpieniach, w jego zachowaniu się było coś uderzającego, coś, co zwracało na siebie uwagę i pozwalało wiele spodziewać się po nim. Kiedy w roku 1579-ym Stefan Batory przed wyprawą połocką zatrzymał się w Wilnie. Chodkiewicz w imieniu młodzieży akademickiej witał wielkiego wojownika. Nie przeszło do potomności to powitanie, ale prawdopodobnie zabrzmiała w niem nuta wojenna, bo

król Stefan, znawca ludzi spojrzął żywo na młodzieńca i rzekł do otoczenia:

— Zaiste, ten będzie wielkim żołnierzem!

Sprawdziła się przepowiednia Batorego: Chodkiewicz nie tylko został wielkim żołnierzem, ale jednym z największych wodzów, jakich wydały dzieje nowożytne.

Po opuszczeniu Wilna nie przestał się kształcić. Zwyczajem, panującym w możnych domach polskich, ojciec wysłał go zagranicę, by otarł się po świecie, przypatrzył się obcym krajom i rozszerzył swe widnokręgi myślowe. Chodkiewicz wraz ze starszym swym bratem Aleksandrem wyjechał do Ingolstadtu, gdzie służył w owym czasie uniwersytet jezuicki. Pod koniec roku 1589-go skierował się do Padwy, ale trafiwszy tutaj na walkę pomiędzy młodzieżą polską a niemiecką, po kilku miesiącach opuścił sławne miasto i udał się wraz z bratem do Wenecji. Następnie miał zamiar całych lat pięć zamieszkać na Malcie, a później jeszcze lat parę spędzić w Hiszpanji lub Francji. Lecz zamiar nie doszedł do skutku, gdyż w roku 1590-ym powrócił na Litwę. Rzecz wątpliwa, czy w latach późniejszych przedsięwziął podróż powrotną. Niesiecki utrzymuje, a Naruszewicz i dziejopisowie późniejsi powtarzają za nim, że w swych wojażach po Europie Chodkiewicz poznał się z głośnymi owego czasu wodzami: księciem Albą, Aleksandrem Farnezym, Maurycym Orańskim, że często przebywał w ich towarzystwie, a nawet brał udział w bitwach pod ich dowództwem staczanych. W ten sposób miał praktycznie zaznajomić się ze sztuką wojenną. Wiadomości te są mylne. Nie uczył się Chodkiewicz pod kierunkiem znakomych wodzów cudzo-



ziemskich i nie im nie zawdzięczał.\*) Jego samorodny genjusz wojenny w innych warunkach się kształcił i w walce z wrogami ojczyzny doszedł do swej samowiedzy.

Po powrocie do kraju czas jakiś bawił Chodkiewicz na dworze Zygmunta III, a potem przebywał w dziedzicznych dobrach na Litwie. Podanie głosi, że przygotowując się do służby rycerskiej, rysował liczne mapy i plany, zbierał gromady chłopów, kazał im sypać szańce i, urządzając manewry, prowadził zaimprovizowane wojsko do szturmów lub szturmów odpierał.

W roku 1593-im wstąpił w związki małżeńskie z córką sławnego wodza, hetmana Mieleckiego, Zofją, wdową po księciu słuckim, Siemionie Olelkowiczu. Obrzęd ślubny odbył się na Litwie w Cimkowiczach, które hetman mile wspominał i do których rad z obozu zjeżdżał na krótkie wywczasy. Z małżeństwa tego w roku 1597-ym przyszedł na świat syn Hieronim, duma i wielkie ukochanie hetmana, a w kilka lat później córka Anna. Z listów Chodkiewicza, pisanych najczęściej z obozu do żony i syna, przeziiera czuły małżonek, tkliwy ojciec, gorąco przywiązany do dzieci. Małżonkę tytułuje „najmilszą Zosieńką”, „jedyną, kochaną duszą”, „serdeczną pociechą”, o dzieci troskliwie się dopytuje. W synu Hieronimie wielkie pokłada nadzieje. Chce w nim widzieć dziedzica swego imienia i sławy, Chodkiewicza, któryby podtrzymał

---

\*) Tadeusz Korzon w dziele swoim p. t. „Dzieje wojen i wojskowości”, zestawiając daty z życia wspomnianych cudzoziemców z datami pobytu Chodkiewicza zagranicą w różnych miejscowościach i powrotu jego na Litwę, wykazał, że przyszły hetman nie spotykał się nawet z owymi cudzoziemcami.

światność swego rodu. Daje liczne dowody pamięci swej o rodzinie. „Najmilszej Zosieńce” zdaleka posyła nieraz słodycze i przysmaki lub drogie tkaniny, a zdrowiem i sprawami, które dotyczą żony i dzieci, żywo się interesuje. Otrzymaawszy list od dwunastoletniego syna, płacze ze wzruszenia. Często też dopytuje się chłopca o postępy w naukach, daje mu rady, wskazówki, domaga się surowo, aby „nauk pilnował” i „nie zaniechiwał ich” nawet w czasie rekreacji, ale „raczej ten czas, który złoty jest, obracał na taki pożytek, któryby i na chwałę Bożą i dobro ojczyzny napotem obrócony być mógł”.

— „Pewniem, — pisze do syna, — że będziesz pomniał na to, żeś szlachcic, postępków też takich będziesz, jakie twój stan po tobie wyciskać będzie, czego bez nauki nigdy dostąpić nie będziesz mógł”...

Podobnie jak Zólkiewski musiał i Chodkiewicz przywiązywać wielką wagę do znajomości historii, bo gdy syn podrósł, zalecał mu czytywać dzieła historyczne:

— „Historyków nie zaniechaj czytać, a nie wadziłoby Kromera”.

W innym liście przestrzega Hieronima.

— „Nie trać-że tedy, miły Hieronimie, czasu. Ucz się, bo głupim być szlachcicowi — nic sprośniejszego”...

— „Hieronimie! — pisze innym razem, — tak mi udają, że się uczysz dobrze, ja tego nic nie widzę, jednak na powieść ludzką cieszę się z tego i abyś to poznał po mnie, że mi miło, kiedy się uczysz, posyłam ci konia białego, a wiesz pewnie, że niedarmo szerści takiej. Zdrów na nim jeźdź, a będziesz-li się lepiej uczył, postaram się o co grzeczniejszego”.

W domu hetmańskim panowały stosunki patryjar-  
chalne, surowe, pobożność gościła wielka, a hetman  
sam nieraz pobożność tę dobitnie demonstrował. „Jał-  
mużny hojne sypał, a gdy szedł do kościoła z żoną  
i synem, inszy worek pieniędzy za nim, inszy niesio-  
no za żoną, a inszy za synem”. Tę pobożność po-  
niósł Chodkiewicz do obozu i na pola bitew, wojsku  
przed sprawą nakazywał modły, a sam dla umartwie-  
nia grzbiet swój smagał kańczugiem i całe godziny  
umiał leżeć krzyżem. Patronował jezuitom, własnym  
sumptem ufundował kościół w Kretyndze. Widocznie  
jednak fanatykiem nie był, bo myślał o postawieniu  
cerkwi w Lachowiczach, a dla zakonników nie miał  
poważania.

W jednym z listów do syna taką uczynił uwagę:

— „Głupim albowiem szlachcicem być, sromotna  
rzecz jest, zakonnikiem najsromotniejsza”...

Ród swój wynosił ponad inne, a duma magnacka  
nieraz dźwięczała mocno w jego słowach. Starszy  
brat Aleksander, wojewoda trocki, ożeniony był z Kor-  
niaktówną, szlachcianką z zamożnego domu, który  
przez koligacje dążył do zdobycia wpływów i zna-  
czenia. Otóż gdy brat pogniewał się z rodziną żony,  
hetman w te słowa pisał do Korniakta:

— „Pamiętaj waszmość, że ze szwagrem sprawa,  
a ze szwagrem Chodkiewiczem, którego obraza i mnie  
ciężko dotyka”...

W liście do Ossolińskiego wyrzekął na ożenek  
brata:

— „Ta nieszczęsna nierówność bogdaj nigdy w do-  
my nasze nie wstępowała!”...

Magnat, pamiętający o swym wysokim rodzie, har-  
dy, butny a zapalczywy, w chwili uniesienia nie znał



miary w gniewie i gotów był podeptać istniejące prawa. W roku 1597-ym rzucił się na woźnego, który mu wręczał pozew sądowy, i pobił dotkliwie wysłańca sprawiedliwości. Sprawa oparła się o trybunał główny W. Ks. Litewskiego — i Chodkiewicz skazany został na złożenie uniewinniającej przysięgi lub na więzienie i zapłatę pokrzywdzonym wynagrodzenia. Ale możnych panów nie śmiała karać Rzeczpospolita. Chodkiewicz udał się do króla. Nie przyznawał się do winy, oświadczał wszakże, że poddaje się wyrokowi, lecz prosi króla o łaskę. Za skazanym ujęła się rodzina. Król nie śmiał prośbom odmówić. Uwolnił więc dekretem skazanego od składania przysięgi i odsiadywania wieży, pozostawiając w mocy jedynie wyrok w sprawie wynagrodzenia strony pokrzywdzonej.

W kilka lat potem stanął Chodkiewicz na czele walki swego domu z potężnymi Radziwiłłami, którzy rozpoczęli spór o rękę księżniczki słuckiej, Zofji Olelkiewiczówny, dziedziczki olbrzymiej fortuny.

Spór ten zatrząsł całą Litwą.

Stryj Chodkiewicza, Jerzy, urodzony z Olelkiewiczówny, a z racji pokrewieństwa rozłaczający opiekę nad małoletnią osieroconą Zofją, obiecał wojewodzie wileńskiemu, Krzysztofowi Radziwiłłowi, że gdy Zofja podrośnie, odda jej rękę synowi wojewody, Januszowi. Wkrótce potem Jerzy Chodkiewicz umarł. Opieka nad księżniczką przeszła na brata zmarłego, Hieronima, który nie przywiązywał wagi do danego Radziwiłłom przyrzeczenia, a że między dwoma potężnymi domami doszło do wielkich zatargów na tle majątkowym, więc wzbraniał się z oddaniem Januszowi ręki i fortuny księżniczki.

Obie strony, uparcie stojąc przy swoim, zaczęły się zbroić i czynić wielkie przygotowania do rozstrzygnięcia mieczem zatargu.

Cała Litwa podzieliła się na dwa obozy.

Wtedy to Jan Karol Chodkiewicz stanął na czele zbrojnych zastępów, zebranych przez jego rodzinę i, ująwszy w swe ręce dowództwo, wprowadził do Wilna 1600 jazdy, 600 ludzi piechoty oraz 24 śmigownice. Przekształciwszy swą kamienicę w Wilnie na fortecę, stał w pogotowiu bojowym, gotów rozpocząć wojnę domową. Obie strony, nie zważając na straszny przykład i nieobliczalne następstwa, tak zawzięcie broniły swej sprawy, że wybuch wisiał na włosku. Na szczęście dla przeciwników i zagrożonej w owym czasie przez Szwedów Rzeczypospolitej, do zatargu wmieszał się król Zygmunt — i wydelegowani przez niego senatorowie doprowadzili do zgody powaśnione strony.

W późniejszym życiu Chodkiewicz niejednokrotnie bolał nad nieposzanowaniem w Rzeczypospolitej prawa, nad samolubstwem i gwałtami magnatów. Surowy dla siebie, surowy był dla innych. Rycerstwu, łamiącemu dyscyplinę, wymierzał srogie kary, dla przywódców konfederacyj wojskowych domagał się wyroków banicji. Im wyżej wynosiły go wypadki, im wyższe piastował godności, tem więcej wymagał od ludzi, tem mocniej stał po stronie obowiązku, karności i prawa. Ale porywczy w sądach, zapamiętały w gniewie, gotów był posądzać przeciwników o najstraszliwsze zamiary, a dawał ucho wieściom najpoczworniejszym. Z Radziwiłłami był w ciągłej wojnie, a smutnej pamięci księcia Janusza traktował, jak zbirą, gotowego na każdą zbrodnię, a nawet skrytobój-

stwo. Po bitwie pod Guzowem wierzył wieściom, że Radziwiłł nastaje na jego życie zapomocą opłaconych zbirów, a nawet dawał wiarę temu, że straszny wróg jego myśli o skrytobójczem zgładzeniu ze świata syna Hieronima. Więc przestrzegał żonę, by miała się na baczności i nie chciał oddać syna do szkoły, by go tam nie dosięgły ręce Radziwiłła.

— „Posłać do szkoły i ja czas widzę, — pisał w październiku 1607-go roku, — ale póki tym burzom koniec nie będzie, tego nie uczynię. Bo jeśli przysiągł ten Herkules (Radziwiłł) szcząta krwi naszej nie zostawić, tedy będzie chciał nad tem niewiniątkiem jad swój psi, nie mogąc nad ojcem, wyrzucić!”...

Nie można dziwić się ojcu, że brał serjo pogróżki potężnego wroga, że drżał o życie syna, choć żona jego nie dawała strasznych wieściom wiary, choć trudno było przypuścić, by najzawziętszy przeciwnik mógł się ważyć na zbrodnię, o jaką Janusza Radziwiłła podejrzewał Chodkiewicz. Ale jeżeli podejrzliwość hetmana da się w tym wypadku wytłumaczyć trwogą o życie ukochanego syna, to w innych razach zawziętości wielkiego człowieka niczem usprawiedliwić nie można. Niestety, z tą samą zawziętością i niepomiarowaniem traktował on każdego, kto zadrasnął jego dumę rodową lub postępowaniem swoim naraził się jego rodzinie. Zapalczywy w gniewie, nie znał miary i granic w swych sądach.

Ofiarą tego gniewu padł nawet hetman Żółkiewski, człowiek o nieskalanej duszy i sercu wzniosłem a czystem, jak kryształ. Imiona obu znakomitych wodzów nieraz współcześnie były na wszystkich ustach, nieraz budziły w narodzie podziw i uwielbienie, nieraz z tą samą nienawiścią były powtarzane. Obaj wyżsi nad



współczesnych, obaj szarpani przez złe, zawistne języki, nieraz wygrywani byli przeciw sobie w nieszlachetnej grze politycznej fałszywego króla. Uważani za rywali, jak dwa wspaniałe słońca świecili Rzeczypospolitej.

Złość ludzka przeciwstawiała ich sobie i wywołała między wodzami nieprzyjaźń.

Ale Żółkiewski, którego złote serce nie znało za wiści, a kryształowy charakter wolny był od uprzedzeń, wysoce cenił Chodkiewicza i umiał czczyć jego zasługi. Na sejmie 1605 r. wobec króla, senatu i posłów słaawił świetne zwycięstwa swego kolegi, choć było to jeszcze przed wiekopomną bitwą pod Kircholmem.

— „Na dzielności jegomości pana starosty żmudzkiego, — mówił Żółkiewski, — i owszem, naszych tam trochę ludzi nic nie schodziło; znaczne szwanki nieprzyjaciel odniósł za sprawą tegoż jegomości, któremu słusznie ma być powinna Rzeczpospolita i wasza królewska mość nagrodzić!”...

I Chodkiewicz ze swej strony znał dobrze wartość Żółkiewskiego. W liście, pisanym do króla d. 22 maja 1613 roku nazywa hetmana koronnego „człowiekiem wielkich cnót i zasług”, a nawet „filarem Rzeczypospolitej”. Ale później pomiędzy wodzami doszło do nieporozumień — i Chodkiewicz z ogromnym gniewem wspominał swego kolegę. W swoim czasie na rozkaz kanclerza Zamoyskiego Żółkiewski uwięził przebywającego u swej siostrzenicy Włodkowej, Samuela Zborowskiego. Chodkiewicz, spokrewniony ze Zborowskimi, nie mógł zapomnieć tego wydarzenia. W wiele lat potem, bo w roku 1616 książęta Samuel Korecki i książę Michał Wiśniowiecki wyruszyli na

Wołoszczyznę, by osadzić na gospodarstwie swego szwagra, Konstantego Mohiłę. Wyprawa skończyła się klęską. Wiśniowiecki zmarł w czasie tej wyprawy, a Samuel Korecki dostał się do niewoli. Opinia oskarżała Żółkiewskiego, że, mając możność, nie poparł samowolnej wyprawy i dopuścił do klęski. Był to zarzut niesłuszny, bo Żółkiewski unikał wszystkiego, coby Polskę uwikłać mogło w wojnę z Turcją, a awanturniczy panowie na własną rękę rozpoczęli wojnę o władzę swego szwagra.

Samuel Korecki, będący siostrzeńcem Chodkiewicza, użalał się przed nim na niechęć hetmana Żółkiewskiego. Chodkiewicz odpowiedział:

— „O niechęciach nie wiem i wątpię, aby jakie były, jeśli pan hetman czyni, co powinność jego niesie!”...

Ale gdy Korecki dostał się do niewoli, a przeciw Żółkiewskiemu najniesłuszniej w świecie podniosła się wrzawa, Chodkiewicz stracił równowagę umysłu, wpadł w gniew i wierzył najpotworniejszym plotkom, jakie rozpowszechniano o jego koledze! Co więcej! sam posądzał Żółkiewskiego o najnędzniejsze praktyki, powtarzał ubliżające mu wieści w listach do brata, twierdząc, że Żółkiewski nastaje na życie wziętego do niewoli tureckiej Samuela i namawia baszów tureckich, aby na pal kazali wbić jeńca.

— „Nie dziw, że krwi pragnie, gdy się na krew zaprawił w domu naszym, na Samuelu Zborowskim”, — pisał Chodkiewicz i wyrzekał, że hetman polny koronny „krew chrześcijańską podał praktykami w ręce nieprzyjacielskie”, a w innym liście mówił znowu o „nienasyconem krwi ludzkiej sercu” Żółkiewskiego.

Straszliwe słowa, gdy zważyć, kto je wypisywał i pod  
czym adresem!

A przecież Chodkiewicz tak okrutnie niesprawie-  
dliwy w stosunku do Żółkiewskiego, miał z nim wiele  
cech wspólnych i nieraz dzielił smutny los swego ko-  
legi. A wspólną obu znakomitym wodzom cechą był  
ich głęboki patryjotyzm, wierna Rzeczypospolitej służ-  
ba, umiłowanie ojczyzny, niesienie jej w ofierze zdro-  
wia i mienia. Obaj przywiązani do swej rodziny,  
żyli w ciągłej z domem rozłące, w nieustannym znoju  
i trudzie obozowym, wśród szczęku oręża, w bitwach,  
pochodach, w zapomnieniu o sobie, w trosce o naj-  
bliższych. Obaj w najcięższych chwilach opuszczani  
przez króla, zapominani przez kraj, nie upadali na  
duchu, nie składali broni, lecz dobywali wszystkie  
siły swego geniuszu i dokonywali nieśmiertelnych  
czynów. Obaj nie uniżali się przed nieufnym Zygmun-  
tem, nie zdobywali łask jego pochlebstwem i mizer-  
ną usługą. Obaj stali zdala od intryg dworu królew-  
skiego i obaj przez króla traktowani byli nieufnie.  
Obaj wreszcie z uszczerbkiem własnych fortun, wy-  
ręczając Rzeczpospolitą, łożyli pieniądze na opłacenie  
wojsku zaległego żołdu i na najpilniejsze rycerstwa  
potrzeby. Pod względem ofiarności Chodkiewicz nie  
dał się wyprzedzić Żółkiewskiemu, a że miał fortunę  
mniejszą, a może tylko gorzej administrowaną, bar-  
dzo często znajdował się w położeniu trudnem, a na-  
wet opłakanem. Umiejąc ze swych dóbr wydobyć  
znaczne środki na zaspokojenie buntującego się żoł-  
nierza, bywał nieraz w takich kłopotach, że na do-  
mowe potrzeby nie mógł posłać pieniędzy ukochanej  
małżonce.



— „Co mi piszecie, — tłumaczył się przed żoną dnia 7 sierpnia 1606 r.,—na strawę, abym więcej posłał, Bóg ci lepszy świadek, że nie mam; ale może Siedleszczyński panu podskarbiemu mówić, który w Wilnie jest, każe dać z jakie sto złotych z czopowego mego”...

A w liście z dnia 2 maja 1608 r. pisał do małżonki:

— „Z panami żołnierzami mamy wielkie niezmiernie trudności... Srebro swoje stołowe sprzedałem panu podskarbiemu, którem żołnierzowi płacić ma, a tom uczynił dla nędzy i niedostatku swego, więc i tego niebezpieczeństwa, które na mię się wali. Tu o wydatkach moich, aby mi były wrócone, żadnej nadzieje nie mam... Obnażonym prawie ze wszystkiego, że w gębę już nie mam co włożyć. Pan Bóg niech się sam zmiłuje nade mną”...

W innych listach niejednokrotnie uskarża się na wierzycieli, którzy nieustannie go trapią i prosi żony, aby sama układała się z nimi, wierząc, że w stosunku do małżonki będą względniejsi.

Ale gdy znędzniałe wojsko domagało się żołdu, a król pieniędzy nie przysyłał, hetman nie oglądał się na nic, zastawiał swe włości i nie skąpił grosza, byle tylko uspokoić wzburzone umysły i nie narazić na szwank Rzeczypospolitej.

W roku 1613-ym pisał do podskarbiego Wołłowicza:

— „Im dalej, tem więcej ekspensów panu i ojczyźnie przychodzi mi czynić!”...

U króla upomina się nieraz o nagrodę za poniezione koszta, ale sam, jak król dumny, nie zniża się do zdobywania łaski pańskiej pochlebstwem i dwo-

ractwem. Czyni to jawnie, ale nie chce się napraszać i umie być wstrzemięźliwym.

Gdy podkanclerzy litewski chciał w r. 1616-ym starać się dla niego o województwo wileńskie, Chodkiewicz złożył dowód, że nie łaknie zaszczytów.

— „Uniżenie waszmości dziękuję, — odpisał, — ale ja już na takiej łasce jego król. mości przestaję, na jakiej jestem postawiony. Ja jego król. mości uprzykrzać się nie chcę i wnieść na się opinię chciwości”...

A w kilka miesięcy później dodał:

— „Wolę przy tytule dawniejszym pozostać, nie biorąc nowych, które nakształt cyprysów wysokie są, a nie dają owocu”...

Królowi w listach nieraz rąbał słowa prawdy, jak toporem, a choć ratował go swą głową i szablą podczas rokoszu, nie mając zaufania Zygmunta, również nie darzył go zaufaniem. „Nie ufalem, nie ufam i ufać nie chcę!” — pisał z widocznym gniewem do żony, która, jak można wnosić z treści listu przestrzegając małżonka przed zbytnią ufnością, pokładaną w intryganckim Zygmuncie.

Zasługi, jakie oddawał Rzeczypospolitej, pomimo niechęci królewskiej, posuwały go szybko po szczeblach zaszczytów i godności. W roku 1599-ym został starostą żmudzkiem, w 1600-ym — hetmanem polnym, w 1605-ym — hetmanem wielkim litewskim, w 1616 — wojewodą wileńskim. Z biegiem lat przybywały starostwa i beneficja, ale życie do późnej starości spędzane na usługach Rzeczypospolitej, w polu, w obozie, na koniu, nie pozwalało na uregulowanie stosunków majątkowych i zażywanie fortuny.

W roku 1596-ym brał Chodkiewicz udział w słynnej wyprawie hetmana Żółkiewskiego przeciw zbun-

towanym kozakom i, dowodząc pułkiem hetmańskim, miał się odznaczyć pod Łubniami.

W roku 1600-ym wraz z bratem Aleksandrem wojował pod dowództwem hetmana i kanclerza Zamoyskiego z Michałem Chrobrym w Multanach, a „w pięknym i licznym kompucie ludzi swoich stanął”. Przed pamiętną bitwą nad rzeką Telezyną „z wrodzonej do sławy chęci” udał się wraz z Adamem Sieniawskim do kanclerza i prosił go, aby im pierwszym na szyki nieprzyjacielskie uderzyć pozwolił. Zamoyski musiał „temperować” zapalczywość wojowników, nie mogących doczekać się boju, a rozgrzanych powodzeniem, jakie kilka dni przedtem odnieśli.

Za usługi, oddane w tej wojnie, król Zygmunt nagroził Chodkiewicza buławą polną litewską.

Wyniesiony do godności hetmańskiej, nie przestał Chodkiewicz doskonalić się w sztuce wojennej. Przebywając w swych dobrach, z zapalem studjował dzieła, traktujące ulubiony przedmiot, rozwiązywał teoretycznie trudne zadania taktyczne, ćwiczył się w sztuce artyleryjskiej i inżynierskiej, umacniał wałami zamki okoliczne, wznosił cekhauzy, zapelniał je działami i bronią. Ojciec króla Jana III. Jakób Sobieski, który w czasie wojny chocimskiej, bacznie przypatrywał się Chodkiewiczowi, świadczy, że znakomity wódz biegły był w inżynierji, a mając rozległe wiadomości matematyczne, umiał je stosować do potrzeb wojny. Ten-że Jakób Sobieski umysłowi i cnotom hetmana wystawia najchlubniejsze świadectwo, dając wizerunek męża, którego charakter i postępowanie przypominają bohaterów starożytności.

Chodkiewicz był człowiekiem gwałtownym, trudnym do pohamowania. Wybuchy jego gniewu były,



jak pioruny, a biada temu, na czyją głowę padły. Lękali go się wszyscy i pilnie wypełniali jego rozkazy. Od postaci wodza (a było to już pod koniec życia) biła jakaś posępna powaga, która trzymała w oddaleniu ludzi. Żołnierze bali go się, jak ognia, ale wierzyli mu nieograniczenie, a zawsze zachwyceni byli jego przepyszną marsową postawą i świetnym rynsztunkiem: Chodkiewicz lubował się w pięknych koniach i zbrojach, a gdy na przepysznym rumaku z buławą hetmańską w ręku lustrował szeregi, gdy przemawiał do wojska lub rzucał swe hufce w wir bitwy, duch zwycięski wodza udzielał się rycerzom i czynił z nich pioruny w jego gromowładnych rękach.

Wielki wódz, wybuchający straszliwym gniewem w razie najmniejszego uchybienia jego rozkazom, był w głębi swego serca miłosierny i czuł na widok nieszczyścia żołnierzy. Świadczy o tem wspomniany już Jakób Sobieski, a inny ze współczesnych, ksiądz Fabjan Birkowski powiada:

— „Szczodrym był barzo, zwłaszcza na ubogie, na ranne. Żołnierza dobrego rad widział, temu szatę, owemu konia, drugiemu orężę darował, a nikomu z nich chleba swego nie żałował”...

Wojsku świecił zawsze przykładem w znoszeniu trudów obozowych. Niezmiernie wytrzymały „na pracę, skwary, głód i chłód”, nie szukał wygod i często narówni z żołnierzem znosił w polu nędzę. O siebie nie dbał, choć tęgim zdrowiem pochwalić się nie mógł. W listach do żony niejednokrotnie uskarżał się na różne dolegliwości, a szczególnie na trapiący go kamień. A miewał nadto ataki epileptyczne, które chwytaly go pono po wybuchach gniewu.

Straszny w bitwie, jako zwycięzca wspaniałomyślność okazywał wrogom. Trupy nieprzyjacielskie uczciwie grześć kazał, jeńcom wziętym do niewoli nie pozwolił czynić krzywdy, a nieraz okazywał im swoją łaskawość.

W obliczu wroga ten człowiek z ognia i siarki, decydował się z błyskawiczną szybkością, a jednym rzutem oka oceniał sytuację i jak w natchnieniu tworzył natychmiast plan bitwy. A jednak gdy wymagała tego potrzeba, umiał na placu boju nakazać powściągliwość swojej ognistej naturze i czekać cierpliwie błędów, które wróg popełni, a które on zawczasu odgadywał swoim genjuszem. Dopiero w ogniu bitwy, w ataku budził się w nim lew, uderzający z niesłychaną pewnością siebie, z siłą strasznego żywiołu, co wszystko na swej drodze przewala i miażdży.

W prowadzeniu bitwy dawał upust wszystkim elementom, które stanowiły istotną moc polskiego rycerstwa i kierownictwem swoim moc tę podnosił do najwyższej potęgi. Sam niecierpliwy, kipiący nadmiarem temperamentu, przepysznie potrafił wyzyskać temperament polski. Zwyciężał wroga samem uruchomieniem tej siły, a potem już łamał szyki nieprzyjacielskie bez trudu. Gdy stawał na czele swych hufców, lub gdy posyłał do ataku swą szumiącą skrzydłami orlemi husarję, już miał zwycięstwo w swych rękach. Plac boju zdobywał furją, a oszołomionemu wrogowi nie dał przyjsć do siebie. Rozbiwszy nieprzyjaciela, gnał go bez wytchnienia i wtedy dokonywał ostatecznego dzieła pogromu.

Szpiegów opłacał hojnie i zwykle miał dobre wiadomości o siłach i ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Pochody jego były błyskawiczne. Przed wrogiem czę-

sto zjawiał się niespodziewanie, ale sam zaskoczyć się nie dał. Trudno zresztą było go zaskoczyć, gdyż bez względu na przewagę sił wroga, zawsze sam go szukał i w każdej chwili, jak lew zbudzony, gotów był do walki.

Niezwalczony wódz, rozkochany w czynach i sprawach rycerskich, interesował się wszystkimi sprawami krajowemi, dopytywał o nie z obozu i gniewał się bardzo, gdy nie przysyłano mu wiadomości. W życiu publicznem, jak na wojnie, decydował się szybko, a był bystrym i biegłym statystą. Gdy nie zaślepiął go gniew, umiał właściwą miarą oceniać ludzi i wypadki. Korespondencja hetmana odslania pod każdym względem umysł niepowszedni, z orlej wysokości spoglądający na sprawy publiczne. Ale zapalczywość zbyt często go ponosiła. Listy jego nawet do ukochanej małżonki są naprzemian to serdeczne, to gniewliwe. Widać, że pisał je pod wrażeniem otrzymanych wiadomości, nie wając słów, nie namyślając się nad tem, jakie wywoła uczucia. Nieraz przecież spostrzegał się po wysłaniu listu i w piśmie następnem serdecznemi słowami łagodził swą popędliwość. A podobnie jak Żółkiewski przepysznie władał piórem i pisał owym pięknym językiem staropolskim ze złota i spiżu. Wyrażał się dosadnie, a niektórych jego zwrotów nie powstydziliby się i bohaterowie Homera.

Był to przepyszny mąż, mający w dziejach naszych niewiele, co mierzyć się z nim mogą. Gotów do największych ofiar i poświęceń dla dobra Rzeczypospolitej, miał wolę i charakter z żelaza, miał stałość w nieszczęściu, skromność w powodzeniu. Gdyby nie duma rodowa, gdyby nie zapalczywość, która zaćmiewała nieraz zdrowy pogląd na ludzi i rzeczy, stano-



wiłby, jak Żółkiewski pod każdym względem niedo-  
ścigniony wzór wodza i obywatela.

Ale jeżeli cnoty Żółkiewskiego czynią z niego słoneczną, jakby wymarzoną przez poetę postać, to wady Chodkiewicza czynią go bardziej ludzkim i bliższym tej ziemi, dla której obaj niezwykle ponosili trudy, a której oddali swój długi krwią serdeczną i cierpieniem przesycony żywot.

## II.

### WOJNA ZE SZWECJĄ.

Nieszczęsna polityka Zygmunta III odepchnęła od tronu Zamoyskiego, który za Batorego stanął u szczytu swej władzy, opanował położenie w czasie bezkrólewia i zwycięstwem pod Byczyną utwierdził swego kandydata na tronie. Zdawać się mogło, że potężny kanclerz, wypróbowany sternik nawy państwowej, przedłuży czasy świetności, jaką jaśniała Rzeczpospolita za króla Stefana. Sam Zamoyski mógł sądzić, że młodziutki Zygmunt pozwoli pokierować sobą i stanie się powolnym w rękach jego narzędziem. Ale wielki Zamoyski był tylko kanclerzem, a mały Zygmunt był królem i to królem dumnym, nieprzyjętym, upartym, a mającym poczucie swej królewskiej władzy. Chciał panować, miał swoje osobiste widoki, a te nie zgadzały się z widokami Zamoyskiego.

Pomiędzy królem a kanclerzem psuły się stosunki, aż doszło między nimi do jawnego zerwania.

Przeciwnicy kanclerza podali rękę Zygmunutowi i, sprzyjając jego matactwom, popchnęli politykę polską na tory, które, zbliżając Rzeczpospolitą do Austrii, narażały państwo na odosobnienie, budziły gniew Turcji,

niweczyły zdobycze Batorego. Jezuicka polityka nowego króla wywołała zacięte walki katolików z dysydentami, podniosła przeciw Zygmunтови wszystkich, co nie chcieli sojuszów z cesarzem, a przyczyniła się do wydarzeń, które wstrząsnęły Szwecją i poprowadziły ją do walki z Polską.

W listopadzie 1602-go roku umarł ojciec Zygmunta, król Jan szwedzki, znienawidzony przez naród, jako skryty katolik i wróg protestantów.

Korona szwedzka, prawem dziedzictwa, przeszła na Zygmunta.

Ale Zygmunt III, otoczony jezuitami, już jako król polski zdobył sobie opinię fanatycznego katolika, usposobionego nienawistnie względem innych wyznań. Tę okoliczność wykorzystał brat zmarłego Jana, a stryj Zygmunta, Karol, książę Sudermanji, żarliwy protestant, duch niespokojny, człowiek żądny władzy, wpływów i znaczenia. Wyzyskując obecność nowego króla w Polsce, Karol ogłosił się rejentem, pochwycił w swe ręce rządy i, stanąwszy na czele państwa, rozpętał ze swej strony fanatyzm religijny Szwedów. Nie chcąc dopuścić do tronu Zygmunta, przedstawiał go rodakom, jako fanatyka, pragnącego uczynić katolicyzm religją panującą w Szwecji, rządzić przy pomocy jezuitów i najstraszliwszemi środkami tępić protestantyzm. Zwołany w początkach r. 1593 sobór kościelny w Upsali uchwalił przyjęcie wyznania augsburskiego i katechizm Lutra uznał za podstawę nauki ewangelickiej.

Te wypadki zagroziły Zygmunтови utratą odziedziczonej po ojcu korony. Chcąc wyjechać do Szwecji i zapobiec knowaniom swego stryja, król w maju 1593 roku zwołał sejm do Warszawy i, dzięki wpływom



Zamoyskiego, z którym chwilowo się pogodził, otrzymał znaczne zasiłki pieniężne na wyjazd do Szwecji i uzyskał uchwały, zwrócone przeciw tym, co korzystając z jego nieobecności, wdaliby się w konszachty z cudzoziemskimi dworami i nowego króla pragnęliby osadzić na tronie. Ze swej strony potwierdził Zygmunt wolność elekcji i złożył obietnicę, że najdalej po upływie roku powróci do Polski.

Nie bacząc na znane mu rozdrażnienie umysłów w rodzinnym kraju, wybrał się do Szwecji z dworem katolickim, w towarzystwie nuncjusza papieskiego Malaspiny i czterech jezuitów. W październiku 1593 r. stanął w Sztokholmie. Ale i tu podobnie, jak w Polsce nie umiał pociągnąć ku sobie serca narodu. Szwedzi patrzyli na nowego króla z największą podejrzliwością. A Karol podrywał autorytet Zygmunta, knuł przeciw niemu intrygę, organizował spisek. Sejm, zebrany w Upsali, przedstawił Zygmuntowi do podpisania uchwały, warunkujące w Szwecji panowanie wyznania augsburskiego. Zygmunt, który istotnie płonął pragnieniem walki z herezją, wzbraniał się z położeniem podpisu na nienawistnym mu akcie i przewlekaniem sprawy umacniał tylko podejrzenia Szwedów. Nie mając za sobą żadnej siły, nie mogąc zaufać nowym poddanym, otoczył się Polakami i gwardją węgierską. Wreszcie zgodziwszy się na żądane warunki, z zastrzeżeniem, że i religja katolicka wolność uzyska, otrzymał koronę, ale obrzędu koronacyjnego dopełnił biskup protestancki.

Pomimo to wzburzenie umysłów rosnęło.

Zygmunt i jego otoczenie nie pozbywało się tendencji zapewnienia katolicyzmowi przewagi w Szwecji, a te tendencje do najwyższego stopnia rozdrażniały

ludność miejscową. Zaczęły się zatargi Polaków ze Szwedami, wybuchły zaburzenia w miastach. Docho-  
dziło do bójek w kościołach i na ulicach, a w całym  
kraju rosła do nowego króla nienawiść. Do zatargów  
na tle religijnem przyłączyły się spory o Estonję oraz  
żądania Szwedów, by król nie opuszczał kraju, co  
było sprzeczne z jego zobowiązaniem w stosunku do  
Polski.

Słaby Zygmunt, nie umiejący podołać rozlicznym  
trudnościom, a nie chcący w niczem ustąpić, prze-  
straszony zawieruchą, niepewny życia w swem nowem  
królestwie, oddał rejencję w ręce wrogiego mu Ka-  
rola i nieprzychylnego senatu, a sam, zgodnie z daną  
sejmowi warszawskiemu obietnicą, wyruszył do Pol-  
ski, pozostawiając za sobą wzburzone umysły.

Po wyjeździe króla wzmogły się zamieszki religij-  
ne. Książę Karol, zostawszy panem położenia, rozpę-  
tał nową burzę. Sejm, który zwołał nieprawnie, idąc  
za głosem opinji, wypowiedział wojnę katolicyzmowi.  
Na ten sygnał protestanci porwali się do walki. W ca-  
łej Szwecji zaczęto prześladować duchowieństwo ka-  
tolicckie, znęcać się nad mnichami, burzyć kościoły.  
Zygmunt przez pełnomocników starał się przywrócić  
porządek i poskromić zbuntowanego stryja. Wtedy  
Karol złożył swą władzę, jako rejent, ale rzucił się  
między lud, zwołał w r. 1597 sejm do Abroga i jawnie  
podniósł sztandar buntu przeciw Zygmuntowi. Stron-  
ników króla zaczął ścigać, więzić, tracić, a posłowi  
jego Samuelowi Łaskiemu hardo oświadczył, że co  
uczynił, to uczynił dla dobra swej ojczyzny.

Zygmunt za zezwoleniem sejmu, który na marzec  
1598 r. zwołał do Warszawy, po raz drugi wyruszył  
do Szwecji, wiodąc ze sobą tym razem kilka tysięcy

wojska. Karol zbrojnie wystąpił przeciw królowi. Wszczęte rokowania nie doprowadziły do skutku i obie strony wystąpiły przeciw sobie z orężem w dłoni. W bitwie pod Stegeborgiem dowódcy królewscy wojewoda wendeński Jerzy Farensbach i Ernest Wejher zadali klęskę zgromadzonym przez Karola wojskom. Ale Zygmunt, chcąc oszczędzić przelew krwi szwedzkiej, nie pozwolił wykorzystać zwycięstwa.

To niezdecydowanie króla pociągnęło za sobą najfatalniejsze następstwa. Karol, zyskawszy na czasie, zgromadził nowe siły, wydał Zygmuntowi nową bitwę pod Linköping i, korzystając ze swej przewagi, narzucił mu upokarzające warunki.

Król, zgodziwszy się za cztery miesiące zwołać sejm do Sztokholmu i oddalić wojska zaciężne, oddał księciu Karolowi jeszcze większą władzę i ze wstydem odjechał do Polski.

Po odjeździe króla ksiązę Sudermanji zajął zbrojną ręką Sztokholm i, zawładnąwszy całą Szwecją, z wyjątkiem Finlandji i Estonji, zwołał w r. 1599-ym sejm, który detronizował Zygmunta, a koronę szwedzką postanowił oddać jego synowi Władysławowi, wszakże pod warunkiem, że królewicz przyjedzie do Szwecji i w religji luterskiej wychowywać się będzie. Ponadto sejm uchwalił wysłać wojska szwedzkie na zajęcie Finlandji i Estonji.

Cała ta walka o koronę szwedzką, wywołana niedołęstwem Zygmunta, obojętna była Rzeczypospolitej. Małe państwo szwedzkie brało udział w wojnie o wybrzeża Bałtyku, ale w opinji polskiej nie uchodziło za poważnego wroga. Przymierze Zygmunta Augusta z królem szwedzkim, Janem (ożenionym z siostrą



Zygmunta, Katarzyną Jagiellonką, matką Zygmunta III) zawarte w r. 1569 wróżyło dobre z małym krajem stosunki, a oddanie korony polskiej królewiczowi szwedzkiemu pozwalało się spodziewać, że siły Szwecji pozyskane będą dla wspólnej walki z zaborczem carstwem moskiewskim.

Interes Polski sprzeciwiał się wojnie ze Szwedami.

Ale król Zygmunt ani myślał pogodzić się z utratą dziedzicznego tronu, a mógł go odzyskać jedynie przy pomocy Rzeczypospolitej. Odtąd więc wytrwale dąży do celu i dokłada usiłowań, by Polskę uwikłać w nową wojnę i zapomocą oręża polskiego odzyskać utraconą koronę.

Naród opiera się królowi, ale wypadki sprzyjają dążeniom Zygmunta.

Buntowniczy Karol Sudermański, zgodnie z uchwałami sejmu szwedzkiego, wkroczył zbrojno do Finlandji, opanował Narwę, Helsingfors, Wyborg, a stronników króla więził lub oddawał katu na ścięcie. W roku 1600-ym wpadł do Estonji, zajął bez trudu główne jej miasto Rewel i miasta pomniejsze.

Zygmunt pragnął wyruszyć przeciw stryjowi, ale sejm 1600 roku odmówił mu poparcia: Rzeczpospolita nie chciała wojny ze Szwecją.

Wtedy podstępny król rozkazał wojewodzie wendeńskiemu, Jerzemu Farensbachowi na własną rękę rozpocząć przeciw Szwedom kroki zaczepne. Usłużny wojewoda, chcąc zaskarbić sobie łaskę królewską, z kilkoma chorągwiami jazdy wypadł za granicę estońską, szarpał pomniejsze oddziały szwedzkie, przed większemi siłami uchodził za granicę. Zapytany przez Karola, czy Rzeczpospolita wypowiada wojnę Szwecji, uwięził posła i nie dał żądanych wyjaśnień. W odwet

za te zaczepki, księżę Karol na czele 24.000-go wojska wtargnął w marcu 1600 r. do Inflant. Ludność, podburzona odezwami w imię uciśnionego protestantyzmu, powitała Szwedów, jak oswobodzicieli. Szlachta i mieszczenie prześcigali się w usługach, okazywanych najeźdźcom. Parnawa otworzyła swe bramy wkraczającym Szwedom, poddał się Felin, przyjął załogę szwedzką Wolmar, a za tym przykładem poszły inne miasta i zamki. Całe Inflanty aż po Dorpat, zdobyte zdradą dopiero w grudniu, przeszły w ręce szwedzkie.

Teraz Rzeczpospolita została zaczepiona.

Sejm, zebrany na początku 1601-go roku, stanął przed faktem dokonanym. Godność państwa domagała się wyparcia napastników i wyzwolenia zagarniętych Inflant. Król celu dopiął, lecz chcąc szlachtę zagrzać do wojny, ofiarował Polsce utraconą prowincję szwedzką Estonję. Sejm dał się pociągnąć nowej perspektywie, uchwalił wojnę i pobór na jej prowadzenie.

W ten sposób Zygmunt III uwikłał Polskę w wojnę szwedzką, wbrew interesom i woli narodu.

Na tym-że sejmie zapadła uchwała, której skutki dały się odczuć już w najbliższym czasie, a w najzgubniejszy sposób miały wpłynąć na przebieg wojny i stosunek wojska do wodzów. Oto wystąpiono przeciw konfederacjom wojskowym i zakazano je pod karą gardła. Ale od tej zasady, mającej uniemożliwić zmywy rycerstwa, uczyniono wyjątki. Oto pozwolono żołnierzom na zawiązywanie konfederacji dla przedstawiania swych potrzeb, albo też w razie nieotrzymania należnej im zapłaty. Dzięki tej konstytucji konfederacje wojskowe otrzymały podstawę prawną, a że skarb Rzeczypospolitej był pusty i żołąd prawie nigdy

nie dochodził rąk żołnierskich we właściwych terminach, więc można było oczekiwać najsmutniejszych następstw. Przewidywał te następstwa Zamoyski, a rzeczywistość potwierdziła obawy.

Zygmunt III energicznie zakrzętnął się, by zgromadzić środki na wielką wyprawę. Zaciągał pożyczki, oddawał w zastaw klejnoty koronne.

Zamoyski, uproszony o objęcie naczelnego dowództwa, gromadził siły zbrojne.

Tymczasem Szwedzi, rozdzieliwszy swe wojska, przystąpili do oblężenia nie chcących się poddać twierdz i zamków, a hufce szwedzkie oparły się aż o Dźwinę. Hetman wielki litewski Krzysztof Radziwiłł-Piorun z wielkim pośpiechem już w końcu 1600 roku zbierał wojsko, złożone przeważnie z nadwornych chorągwi magnatów litewskich i, korzystając z rozdziału sił nieprzyjacielskich, w początkach 1601 roku zaczął gromić Szwedów. Wojewodowie Dembiński i Farenbach połączonymi siłami uderzyli na syna Karola, Karlsona pod Karkuzem, a 7-go stycznia (1601 r.) w bitwie pod Kiesią (Wenden) zadali wielką klęskę siedmiotysięcznemu wojsku Wrangla.

Na wiosnę 1601 r. na placu boju zjawili się obaj hetmani litewscy: wielki—Radziwiłł-Piorun i polny—Jan Karol Chodkiewicz, a 5.000 jazdy i 600 piechoty mieli pod swemi rozkazami. Radziwiłł pośpieszył z odsieczą Kokenhauzowi, który nadany mu został przez króla Batorego, a zajęty był przez Szwedów, chociaż zamek bronił się jeszcze. Wojskom hetmańskim usiłował stawić czoło Karlson, ale straciwszy 600 ludzi, dwa działa i cały obóz, sromotnie został odpędzony. Nie dał przecież za wygraną. Zgroma-



dziwszy znaczniejsze siły, po raz drugi próbował szczęścia. Przyszło do krwawej bitwy, trwającej od 7-ej rano do 2-ej po południu. Obaj hetmani wiedli rycerstwo do boju, a straszliwe ataki husarji, prowadzonej przez Chodkiewicza, znakomicie przyczyniły się do świetnego zwycięstwa. Karlson stracił 2.000 ludzi, 33 armaty, 12 chorągwi, cały obóz, a pozostałe wojsko, szukając ocalenia w ucieczce, poszło w rozsypkę.

Nazajutrz (24 czerwca 1601 r.) załoga, zajmująca miasto Kokenhauz, poddała się zwycięzcom.

Po tej bitwie Radziwiłł poszedł pod Kiesię i odebrał ją Szwedom, a Chodkiewicz zdobył zamki Treyden i Zygwolt.

Na nieszczęście pomiędzy hetmanami doszło do nieporozumienia, które odnowiło zażegnaną niedawno między nimi nieprzyjaźń i spowodowało przerwę w świetnie rozpoczętej kampanji. Gdy nadto przyszła wiadomość, że na plac boju ciągną wojska koronne, dumny Radziwiłł, nie chcąc podlegać komendzie Zamoyskiego, jako wodza całej siły zbrojnej, wycofał się pod Kokenhauz. Doczekał się przecież przybycia wojsk koronnych, oddał Zamoyskiemu dowództwo nad wojskiem litewskim, poczem wraz z synem Januszem odjechał do Wilna.

Chodkiewicz z Farensbachem, stanąwszy pod Rygą, zwycięsko odpierał zamachy wojsk szwedzkich na to miasto i z samym Karolem szczęśliwie staczał walki.

Tymczasem zbliżanie się wojsk koronnych zmieniło postać rzeczy na placu boju. Na wieść, że król Zygmunt przybywa z wielką siłą, księżę sudermański Karol, pozostawił syna swego Karlsona w Wolmarze,

Wilhelma księcia Nassau z pozostałymi wojskami osadził w Dorpacie, a sam odpłynął do Szwecji.

Król otoczony wielkim dworem, postępował bardzo powoli i obecnością swą paraliżował działania wojenne. Pod Rygą stanął dopiero w połowie września. Wojska koronne i litewskie przedstawiały się wspaniale, a liczyły 14.000 jazdy i 6.000 piechoty. Ale nieprzyjaciel zamknął się w twierdzach i uchylił się od przyjęcia bitwy w otwartym polu. Ominęło króla zwycięstwo, w którym pragnął wziąć udział. Jedynym pomyślnym wynikiem wyprawy stało się oswobodzenie od oblężenia Rygi, do której Zygmunt wjechał triumfalnie. Odebrawszy hołd wiernego miasta, udał się do obozu pod Wolmarem, zabawił tu parę tygodni i nareszcie wyjechał z obozu.

W wojsku zaczął się szerzyć głód, a słoty jesienne uniemożliwiały kroki wojenne.

Zamoyski doczekał się mrozów i zaczął nad wyraz ciężką kampanję zimową.

Sędziwy wódz wziął szturmem Wolmar i Felin, odniósł przy pomocy Żółkiewskiego i Chodkiewicza szereg znakomitych nad Szwedami zwycięstw, poodbierał miasta i zamki w Inflantach, wkroczył do Estonji i w końcu czerwca 1602 roku obległ Biały Kamień (Weissenstein), broniony przez potężne mury i baszty, a otoczony zewsząd nieprzystępnymi bagnami. Po bohaterkich wysiłkach całego wojska i ta groźna twierdza została zdobyta. W ślad za upadkiem tej fortecy w ręce polskie przeszły pomniejszych miasta i zamki. Zamoyski planował odebranie Dorpatu, myślał również o zdobyciu Narwy, stanowiącej wrota do Finlandji. Ale zamiarów tych nie zdołał już urzeczywistnić. Nie udało mu się również zająć Rewla, ani wypędzić Szwedów z Parnawy.

Stary kanclerz coraz częściej zapadał na zdrowiu, a przeżywał najokropniejsze chwile kłopotów i zgrzyzot, gdyż dla braku środków nie był w stanie wypłacić rycerstwu zaległego żołdu. Więc w niepłatnem wojsku rozluźniła się dyscyplina, podniosły się szemrania. Wódz srożył się, powściągał bunt, tłumił niezadowolenie, ale coraz mniej znajdował posłuchu. Niepłatny żołnierz porzucał szeregi, wymykał się z obozu i na własną rękę dopuszczał się łupiestw. Nieszczęśliwy Zamoyski z własnych zasobów opędzał najpilniejsze potrzeby, a naciśnięty koniecznością, oddał w zastaw swe złote łańcuchy i otrzymane pieniądze rozdał żołnierzom. Niewiele to pomogło. Zaległości były ogromne i drobnemi sumami nie można było zaspokoić wzburzonego rycerstwa. Więc kanclerz listownie naglił króla o przysłanie pieniędzy. Ale król, wyczerpawszy na początku wojny całą swą energję, nie wykazywał dostatecznego zrozumienia dla przesyłanych mu żądań, nie podtrzymywał strapionego wodza. A na dworze królewskim ścigały Zamoyckiego potwarze i oszczerstwa zawistnych języków.

Naczelny wódz, opuszczony przez króla, a coraz bardziej upadający na zdrowiu, postanowił złożyć komendę.

W takich warunkach trudno było o następcę. Hetman wielki litewski Radziwiłł, dobrze wiedząc o ciężkiem położeniu, wymówił się od przyjęcia dowództwa. Żółkiewski opuścił Inflanty, by stawić czoło nadciągającej burzy tatarskiej. Pozostawał hetman polny litewski, który złożył już dowody wielkiej sprawności bojowej i męstwa, a bawił chwilowo na Żmudzi. Na niego też padł wybór króla i kanclerza.

Chodkiewicz dobrze znał olbrzymie trudności, ale otrzymawszy zaszczytne wezwanie, na czele jednej



stukonnej chorągwi wraz z bratem swym Aleksandrem pośpieszył do obozu. Zamoyski, oddawszy swemu następcy gubernatorstwo Inflant i komendę nad resztą buntującego się wojska, odjechał do Zamościa.

Na placu boju pozostał Chodkiewicz, a pozostał w położeniu najokropniejszym. Zgłodniałe, zbiedzone wojsko rozprzęgło się ostatecznie. Piechota już wcześniej się rozeszła, a rotы konne teraz właśnie opuściły obóz i na własną rękę podjęły wyprawy dla zdobycia chleba. Żołnierz pustoszył królewszczyzny, dopuszczał się najokropniejszych gwałtów w dobrach prywatnych, a nie było żadnej siły, któraby mogła go powstrzymać.

Piękna armja polska, z największym wystawiona trudem, przestała egzystować. Triumfy oręża zniweczył głód. Świetnie zaczęta wojna kończyła się katastrofą. Rzeczpospolita niszczyła znakomite zwycięstwa, sławała w obliczu utraty osiągniętych korzyści, oddawała na łup wroga wszystko, co zdobyła bohaterskim trudem i krwią swoich żołnierzy.

Cała nadzieja była jeszcze w sejmie, który zebrał się w początku 1603 roku, a mógł ratować sprawę i przyjść Chodkiewiczowi z pomocą.

Ale sejm nie przejął się straszliwym stanem rzeczy w dalekich Inflantach i ani myślał o ratunku.

Pierwsze posiedzenia sejmu pełne były uniesienia z powodu zwycięstw Zamoyskiego. Sławił starego wozdza imieniem senatu biskup krakowski Bernard Maciejowski, a imieniem stanu rycerskiego gorąco przemawiał marszałek izby poselskiej, Jakób Kryski. Lecz na tych mowach wyczerpał się zapas sejmowy dla sprawy wojennej.

Polityka króla, który po śmierci pierwszej żony pragnął ożenić się z siostrą zmarłej królowej, arcyksiężniczką Konstancją i tem małżeństwem zacieśnić węzły sojusznicze z Austrią, stała się powodem wielkiego niezadowolenia sejmujących stanów, a intrygi panów Potockich przeciw Zamoyskiemu i wyrzekania dysydentów na nietolerancję Zygmunta wywołały najokropniejsze wzburzenie. Sejm huczał, hałasował, tonął w morzu intryg i waśni. Śród wyrzekań, skarg, żalów i wzajemnych oskarżeń, uchwalił pobór nie wystarczający nawet na pokrycie zaległego żołdu i rozszedł się, napełniwszy kraj cały odgłosami piekielnych kłótni i swarów.

Wojna ze Szwecją o koronę dla nielubianego króla nie mogła oczywiście wzbudzić w narodzie entuzjazmu. Ale ta wojna przez sejm była uchwalona, a godność i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej domagały się teraz przejawienia woli i hartu. Okoliczności sprzyjały szczęśliwemu ukończeniu wojny. Księżę Karol po klęskach, zadanych wojskom szwedzkim, stracił chwilowo popularność. Dalsza wojna nie rokowała Szwedom powodzenia. Ale opuszczenie placu boju przez wojska polskie i obojętność sejmu zmieniły postać rzeczy. Szwedzi, widząc, co się święci, nabrali otuchy — i buntowniczy książę Sudermanji, odzyskawszy swe wpływy, zaczął gromadzić hufce zaciężne i przygotowywać się do nowej kampanji.

Cały ciężar prowadzenia wojny spadł na barki jednego człowieka.

Na szczęście dla Rzeczypospolitej, tym człowiekiem był Jan Karol Chodkiewicz.

### III.

## ZWYCIĘSTWA CHODKIEWICZA. KIRCHOLM.

Opuszczony przez wojsko, niewspomagany przez sejm i króla, zapomniany przez wszystkich, Chodkiewicz z maleńką garstką opłaconych z własnego trzosa żołnierzy, pozostał na placu boju, jak samotna strażnica, wystawiona bez ratunku na burze i klęski urągającego mu losu. Nie stracił przecież serca i rąk nie założył bezczynnie. Nie widząc znikąd pomocy, użył swych potężnych wpływów i od przychylnych mu panów litewskich zaczął ściągać do siebie zbrojne poczty niezarażonych jeszcze demoralizacją żołnierzy. W ten sposób stanął wkrótce na czele 4.000 ludzi. I zaraz pokazał swoje lwie pazury. Oto wiosną 1603 r. ruszył na Dorpat, o którego zdobyciu marzył Zamoy-ski i szturm gwałtowny do murów twierdzy przypu-ścił. Załoga, w oczekiwaniu odsieczy, broniła się mę-żnie. Jakoż zagrożonemu miastu istotnie śpieszyły po-siłki. Ale Chodkiewicz miał się na baczości, a wie-dział dobrze o ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Od-stąpiwszy od oblężenia, poszedł na spotkanie zbliża-jących się Szwedów, spadł na nich, jak piorun i, od-niósłszy świetne zwycięstwo, powrócił natychmiast



pod mury Dorpatu. Załoga szwedzka, straciwszy nadzieję odsieczy, a przerażona gwałtownością szturmów, poddała twierdzę i miasto. Tysiąc zgórą żołnierzy, nie licząc pospólstwa, wyszło za mury, „ze zwinionemi chorągwiami, muszkiety pod pachą trzymając”.

Zwycięski hetman wprowadził swe szyki do Dorpatu.

Odebrawszy od mieszczan przywilej i pieczęć księcia Karola, przywrócił im dawne prawa, a 90 rajtarów nieprzyjacielskich skłonił do złożenia przysięgi na wierność Zygmuntowi.

Po tem pierwszym zwycięstwie, którego nikt nie oczekiwał, a które nadzwyczajnie uradowało króla, rozeszły się po całym kraju wieści o nowych Chodkiewicza triumfach. Oto żołnierze jego popłynęli rzeką pod miasto Narwę, wpadli niespodzianie na żołnierzy, zajmujących nowy fortyfikowany przez nieprzyjaciół zamek, stoczyli bój z rajtarją i piechotą szwedzką, zdobyli chorągiew, pięć dział i, wysiekłszy 200 Szwedów, porwali ze sobą dowódcę Persona i wraz z innymi więźniami wrócili do obozu.

W sierpniu 1603 r. stoczył Chodkiewicz bitwę pod Rewlem i 1.500 nieprzyjaciół położył trupem.

W ten sposób Szwedzi wstrzymani zostali w swoich zapędach.

Opuszczony przez Rzeczpospolitą hetman, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu odniósłszy kilka zwycięstw, utrzymał w posiadaniu polskiem Inflanty. Zdołał następnie o własnych siłach przetrwać słotną jesień i surową zimę. Ale nie był w stanie własnymi zasobami opędzać w dalszym ciągu potrzeb steranego wojska. A żołdu nie otrzymywał w porę. Ponieważ zaś z tego

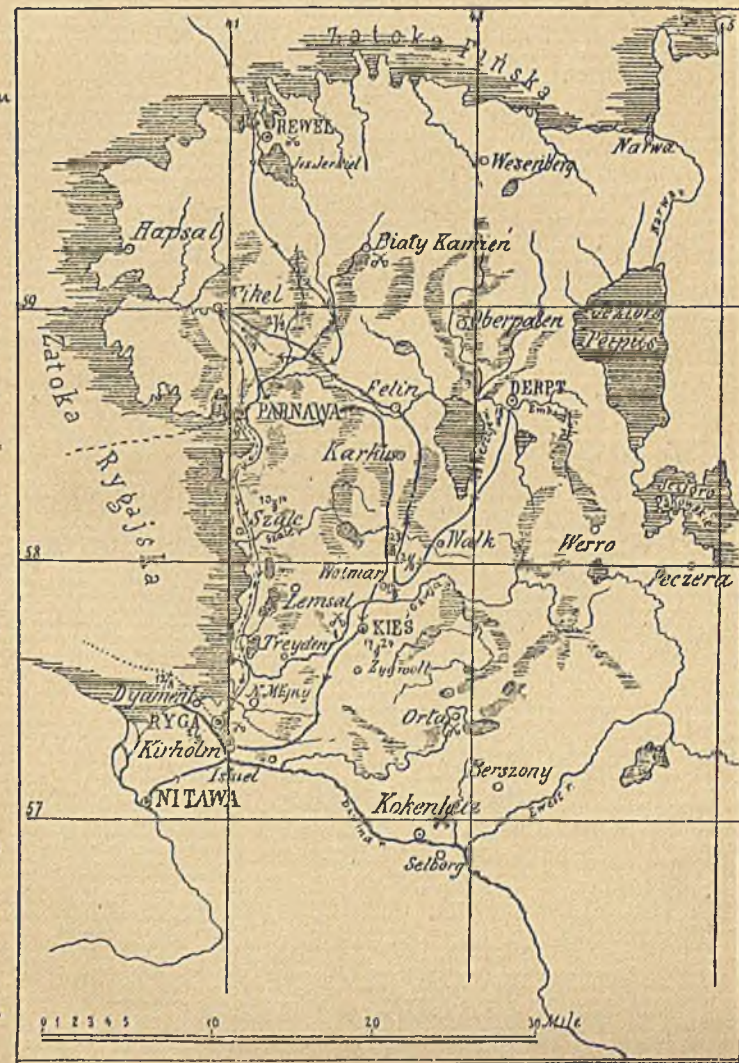


# PLAN do BITWY pod KIRHOLMEM dnia 27 Września 1605.

Mapa objaśniająca pochody wojsk podczas wyprawy Szwedów 1605r



Miejsce  
domniemane w którym  
zładzi obrosła się  
skarata.



Pochody.  
 Chodkiewicz i Księcia Kellera  
 Karola IX  
 Lindersona  
 Mansfelda

Opisano w Instytucie Geograficznym w Warszawie







i tam niech zginę. Nieprzyjaciel się gotuje i zapewne Inflanty zniszczone zostaną. Piechoty w zamkach 500 niemasz! Zastawiam Berzony, gotów jestem (zastawić) i majątność całą, ale gdzież teraz pieniędzy dostanę?!...”

Tak biadał nieszczęśliwy wódz. Prosił króla i groził mu zarazem. Nie stracił przecież hartu ducha i nie poddawał się rozpacz. Szukając na wszystkie strony pieniędzy, zapożyczył się u mieszczan w Rydze, zdołał zaspokoić najgwałtowniejsze potrzeby wojska i zapobiec dalszej dezercji. A zażegnawszy bunt, ruszył do Estonji przeciw nowym siłom szwedzkim.

Generał Linderson, dowiedziawszy się o pochodzie wojsk polskich, zapragnął uniknąć bitwy. Daremnie przecież krył się wśród bagien i borów, daremnie uchodził przed szukającym go Chodkiewiczem. Dnia 8-go września 1604 roku wódz polski dopadł ostrożnego nieprzyjaciela pod Białym Kamieniem i najstraszliwszą zadał mu klęskę.

Linderson wraz z niedobitkami umknął z placu boju, ale wkrótce potem doszły Chodkiewicza wieści, że Biały Kamień znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie: drugi wódz szwedzki generał Erichson 7000 ludzi przyprowadził pod twierdzę i pragnął ją wydrzeć Polakom. Oblężona załoga broniła się dzielnie, ale Szwedzi czynili postępy i wdzierali się już na mury, gdy niespodzianie zjawił się pod Białym Kamieniem Chodkiewicz.

Szwedzi zaniechali oblężenia i, zajmawszy mocne obronne stanowiska, uszykowali się do bitwy.

Wódz polski nie mógł mieć więcej ponad 3000 strudzonych żołnierzy, lecz nie rachował nieprzyjaciół. Zarządziwszy wypoczynek po forsownym marszu, wysłał na zwiady kozaków, którzy pomknęli ku sta-

nowiskom szwedzkim i natychmiast uciekli. Ten manewr radością nappełnił Szwedów. „Wyszli w pole i całą noc trąbili na znak triumfu”, donosił — później hetman królowi.

Niedługo trwał ten triumf.

Nazajutrz, dnia 25 września (1604 r.) jazda hełmańska z niesłychanym impetem wpadła na nieprzyjaciół i jak huragan zmiotła ich z pola. Zgórami 3000 wrogów legło trupem na placu boju, 6 dział, 21 chorągwi wpadło w ręce zwycięzców <sup>1)</sup>, a reszta wojsk nieprzyjacielskich, uchodząc przed ciosami polskich koncerzy i szabel, potonęła w bagnach. Straty Chodkiewicza wynosiły zaledwie 81 poległych i 100 rannych.

To zdumiewające zwycięstwo uwolniło Inflanty od nieprzyjaciela, ale nie zażegnało krytycznego położenia, w jakim znajdowała się garstka wojowników Chodkiewicza. Rzeczpospolita, nie zważając na błagalne głosy genialnego wodza, pozostawiła własnemu losowi zwycięskie hufce. Król, zajęty intrygami, nie umiał wykrzesać z narodu iskry współczucia dla nieszczęśliwych żołnierzy, możni panowie występowali przeciw królowi i kłócili się z sobą, szlachta siedziała bezpiecznie na swoich zagonach, obojętnie nasłuchując odgłosów, dochodzących z dalekich pól bitew.

Chodkiewicz, opuszczony przez cały naród, sam jeden musiał w dalszym ciągu dźwigać na swych barkach olbrzymi ciężar wojny. Żelazna jego wola paso-

---

<sup>1)</sup> Takie straty Szwedów w liście do króla podał Chodkiewicz. Historycy szwedzcy Loccenjus i Tuffendorf nie tylko tę klęskę potwierdzają, ale wykazują jeszcze większe straty Szwedów.

wała się z przeciwnościami losu, ale nie mogła zapobiec nieszczęściu. Nieopłacone, wynędzniałe wojsko wybuchło jawnym buntem, opuściło Inflanty i jak niszcząca szarańcza wtargnęło w granice Kurlandji.

Z niewysłowionym żalem i gniewem pisał o tych wypadkach Chodkiewicz w liście swym z dnia 10 grudnia 1604 roku do Lwa Sapiehy, kanclerza litewskiego:

„Żadna perswazja, żaden wzgląd na dostojęństwo majestatu, ani na powagę jurisdicții mojej nie wazą... Kurlandja wiecznie zapamięta to najście nieprzyjacielskie: podarta, splondrowana, białogłowy w plon jęte, wszelkie tyrańskie zbytki popełniane były. Umierałem z żalu, słysząc płacz, narzekanie i skwierk ze wsząd zachodzący”...

Na czele buntowników stanął słynny, niezwalczony w boju wojownik Lissowski, a przyłączyły się do niego chorągwie Niewiarowskiego, Kossakowskiego i Jana Piotra Sapiehy. Kilka rot zaledwie wytrzymało przy swym wodzu. Chodkiewicz domagał się, aby buntowników karano gardłem i banicją, ale Rzeczpospolita zbyt wiele zawiniła względem zbuntowanych żołnierzy, by śmiała podnieść na nich rękę. Tylko na Lissowskiego wydano (zniesiony niebawem) wyrok banicji. Innych wodzów buntu, jak również winnych morderstw, rabunku i zbrodni żołnierzy nie dosięgła kara. Sam kipiący gniewem Chodkiewicz musiał nałożyć na siebie więzy i wobec nowego niebezpieczeństwa, patrzeć przez palce na łupieskie chorągwie, wracające częściowo do jego obozu.

A niebezpieczeństwo istotnie było wielkie, bo Szwecja, nie bacząc na sromotne klęski, znowu wy-



teżala siły i w r. 1605-ym gromadziła nowe wojska do walki z Rzeczpospolitą.

Było to uderzające zjawisko.

Mały kraj zdobywał się co roku na olbrzymi wysiłki i pomimo przegranych bitew coraz poważniej zagrażał wielkiej Rzeczypospolitej. A przecież w ciągu lat czterech 24.000 żołnierzy szwedzkich padło trupem na przesiąkniętą krwią błotach Estonji i Inflant, a ogromny materiał wojenny dostał się w ręce zwycięzców. Jazda polska zdobyła w Szwecji taką sławę i zaczynała budzić taki postrach, że szlachta szwedzka nie chciała wojować z Polakami. Liczył się z tem Karol i już w r. 1602-ym na lat dwa uwolnił szlachtę od obowiązku stawania w szeregach wzamian za pomoc pieniężną. Ale strach przed Polakami ogarnął cały naród, gdyż pomimo obietnicy nadania szlachectwa tym, co staną pod chorągwiami, inne stany również nie śpieszyły na wezwanie Karola. Pomimo to zacięty Szwed nie dawał za wygraną. Wiedział on dobrze, jak nieliczne siły bronią zagrożonych Inflant, znał niemoc rozległego państwa, liczył na rozterki, wstrząsające Polską, wiedział, że jedno zwycięstwo nad nieliczną garstką zgłodniałego rycerstwa, wynagrodzi wszystkie klęski i Estonję wraz z Inflantami odda w moc Szwecji. Bunty w wojsku polskiem, stające się coraz częstszym zjawiskiem, również uprawniały do nadziei, że wytrwałość szwedzka złamie wkońcu przeszkodę i weźmie górę nad lekkomyślnością polską.

Więc nowy król szwedzki Karol, wspomagany przez sejm, który na nową wyprawę udzielił mu wielkich zasiłków, ścigał zaciężnych żołnierzy z Niemiec, Francji, Anglii, Szkocji, Niderlandów, uzbrajał Fin-

landczyków i Szwedów, a sam wybierał się na plac boju, by czuwać nad wszystkim i starannie przygotowaniem zwycięstwem zakończyć czteroletnie zapasy.

A tymczasem sejm, obradujący w Warszawie w styczniu 1605 r., po burzliwych mowach, skierowanych przeciw nieszczerej polityce króla, rozszedł się, nie uchwalwszy żadnych na dalsze prowadzenie wojny środków.

Wszystko pozostawało na głowie Chodkiewicza.

W połowie sierpnia 1605 roku wojska króla Karola rozpoczęły nową kampanję. Generał hr. Mansfeld na czele 4000 Niemców wylądował pod Rygą, generał Linderson z zaciężnem 5.000-em wojskiem cudzoziemskim pod Rewlem, a nieco później zjawił się pod Parnawą sam Karol i 5000 Szwedów, Szkotów i Anglików wprowadził na plac boju. Wszystkie te wojska miały połączyć się z sobą, uderzyć wspólnymi siłami na Rygę i po jej zdobyciu również łącznie posunąć się w głąb kraju.

Chodkiewicz stał w owym czasie pod Dorpatem, a pod swemi rozkazami miał wszystkiego 2400 jazdy i 1.000 piechoty. Wiedząc o zamiarach Szwedów, uprzedzał o gorącym niebezpieczeństwie króla i dostojników Rzeczypospolitej i błagał o pomoc. Ponadto rozsyłał na wszystkie strony listy, domagał się posiłków, wzywał na plac boju pospolite ruszenie, to znowu prosił, by każdy, kogo cnota szlachecka ruszy, chwycił broń i śpieszył ojczyźnie na ratunek. Nieszczęśliwego wodza, jedyne go w owym czasie obrońcę kraju przed nawałą szwedzką, łudzono w nikczemny sposób obietnicami, przyrzekano pomoc, zwodzono widokami, których nie było i w które nikt nie wierzył.

A nielicznych żołnierzy, którzy przy nim wytrwali, szarpała znowu najokropniejsza nędza.

Głodni, obdarci rycerze, zwodzeni nadzieją otrzymania żołdu, przyprowadzeni byli do rozpacz. Wniszczone okolice nie mogły dostarczyć żywności. Konie zdychały z powodu braku paszy, żołnierz przy- mierał głodem.

W takim stanie rzeczy w wojsku zaczynały się znowy—i bunt wisiał w powietrzu.

Powtarzała się znowu straszliwa hazardowna gra w której Rzeczpospolita stawiała na kartę utratę Inflant i zniszczenie czteroletnich trudów. I znowu jeden człowiek miał ratować sprawę. A człowiek ten, stojąc wobec przeważających a świeżych sił nieprzy- jacielskich, osaczony był własnem buntującym się wojskiem, miał przeciw sobie głód, nędzę, obojętność króla, senatu, sejmu, musiał słuchać skarg, żalów, wy- rzekań, których słuszność uznawał, a którym nic już przeciwstawić nie mógł.

Wobec tylu wrogów żelazna wola Chodkiewicza była jedyną nadzieją zbawienia. Jakoż niezłomny hetman, jak Herkules dźwigał w owej chwili na so- bie całą Rzeczpospolitą, a wiedział, że sam jeden zwy- ciężyć musi najpierw własne wojsko i własną rozpacz, z którą się szamotał, a która nieustannie szturmowa- ła do jego wielkiej duszy. Rozumiał, że w istniejących warunkach nie może myśleć o podjęciu kroków za- czepnych, a za nic nie chciał uznać się za zwyciężo- nego i ustąpić z pola. Walczył sam z sobą, a musia- ły być to gigantyczne zapasy, bo znalazł wreszcie wyjście. A wyjście to było równie straszne, jak stra- szne było położenie hetmana: oto powziął myśl, by



wszystkie zamki wysadzić w powietrze i z całych Inflant uczynić jedną mogiłę!

I byłby pewnie doprowadził do skutku ów niesłychany zamiar, i wstrząsnąłby światem, i zbudziłby nareszcie sumienie narodu, gdyby w owej pamiętnej a krytycznej chwili los mu nie przyszedł z pomocą. Oto do obozu jego pod Dorpatem zjawił się wysłaniec królewski i przywiózł 100.000 złotych. Ta suma uratowała od zniszczenia Inflanty i zapobiegła czynowi, który w dziejach świata znalazłby niewiele równie heroicznym przykładów.

Suma była niewielka, ale Chodkiewicz potrafił przy jej pomocy zażegnać bunt i skłonić żołnierzy do pozostania w szeregach.

A ułagodziwszy wojsko, powziął natychmiast plan walki. W niezwalczonym wodzu zbudził się lew, szukający wroga. Korzystając z chwilowego podziału sił nieprzyjacielskich, postanowił rozprawić się z Lindersonem. Wtem otrzymał wezwanie od ryżan. Ryga oblegana już była przez zaciężne wojska hr. Mansfelda i domagała się odsieczy. Nie tracąc chwili czasu, Chodkiewicz pozostawił cały tabor pod Dorpatem i rzucił się ku Rydze. Ale w Wolmarze otrzymał pocieszającą wiadomość. Załoga ryska broniła się dzielnie i dawała znać, że jeszcze czas dłuższy wytrzyma oblężenie. Hetman postanowił wykonać plan pierwotny. Pozostawiwszy kilka chorągwi dla obserwacji armji Mansfelda, wyruszył natychmiast przeciw Lindersonowi. Ale Linderson, gotujący się do napadu na Felin, na wieść o zbliżaniu się wojsk straszliwego hetmana, wspomniał na poniesione klęski, zaniechał oblężenia, cofnął się w bory i, poczyniwszy zasieki, ani myślał przyjmować bitwy w otwartym polu.

Daremnie Chodkiewicz wyzywał Lindersona do walki i szarpał bezlitośnie oddziały, które ośmieliły wychylić się z lasów.

Tymczasem i król Karol rozpoczął z resztą wojsk swoich marsz od Parnawy ku Rydze.

Chodkiewicz wpadł do Felina, wzmocnił załogę zamku, potem szybkim marszem przybył pod Kiesię i zapadł tutaj obozem, licząc na to, że zwabi ku sobie nieprzyjaciół. Lecz czekał daremnie. Szwedzi unikali bitwy, a wszystkie siły ściągali pod Rygę. Nie mogąc osiągnąć poszczególnych oddziałów szwedzkich, ani przeszkodzić ich połączeniu, bohaterski hetman, nie licząc się ze stosunkiem liczebnym wojsk obu, postanowił stoczyć bój z całą armją szwedzką. Drżał o Rygę, bo jej utrata równała się utracie całej prowincji.

— „Niebezpieczeństwa inflanckie, które odwłoką bardziej się jątrzyły,—pisał później do króla,—ścisnęły mię w ostatnią potrzebę”...

Rozumiejąc, że nadchodzi chwila decydująca, uroczyście przygotowywał się do niej. A więc zarządził 40-godzinne nabożeństwo, a całemu wojsku, jakby w przeddzień śmierci, rozkazał spowiadać się i komunikować. Dnia 25 września zerwał się z miejsca i, pędząc w kierunku Rygi, w dwa dni przebył wraz z jazdą i piechotą 80 kilometrów i zapadł pod Kircholmem. Było to wzgórze z murowanym kościołem i cmentarzem, położone na prawym brzegu Dźwiny a o 15 kilometrów od Rygi oddalone.

Na wiadomość o zbliżaniu się Chodkiewicza, król Karol zwołał radę wojenną. Postanowił on prowadzić dalej oblężenie Rygi, a przeciw hufcom litewskim

wysłać 8000 wojska. Zapewniał swych wodzów, że te siły wystarczą, by Litwini uciekli.

Ale otaczający króla generałowie nie podzielali tego poglądu. Generał Linderson, który kilkakrotnie doświadczył na sobie strasznych uderzeń husarji, unosił się nad odwagą Litwinów, a wkońcu rzekł do Karola:

— „Prędzej zobaczysz wasza król. mość Dźwinę wstecz płynącą, niż Litwinów i ich hetmana uchodzących z pola”.

Tejże nocy do namiotu króla wprowadzono jeńca-Polaka. Był to Krajewski, towarzysz z pod ciężkiego znaku. Olbrzymiej postaci, wyniosły i spokojny, stanął śmiało przed królem, w stalowej zbroi, z orlemi skrzydłami u ramion a lamparcią skórą na grzbiecie. Stanął, jak uosobienie męstwa i siły. Z podziwem oglądali generałowie cudzoziemscy husarza polskiego, a hr. Mansfeld, uderzony postawą jeńca, rzekł:

— „Jeżeli wszyscy Polacy podobni są do tego rycerza, tedy nie wątpię, że się z wojskiem naszym spotkać nie ulękną!”

Król, rozgniewany tą pochwałą, odpowiedział opryskliwie:

— „Weź i ty wilczą skórę na ramiona, a równie strasznie będziesz wyglądał. Nie bierz miary z jednego. Może być takich kilkunastu”...

Krajewski, zaproszony do stołu, upewniał Karola, że nieliczne, marszami zmordowane wojsko hetmańskie, nie myśli uciekać i w każdej chwili gotowe jest stanąć do boju. Na to król znowu wybuchnął gniewem i ze złością mówił o hetmanie, który nie będąc młodzikiem, ani też zgrzybiałym starcem, ani wodzem



z rozumu obranym, musi być chyba niepomiernie zuchwałym. I tę zuchwałość obiecywał najsrożej ukarać.

Ale usłuchał rady Lindersona, zaniechał obleżenia Rygi i całą swą armję, liczącą 11000 piechoty, 3000 jazdy oraz 11 dział postanowił wyprowadzić na spotkanie ze straszliwym hetmanem. Teżsame nocy wydał rozkazy i z całym wojskiem wyruszył pod Kircholm. Licząc, że znużone wojsko litewskie zażywa spoczynku, chciał jeszcze w nocy uderzyć niespodzianie na obóz Chodkiewicza. Lecz o północy lunął deszcz i burza rozszalała w przestworzach. Król zaniechał ataku — i czekał wschodu słońca.

O świcie, w pamiętnym dniu 27 września 1605 r. oba wojska stanęły naprzeciw siebie.

3400 żołnierzy, niedawno jeszcze zbiedzonych, wygłodniałych, grożących buntem, miało się zmierzyć z 14000 Szwedów, Niemców, Holendrów, Anglików, Szkotów, wiedzionych przez nowego króla szwedzkiego, któremu naród nie skąpił zasiłków, a który wykazał w prowadzeniu wojny wielką energję, i choć wojska jego tylokrotnie poniosły klęski, to przecież stanąwszy do decydującej rozprawy, miał cztery razy większe siły, niż rozległa a potężna Rzeczpospolita.

Wojsko hetmańskie, stojąc w ściśnionych szeregach za wzgórzem, niewidoczne było zrazu dla nieprzyjaciela. Król, sądząc, że Chodkiewicz umknął z pola, już chciał zarządzić pogoń, lecz wstrzymał go generał Linderson uwagą, że hetman, ukrywszy się za wzgórzami, w największej sprawności bojowej oczekuje zapewne nieostrożnego natarcia. Więc Karol zarzucił myśl o pogoni—i wojsko swoje swobodnie rozwinął na rozległym wzgórzach. Środek zajęła piechota

Lindersona i ks. Fryderyka, uzbrojona spisami a ustawiona w 30 szeregów, tworzących wielki czworokąt. Ten czworokąt ze wszystkich stron, jakby stalową obręczą opasany był trzema szeregami muszkietników, mających ogniem rotowym odpierać ataki jazdy. Muszkietnicy na parę kroków przed sobą wbili w ziemię długie piki, których groźne ostrza, zwrócone na zewnątrz, czyniły jakby płot, broniący dostępu, a niebezpieczny dla koni i jeźdźców. 11 dział polnych ustawiono po obu bokach piechoty. Na skrzydłach uszykowały się chorągwie jazdy: pod hr. Mansfeldem na prawem i generałem Brandtem na lewem skrzydle. W odwodzie stanęła gwardja królewska, pod pysznym sztandarem, wyobrażającym dwie ręce i koronę z napisem łacińskim: *Sum, sum, sum!*<sup>1)</sup>). Reszta rajtarji i część jazdy inflanckiej uzupełniała rezerwę.

Król, dla dodania ducha wojsku, drwił ze szczupłości sił nieprzyjacielskich i, jeżdżąc wzdłuż szeregów, wyśmiewał hetmana, z wielką pewnością siebie przepowiadając Szwedom zwycięstwo. Gdy ksiązę Fryderyk lünebursko-brunświcki wypowiedział jakąś krytyczną uwagę przeciw lekceważeniu walecznego wroga, król odparł mu gniewnie, że jest niewiastą i tchórzem i że mu bardziej kądziel, niż oręż przystoi. Usłyszawszy taką obelgę, mężny ksiązę zsiadł z konia, cisnął na ziemię szyszak i by pokazać, że się Litwinów nie boi, pochwycił pikę i stanął na czele piechoty.

W obozie polskim panowała cisza. Rycerstwo, po wysłuchaniu nakazanych przez hetmana modłów,

---

<sup>1)</sup> «Jestem, jestem, jestem!» W ten sposób król szwedzki przypominał wojsku swoją obecność.



od świtania stało w szyku bojowym. Gdy czaty dały znać, że Szwedzi się ukazują, hetman na wspaniałym koniu zjawił się przed szeregami i gorącą mową powitał żołnierzy. Nie tając, że czeka ich wielkie zadanie, twierdził, że muszą odnieść zwycięstwo nad liczniejszym wrogiem, i zwrócił uwagę, że w razie klęski nie mogliby nawet uciekać, gdyż Dźwina zamyka odwrót.

— „Jedyna nadzieja, — mówił, — spoczywa w naszych rękach i pomocy Boga!”

Gdy wspomniał o ogromnej liczebności nieprzyjaciół, stojący w pobliżu hetmana towarzysz pancerny zawołał:

— „Policzymy lepiej, gdy Szwedów wybijemy!...”

Podobał się ten okrzyk wodzowi.

— „Daj Boże, — odparł, — by się słowa waszmości spełniły. Biorę je za dobry znak ochoty waszmościów i mam nadzieję w ich męstwie, że się nam powiedzie!...”

I wywiódł wojsko na wzgórze. Wtedy cały obóz nieprzyjacielski przekonał się, że hetman nie myślał uciekać i że szykuje się do stoczenia bitwy.

Oba wojska, zajmujące przeciwległe wzgórza, z ciekawością spoglądały na siebie.

Chodkiewicz chorągwie swoje ustawił kilkoma szeregami w ściśniętych kolumnach, tak że maleńka jego armja jeszcze szczuplejszą wydała się nieprzyjacielowi. A uczynił tak umyślnie. „Była w tem chytrość hetmańska”, powiada współczesny kronikarz biskup Piasecki. Chciał „ubezpieczyć nieprzyjaciela w zachwalstwie”, ośmielić go do kroków zaczepnych i w ten sposób skłonić do opuszczenia mocnej pozycji na

wzgórzu i zwabić na równinę, dogodną dla ataków jazdy.

Środek małej armji zajęła trzystokonna chorągiew husarska samego hetmana pod sprawą porucznika Wincentego Wojny. Na lewym skrzydle stał Tomasz Dąbrowa z 500 husarzami i 700 petyhorców i kozaków, a na skrzydle prawem — znakomity, a straszliwy w boju starosta uświacki Jan Piotr Sapięha z 650 husarzami. Całą piechotę, złożoną z 1040 ludzi i pozostałych 200 husarzy umieścił hetman w odwodzie pod dowództwem swego ulubieńca, sławnego rotmistrza Lackiego.

Miejsce, które Chodkiewicz wybrał na bitwę, mieściło się na prawym brzegu Dźwiny, a tworzyło pod Kircholmem wolną, blisko 6 klm. kwadratowych tworzącą równinę, przeciętą gościńcem, biegnącym od Dynaburga do Rygi między urwistym brzegiem Dźwiny a ścianą gęstych borów. Niegdyś ta wolna przestrzeń była w połowie wysepką, otoczoną łożyskiem rozdwarzającej się w tem miejscu rzeki. Lecz stare łożysko, ciągnące się po Kurtenhof, było w owym czasie wyschnięte, a płaskie brzegi, gdzieniegdzie tylko bagniste, nie utrudniały swobodnych ruchów na całej przestrzeni. Z dwu stron tej równiny wznosiły się wzgórza, zajęte teraz przez obserwujące się wojska.

Karol, ujrawszy sławną jazdę Chodkiewicza, musiał się stropić tym widokiem, bo pomimo przechwałek i niezmiernej przewagi sił swoich, nie wydawał hasła do bitwy. Nawet działa szwedzkie milczały, jak zakłęte.

Ale i wódz polski nie śpieszył się do boju.

Chcąc jednakże ściągnąć nieprzyjaciela ze wzgórza, wysłał mu na przynętę harcowników, którzy wypadli



na równinę i, potrząsając szablami, do walki w pojedynkę zapraszali Szwedów. Nieprzyjaciel przyjął wyzwanie i gromadka jeźdźców szwedzkich odważnie pocwałowała na spotkanie Litwinów. I oto na oczach wojsk obu runęli na siebie zapaśnicy. Błysnęły szable i rapiery, rozległ się szczeł stali, rycerz zwał się z rycerzem. Lecz siły były nierówne: szlachta litewska i polska, znakomicie władająca bronią sieczną, odrazu wzięła górę nad przeciwnikiem. Zaraz w pierwszym starciu kilku jeźdźców nieprzyjacielskich padło z koni nawznak ku swoim, co wojsko polskie przyjęło radosnym okrzykiem, gdyż widziało w tem wróżbę niechybaego zwycięstwa. Pomimo to nowi harcownicy szwedzcy wyruszali w pole i, szukając śmierci lub sławy, rzucali się z furją na zwycięskich szermierzy.

Przedłużały się harce, a zawsze niepomyślne dla Szwedów.

Tymczasem słońce podniosło się wysoko, zbliżało się południe, harce trwały dalej, lecz obie armje stały nieruchomo, jak wkopane w ziemię.

Niespodziewanie na lewym brzegu Dźwiny ukazał się oddział jazdy. Byli to Kurlandczycy, których na pomoc Chodkiewiczowi prowadził wierny lennik Rzeczypospolitej, książę Kettler. Stanąwszy nad rzeką, a ujrzawszy wojska, gotowe do boju, dzielny książę rzucił się bohatercko wplaw i niezaczepony przez Szwedów, chociaż się przeprawiał blisko ich pozycji, przedostał się szczęśliwie na drugi brzeg Dźwiny. 300 jazdy wzmocniło siły hetmana. Ta nieoczekiwana pomoc ożywiła rycerstwo i całemu wojsku wielkiej dodała otuchy.

Chodkiewicz wdzięcznie powitawszy Kettlera, wzmo-  
nił jego jazdą hufiec porucznika Wojny.

W chwilę potem za tyłami wojsk polskich na błę-  
kitnem tle dalekich lasów ukazały się nowe zastępy.  
To młody Radziwiłł prowadził posiłki. Tak mówił  
Chodkiewicz, a radosna wieść z krańców w krańce  
przebiegła szeregi i nowy zapał wywołała w wojsku.  
Nie był to jednak Radziwiłł, lecz ciurowie obozowi,  
którym hetman rozkazał ukryć się w lasach i wystą-  
pić w odpowiedniej chwili, by wojsko udawali. W ten  
sposób dodawał serca swoim i niepokoił wroga.

Obserwując armję Karola, powziął Chodkiewicz  
plan, w który wtajemniczył dowódców. Porucznik  
Wojna miał uderzyć na całą piechotę, Dąbrowa na  
prawe, a Sapieha na lewe skrzydło jazdy nieprzyja-  
cielskiej. Tę jazdę obaj mieli rozbić, poczem rzucić  
się natychmiast na boki i tyły piechoty, z którą od  
czoła walczyć będzie Wojna. By planowi zapewnić  
większe widoki powodzenia, należało Szwedów ścią-  
gnąć na równinę. Tymczasem Karol nie myślał opusz-  
czać swej mocnej, a niewygodnej dla ataków jazdy  
pozycji.

Hetman postanowił spróbować podstępu.

W tym celu wysłał barcownikom swoim rozkaz,  
by wyczekali odpowiedniej chwili i, wydawszy krzyk  
trwogi, cofnęli się szybko do obozu.

Doskonale wykonany manewr natychmiast poskut-  
kował.

— „Czyż nie powiedziałem, że Litwini uciekną!?” —  
zawołał triumfująco król szwedzki i z okrzykiem:  
„Jehowa!” rozkazał wojsku w bojowym szyku sto-  
czyć się ze wzgórze. Zadrżało od przeciągłych okrzy-  
ków powietrze, zadudniała ziemia pod ciężarem dział



i kopytami koni, zakołysał się w miarowym ruchu olbrzymi łań piechoty — i cała masa nieprzyjacielska, połyskując żelazem i stalą, wtoczyła się na dolinę. Jazda szwedzka, łamiąc prosty szyk idącej naprzód armji, wyprzedziła piechotę i z dwu stron, postępując ku szczupłej garstce wojowników polskich, zbliżała się coraz bardziej ku sobie. Zdawać się mogło, że armja nieprzyjacielska wyciąga ramiona, które zacieśniają się coraz bardziej, by za chwilę ogarnąć i w śmiertelnym uścisku zdusić garstkę stojących nieruchomo rycerzy.

Lecz gdy piechota szwedzka zatrzymała się na równinie, a muszkietnicy zaczęli wbijać w ziemię swoje długie piki, z maleńką armją hetmańską stało się nagle coś dziwnego. Chodkiewicz skinął buławą — i ściśnione kolumny rozwinęły się w jednej chwili w długą linię bojową, tak szybko i tak sprawnie, że zdumienie ogarnęło Szwedów. Wydłużone błyskawicznym ruchem hufce zdawały się troić i wyrastać z pod ziemi w oczach nieprzyjaciół.

A zaledwie nowa linja została sformowana, w tejże chwili zagrzmiały przeraźliwie trąby, huknęły kotły i chorągiew husarji hetmańskiej pod wodzą porucznika Wojny pierwsza zerwała się z miejsca i z okrzykiem: „Jezus! Marja!” przeleciała pomiędzy dwoma skrzydłami rajtarji i runęła na najeżone spisami czworoboki szwedzkie. Rozległ się trzask muszkietów, smuga białego dymu wykwiła na równinie, zadzwoniły kule o stalowe zbroje, lecz lawina jeźdźców rwała niewstrzymanym pędem ku samemu środkowi stojącej murem piechoty. Natrafiwszy na piki, zwrócone ku sobie ostrzami, w jednej chwili, acz nie bez strat, roznieśli je husarze cięciami szabel i koncerzy,



JAN PIOTR SAPIEHA



obalili ciężarem rozhukanych koni i, wpadłszy na muszkietników, przejechali po nich i uderzyli na następne szeregi. Te dopiero zdołały powstrzymać straszliwy zapęd. Zawrzał bój morderczy. Trzystu jeźdźców, waląc się na jedenaście tysięcy piechoty, darło się naprzód, wyrabując koncerzami drogę i rum sobie czyniąc wśród ciżby żywych ciał ludzkich i trupów, padających pod kopyta koni. Podniosła się wrzawa przerażenia, a wśród niej coraz potężniej brzmiały okrzyki nawołujących się wzajem rycerzy: „Kłuj! siecz!” I żelazna ława husarji, rwąc w strzępy piechotę, posuwała się dalej i dalej, i coraz większe czyniła spustoszenie.

Chodkiewicz, widząc nadludzkie wysiłki swojej chorągwi, posłał na jej wsparcie dwie rotы konnicy księcia kurlandzkiego. Dzielna jazda ks. Kettlera, wpadłszy w wyrwy, poczynione potężnym atakiem husarji w murze frontowym czworoboku, rozerwała formujące się na nowo szyki i nowy wywołała zamęt.

Jednocześnie toczyła się walka na skrzydłach.

Ku rajtarom, podchodzącym z dwu stron ku pozycji polskiej, pchnął hetman, zgodnie ze swym planem, hufce Tomasza Dąbrowy i Jana Piotra Sapiehy.

Na samym początku bitwy rajtarzy prawego skrzydła pod wodzą hr. Mansfelda, posuwali się wolnym kłusem ku punktowi, od którego mieli rozpocząć swój manewr okrążający. Nagle usłyszeli gromkie bojowe okrzyki i nim zdołali zorientować się w położeniu, już ujrzeni pędzące, jak wichry, chorągwie Dąbrowy, z których jedne zbliżyły się od czoła, a drugie godziły w bok odsłonięty. Jak burza spadli skrzydlaci husarze na oszołomionych rajtarów, rozerwali ich pierwszym zapędem, pchnęli wstecz na równinę, zmu-

sili do odwrotu i, jadąc na karkach uciekających, wpędzili ich, jak spłoszone stado na narożne czworoboki ks. Fryderyka. Nieszczęśliwi rajtarzy, natratowawszy swoich piechurów, wydostali się na wolną przestrzeń, ale teraz dopadły ich lekkie chorągwie petyhorców i na jedną chwilę nie pozwoliły im wychnąć i sformować się dla dania odporu.

A Dąbrowa, wypełniając rozkaz hetmański, z całą swą husarją i kozakami uderzył na nieprzyjacielską piechotę. Gdy Wojna i Kurlandczycy zmagali się od czoła, Dąbrowa łamał prawy bok i tyły czworokątu i coraz głębiej wrzynał się w słoczony szereg. Tutaj na czele Niemców walczył bohatersko książę Fryderyk lünebursko-brunświcki. Dopadł go Dąbrowa i, nie poznawszy wodza, jednym cięciem szabli rozplątał mu czaszkę i odrąbał prawicę. Rozpryśli się na ten widok żołnierze niemieccy i powiększyli straszliwe zamieszanie.

A Chodkiewicz, śląc piorun za piorunem, wyrzucił na plac boju całą swą piechotę.

Porwali się ławą chłopów litewscy i białoruscy, rzucili się z toporami w rękach między rozbite szyki, oblegli kościół i cmentarz, skąd część niedobitków broniła się gęstymi salwami muszkietów, zdobyli mury cmentarza, wdarli się do kościoła i trupami zastali pobojowisko.

Prawe skrzydło nieprzyjacielskie było rozbite: jazda zemknęła z pola, a piechota, częściowo wykluta i strątowana, coraz słabszy stawiała opór i coraz większe ponosiła straty. Ale garstka wojsk hetmańskich nie mogła rozbić jednym zamachem jedenastotysięcznej dobrze uzbrojonej piechoty. Czworoboki na lewym



skrzydle trzymały się sprawnie, a jazda również sta-  
wiała opór zacięty.

Tutaj z konnicą gen. Brandta walczył nieustraszo-  
ny w boju Sapieha. I on ze swoją husarją spadłszy  
na rajtarów, szykujących się do okrążenia, rozbił ich  
pierwszym impetem i za uciekającymi puścił się w po-  
goń. Ale spotkała go nagła przeszkoda. Oto król  
szwedzki, widząc klęskę swoich, wypuścił rezerwy  
jazdy, rzucił je niespodzianie w bok goniącej husarji,  
zmusił ją do zaprzestania pogoni i rozpoczęcia walki  
z nowymi siłami. Napadnięci mężnie spotkali atak, ale  
tymczasem uciekający rajtarzy, ochłonawszy z prze-  
rażenia, sformowali się na nowo i skoczyli w wir  
walki. 650 niezwalczonych husarzy Sapiehy stawilo  
teraz czoło 2.200 rajtarom, walczącym pod okiem  
samego króla. Zdawało się, że sapieżyńcy przemogą  
nieprzyjaciela, bo ich impetowi nie mogli oprzeć się  
Szwedzi. Ale dwukrotnie rozerwane szyki części jazdy  
królewskiej „poprawowały się w polu” i dwukrotnie  
z furją wracały do walki.

Wahało się zwycięstwo.

Chodkiewicz, baczny na wszystko, pośpieszył ze  
swym orszakiem na zagrożone miejsce, by własną  
osobą dodać męstwa rycerstwu.

Omdlewały ramiona husarzy, ale szczęk szabel  
nie ustawał na chwilę, a od ich potężnych ciosów pa-  
dały pokotem zastępy szwedzkie i jak zrąbane drze-  
wa waliły się na ziemię. Zrozpaczony król ostatnie  
swe chorągwie rzucił do boju. Nadeszła chwila kry-  
tyczna. Hetman, widząc niebezpieczeństwo, błagał hu-  
sarzy, by dobyli reszty sił i wytrzymali to ostatnie  
rozpaczliwe natarcie.

A gdy pędząc między szeregami, zachęcał swoich do męstwa, zabiegł mu drogę olbrzymi rajtar i wypalił nagle z pistoletu. Kula ugodziła w towarzyszącego hetmanowi jeźdźca. Rajtar zawrócił konia, lecz wzburzony Chodkiewicz skoczył za uciekającym, dognał go kilkoma susami i w pełnym biegu, ciąższy straszliwie szablą, zmiotł głowę z karku zuchwałego Szweda.

Husarja Sapiehy nie przestawała walczyć i, dobywając ostatka sił, łamała się z wrogiem. A ten nadludzki wysiłek sprawił, że Szwedzi, pomimo przewagi liczebnej, zaczęli słabnąć.

Na to właśnie czekał Chodkiewicz.

Dostrzegłszy wyczerpanie nieprzyjaciół, a widząc, że król szwedzki nie ma już ani jednej chorągwi w odwodzie, pchnął gońca do rotmistrza Lackiego i powiadomiwszy go o stanie rzeczy, kazał uderzyć na chwiejących się Szwedów.

Dzielny rotmistrz w jednej chwili rozwinął swój hufiec—i 200 jeźdźców w pełnym pędzie, jakby lecących na orlich skrzydłach, z szumem i krzykiem wypadło na równinę, minęło zdala zmagające się hufce, a potem zakreśliwszy łuk, zmieniło nagle kierunek i z największym impetem uderzyło w lewy bok nieprzyjaciela. Tego ataku nie wytrzymali już Szwedzi. Jak wióry, porwane wichrem, poddali się straszliwemu naporowi i pchani siłą żelaznych olbrzymów, zwalili się na lewe skrzydło własnej piechoty. Tutaj czworoboki szwedzkie, stojąc w dobrym ordynku, broniły się zajadle atakom Wojny i Kurlandczyków. Nagle na walczących piechurów wpadli rajtarzy. Zadrżały ściany czworoboków i pękły pod naciskiem uderzenia własnej swej jazdy. A na karkach tej jazdy



pędzili husarze Sapiehy i Lackiego. Blisko 3.000 jeźdźców, gnanych i goniących, jak huczająca lawina ogarnęło nieszczęśliwą piechotę, pokryło ją błyskawicami szabel i koncerzy, przeleciało po niej, niby po wijącym się w konwulsjach mrowisku i całą masę, stojącą na drodze ucieczki i pościgu, zmiażdżyło i wdeptało w krew przesiąkniętą ziemię.

Wrzawa śmiertelnego lęku uderzyła w niebo. Reszta armji szwedzkiej, porwana panicznym strachem, gnana przerażeniem, rozprysła się na wszystkie strony i w rozpaczliwej ucieczce zaczęła szukać ratunku.

Bitwa była skończona.

Na polu, zasłanem trupami, pokrytem strumieniami krwi, rozedrganem jękami konających, zagrały trąby i surmy, zwiastujące zwycięstwo, a ich przeciągłe dźwięki wypełniły równinę, obily się o stromy brzeg Dźwiny, rozeszły się po ostępach przepaścistych borów i tysiącznem echem grały i grały w dalekich przestworzach.

Śród dźwięków tej muzyki szalała w pogoni za wrogiem zwycięska jazda litewska i polska.

Główna masa nieprzyjaciół pędziła traktem, prowadzącym do Rygi. Ale trakt szedł w górę i zwał się coraz bardziej pomiędzy ścianą borów a stromym brzegiem Dźwiny. Na tym trakcie rzeź się rozpoczęła, a trupy szwedzkie zasały drogę aż do wioski Blumenthal, odległej o ćwierć mili od Rygi.

Król Karol z jedną chorągwią rajtarów, bez kapelusza, zmykał na złamanie karku, mijając rozbite szyki swej piechoty i jazdy. Ale Litwini dopędzili uchodzącą chorągiew, wycięli ją i samego króla, pod którym konia zabito, omal nie wzięli do niewoli.

Szlachcic inflancki, Henryk Wrede, widząc, co się dzieje, zsiadł z własnego konia i oddał go Karolowi. Dopadli Wredego jeźdźcy i roznieśli go na szablach, ale król ocalał. Z kilkoma zaledwie rajtarami dopadł swej floty i ledwie żywy ze strachu, wstydu, hańby i gniewu, odpłynął natychmiast do Szwecji. Podobno, ujrawszy na pokładzie swego statku jeńca Krajewskiego, rzucił się na niego i w przystępie wściekłości szpadą go przebił.

Najświetniejszym, wręcz nieprawdopodobnym zwycięstwem skończyła się sławna po wsze wieki bitwa pod Kircholmem.

Czterokrotnie liczniejszy wróg wycięty został doszczętnie. 9,000 trupów nieprzyjacielskich legło na pobojowisku, \*) zginął zięć Karola, książę Fryderyk lünebursko-brunświcki, padł mężny generał Linder-son, wielu znakomitych wojowników cudzoziemskich, sprowadzanych z odległych krajów przez króla szwedzkiego, przypląciło życiem swój udział w sławnym pod Kircholmem boju. Cały obóz, kilkuset jeńców, 11 dział, 60 chorągwi dostało się w ręce zwycięzców. Tych zaś, co uszli przed pogonią, kryjąc się w lasach, wymordowali co do nogi chłopci. Armja króla szwedzkiego przestała egzystować.

To niesłychane zwycięstwo okupione zostało setką poległych rycerzy i dwustoma rannymi, wśród których znajdował się Dąbrowa i rotmistrz Lacki.

— „Ludzi waszej król. mości, — donosił później hetman Zygmuntowi, — do sta zginęło, wiele rannych, więcej koni pobitych odeszło. Wiele wprawdzie razów

---

\*) Historycy szwedzcy podają liczbę poległych na samym placu boju na 8.000, nie licząc tych, co zginęli w pogoni, potonęli w Dźwinie lub wymordowani zostali przez chłopów.



na małość wojska waszej król. mości, mało jednak względem wielkości nieprzyjacielskiej”...

Całe wojsko najchwalebniej spełniło swój obowiązek. Odznaczył się książę kurlandzki, który według współczesnej relacji cały czas „znajdował się przy boku j. m. pana hetmanowym”. Obaj przebiegali plac boju „tam i sam, gdzie tego potrzeba ukazywała”, obaj narażając się spólnie „broń i ręce swe krwią nieprzyjacielską zafarbowali”.

Ku wieczorowi pamiętnego dnia 27 września 1605 roku zagrożone Inflanty całkowicie wolne były od wroga.

Takiego cudu dokonał opuszczony przez naród Chodkiewicz z garstką wojska, równie jak on zapomnianą, opuszczoną, skazaną na śmierć głodową przez Rzeczpospolitą, a na krótki czas przed wiekopomnem zwycięstwem wypowiadającą posłuszeństwo swemu wodzowi. Sowiłą zapłatę na polach Kircholmu otrzymał Chodkiewicz za swe nadludzkie trudy, za żelazną wytrwałość, dzięki której zdołał utrzymać pod swą buławą buntujące się szyki. A żołnierze, co usłuchawszy hetmana, przetrwali wzgardliwą obojętność kraju na swój los smutny, sierocy, na swoją niedolę, lzy, nędzę, w nagrodę za niewysłowione cierpienia wzbudzili podziw świata i okryli bezlitosną dla nich ojczyznę nieśmiertelną sławą.

Na polach Kircholmu zwyciężył nie tylko genjusz wojenny wodza, wsparty niezrównanym męstwem żołnierzy: zwyciężył przede wszystkim genjusz charakteru, genjusz wytrwania i woli jednego człowieka.

Wkrótce radosnymi odgłosami bezprzykładnego zwycięstwa wzdłuż i wszerz rozebrzmiała Rzeczpospolita, a sława Kircholmu szeroko rozeszła się za

granicą i, budząc podziw możnych tego świata, podniosła w ich oczach urok polskiego oręża i dzielność jazdy polskiej, uważanej odtąd za najlepszą jazdę na świecie.

— „Bitwa kircholmska,—mówił Jakób Sobieski,—dzieło to wprzód rąk boskich, a potem męstwa, dzielności i sławy jego na wszystkie narody i na wszystkie wieki dziwowisko jakieś... Dziwiają się podziśdzień cudzoziemscy hetmani, pełne są ich zamorskie kroniki. Kilkanaście tysięcy ludzi zbrojnych znieść do szczętu tak małą garścią ludzi, z tak małą swoją szkoda! bardziej się mu potomne wieki dziwować, aniżeli wierzyć będą!”

Dziwowała się i współczesność.

Winszował Chodkiewiczowi niebywałego zwycięstwa cesarz Rudolf, a król angielski Jakób przysłał zwycięzcy dary i ofiarował mu swoją przyjaźń. Papież Paweł V wystosował do hetmana pismo ze swem błogosławieństwem i wyrazami szacunku. Dziwował się zwycięstwu sułtan turecki i zdziwienie swoje w liście do Zygmunta wyraził, a portret Chodkiewicza w pałacu swoim rozkazał zawiesić. Nawet szach perski Abbas nadesłał królowi pismo z powinszowaniem.

Sława zwycięstwa pod Kircholmem, przebiegłszy całą Europę, rozeszła się po Azji i Afryce.

Żaden wódz polski nie spotkał się dotąd z większym uznaniem, żadne zwycięstwo, jakie dotąd odniosła Rzeczpospolita, nie cieszyło się szerszym w świecie rozgłosem.

Chodkiewicz nie pysznił się tem zwycięstwem.

Nazajutrz po bitwie wjeżdżał do uwolnionej od oblężenia Rygi bez pompy i okazałości.



Poległych nieprzyjaciół uczciwie pogrześć kazał na pobojowisku, znakomitszych wojowników uczcił osobnym przystojnym pogrzebem, a zwłoki generała Lindersona z wielką okazałością wojskową w kościele katedralnym złożył. Ciało zabitego księcia Fryderyka wydał ks. Kettlerowi dla oddania rodzinie. Jeńców z zaciągów cudzoziemskich po odebraniu przysięgi, że przeciw królowi polskiemu walczyć więcej nie będą, puścił wolno do domów, zatrzymując jedynie dla zamiany rodowitych Szwedów. W liście do hr. Mansfelda, który o wymianę jeńców traktował, wyraził hetman wielką boleść z powodu śmierci ks. Fryderyka i generała Lindersona „zaczynego męża”.

Do króla wysłał dnia 30 września list z wiadomością o szczęśliwej bitwie. List był skromny, pozbawiony jakiegokolwiek chępliwości. O rezultacie i przebiegu boju zaledwie wspomniał w kilkunastu wierszach, natomiast o wiele szerzej rozpisał się o biedzie i potrzebach swego rycerstwa, a zarazem o konieczności nowych posiłków, by wojnę odebraniem Parnawy i ostatecznem ukorzeniem wroga zakończyć.

— „Zostaje, — pisał do króla, — dalsze poparcie wojny, gdyż podobne są do wielu rzeczy, za tem zwłaszcza pogromieniem, sposobności. Byłaby w ręku Parnawa, byłoby i co większego, ale trzeba ludzi i postrachu, którego by się pod ciągnięciem mojem w tamten kąt z potrzebą unieść mogło. Wojsko to już niezażyte: jazda strudzona, z piechoty jedni pobici, postrzelani, drugich zwykła miękkość za Dźwinę, pędzi. Radbym jednak wiedział, będą-li ludźmi od waszej król. mości posilony... Kontentując się za tem, które Pan Bóg dał, szczęściem, i po takim utrudzeniu byłoby mi pewnie miłe spocznienie, ale że wo-

jenny tryb potrzebuje tego, szkodaby opuścić, co z pożytkiem i sławą być może!..”

Widać z tych słów, że nie upajał się hetman swym nadzwyczajnym triumfem, że nie uważał wojny za ukończoną, że mając rozległe plany, widział przed sobą dalszą drogę znojów i trudów. Pisząc do króla o zwycięstwie, które należało już do przeszłości, spoglądał męskim okiem w przyszłość. Dla tej przyszłości chciał dalej walczyć i zwyciężać. A mógł się chyba spodziewać, że po Kircholmie jego bohater-skie, podziwiane przez świat cały rycerstwo otrzyma należną zapłatę, mógł mieć nadzieję, że jego dalszym a ważkim dla Rzeczypospolitej wysiłkom przyjdzie z pomocą król, sejm, naród cały.

Twardy los zadrwił z tej nadziei, jeżeli wielki zwycięzca istotnie ją żywił.

---



### III.

## STRACONE TRIUMFY.

List Chodkiewicza z wiadomością o zwycięstwie pod Kircholmem odebrał król w Krakowie dnia 6 października (1605 r.) podczas nabożeństwa w kościele katedralnym. Rozradowany otrzymaną wieścią, polecił ks. Piotrowi Skardze odczytać pismo hetmańskie z ambony, a wkrótce potem w długim liście wyraził swą wielką wdzięczność znakomitemu wodzowi i jego zwycięskiemu wojsku.

— „Tego też tam rycerstwa naszego, — pisał, — które z uprzejmością waszą, odważywszy dla miłości naszej i Rzeczypospolitej, ojczyzny swej, zdrowia swoje, zastanowili się tak mężnie temu nieprzyjacielowi i tak wielką Rzeczypospolitej posługę uczynili, odniósłszy sławne nad tym nieprzyjacielem zwycięstwo, przyjmujemy to od nich z przystojną wdzięcznością i chcemy to za każdą okazję łaską naszą pańską oświadczyć, jako nam jest miła ta ich chęć, ta miłość ku nam i Rzeczypospolitej, którą oni krwią swoją i odważeniem zdrowia swego, nam i wszystkiemu światu oświadczyli...”

Po tych obiecujących słowach zapowiadał Zygmunt, że do obozu hetmańskiego wyśle wkrótce posła, „przez którego szerzej tę naszą wdzięczność opo-

wiedzieć im nie zaniechamy". I domagał się, aby rycerstwo „bez rozruchu i tumultu” cierpliwie na owe go posta czekało, a tymczasem nie opuszczało sposobności, jeśli się zdarzy, i odebraniem jakowego zamku w dalszym ciągu zarabiało sobie na większą jeszcze sławę i wdzięczność Rzeczypospolitej.

Na tem skończyła się „łaska pańska” króla jego mości.

Czas płynął, zbiedzone wojsko czekało spełnienia się szumnych zapowiedzi króla, lecz czekało daremnie. Otrzymawszy drobną część należnej zapłaty, złorzeczyło swemu losowi i opuszczało chorągwie lub groziło buntem. Chodkiewicz z największym wysiłkiem powstrzymywał wybuch. Łożąc na potrzeby rycerstwa pożyczane pieniądze, zdołał jeszcze czas pewien utrzymać w posłuszeństwie swe wynędzniałe wojsko, przetrwał w Inflantach jesień, zimę i wiosnę. Ale gdy żołąd zaległy w dalszym ciągu był zatrzymywany, nieszczęśliwi żołnierze, latem 1606 r. spełnili swe pogroźki, opuścili hurmem Inflanty i, przeszedłszy Dźwinę, zawiązali konfederację.

Ciężkie dni przysły na znakomitego wodza.

Dnia 29 lipca 1606 roku hetman pisał z obozu do żony:

— „Niemasz, widzę, sposobu na zatrzymanie żołnierstwa. Już wszyscy za Dźwinę rzucili się i w poniedziałek koło ma być... Mnie chudzinie nie wiedzieć, co przyjdzie czynić: odbieźć źle, zostawszy, a z kim-że? Ledwo, dalibóg, nie szaleję, że nie wiem, co z sobą czynić!?!...”

A w tydzień po wspomnianym liście donosił:

— „Rota moja a Fitingowa, te dwie jeno przy mnie zostały do dwu niedziel, insze wszystkie precz



(odeszły). Panie Boże ich błogosław!" — dodaje dwuznacznie z ironją, czy przekleństwem, czy może współczuciem dla swych nieszczęśliwych żołnierzy.

Do tych utrapień przyłączyły się kłopoty, spowodowane natarczywem domaganiem się wierzących o zapłatę zaciągniętych długów. Nadto dokuczwała hetmanowi choroba: w listach swych skarży się na kamień i wyrzeka na przemożne okoliczności, których pomimo całej swej energii i poświęcenia nie może przewyciężyć.

Tymczasem zbuntowane wojsko ruszyło do Brześcia Litewskiego, rozlało się po okolicy i, pustosząc dobra królewskie oraz duchowne, gwałtem wynagradzało sobie dni niesłychanych trudów, dni nędzy i głodu.

Chodkiewicz, pozostawszy w Inflantach z garstką ludzi własnego zaciągu, trwał na zagrożonej placówce i w niemocy obserwował Szwedów, którzy, znając dobrze stan rzeczy, zaczęli grozić rozpoczęciem działań wojennych.

Marnowało się wiekopomne zwycięstwo pod Kircholmem.

Król nie zasilił Chodkiewicza ni ludźmi, ni pieniędzmi, pozostawił Inflanty bez obrony i nie uczynił nic, by wykorzystać klęskę Szwecji i zawrzeć z nią pokój. Mógł śmiało domagać się ustąpienia całkowitego Szwedów z Inflant i Estonji, a więc wszystkiego, czego pragnąć mogła Rzeczpospolita. Nie były to po Kircholmie zbyt śmiałe wymagania! Ale królowi nie chodziło o Rzeczpospolitą: ponad jej dobro własne wynosił widoki. Karol, acz naród szwedzki oddał mu koronę, był w oczach Zygmunta zbuntowanym poddanym, przywłaszczycielem, uzurpato-

rem, z którym nie myślał traktować o pokój, bo nie chciał się wyrzec korony szwedzkiej i oddać tronu swemu rywalowi. Król nie zawierał pokoju i nie prowadził wojny. Polityka taka nie tylko niweczyła sławne pod Kircholmem zwycięstwo, ale groziła odwetem Szwedów i utraceniem wszystkich korzyści, które męstwo żołnierzy i genjusz wojenny Chodkiewicza zapewniły Polsce.

Jakoż Karol, widząc, co się dzieje, ochłonął z przerażenia po Kircholmie i przygotowywał nową na Inflanty wyprawę. Zawzięty Szwed z niezwykłą energią czynił usilne do dalszej wojny przygotowania, a tymczasem napadami swej floty gnębił miasta nadbrzeżne i pomniejsze oddziały wysyłał dla niepokojenia opuszczonej przez Polskę krainy. I znowu Chodkiewicz sam jeden stawiał czoło Szwedom. Wsparty przez paru przyjaznych mu panów litewskich, doszedł do tysiąca kilkuset żołnierzy. Z tą garstką wychodził ustawicznie w pole i najczęściej samą wieścią o swoim pochodzie odpędzał nieprzyjaciół z zagrożonych napadem miejscowości.

A w kraju przygotowywała się tymczasem ogromna zawierucha, rozrastał się rokosz i fale niezadowolonia coraz potężniej biły w tron przez Zygmunta zajęty. Dopiero pod koniec 1606 roku król, rozsyłając przed sejmem walnym uniwersały na sejmiki, przypomniał szlachcie Inflanty.

— „Inflanty, ziemia zacna, które ta Rzeczpospolita wielkim kosztem waszmościów wszystkich i niemalem krwi przelaniem braci waszmościów była zdobyta, z której wiele ozdób, wiele pożytków sobie przyczyniła, w której granicach wielu synów tej ojczyzny nagrody krwawej swej wysługi utracili, ta z temi



wszystkiemi do waszmościów się obraca, ratunku, na ostatnim już prawie razie stojąc, żąda... Nie dopuszczajcie, waszmoście, tak potrzebnej i pożytecznej sztuki ziemi ojczyźnie i dziatkom swoim tak słabemu nieprzyjacielowi wydzierać, ani sławy narodu swego poniżać”.

Instrukcja królewska oddawała wielkie pochwały Chodkiewiczowi:

— „Pan Chodkiewicz, starosta żmudzki, całą chęcią, wiernem i uprzejmem staraniem, kosztem, pracą i odwagą zdrowia samego, pod te wszystkie czasy całe się przyczyniał i stamtąd prawie nie zjeżdżał, lubo go przeszłego roku część większa wojska, a potem ostatek tego lata, dla niezapłacenia żołdu, samego prawie zostawiła. Wyparł jednak ze swymi a ochoczymi z księstwa lit. narodu, nieprzyjaciela, więcej przewagą, niżeli siłą. Ale kiedy już zamki bez osady ostawać będą, kiedy i w polu wojska nie będzie czuł nieprzyjaciel, baczyć waszmoście sami możecie, że trudno będzie dalej się już zatrzymać”...

Ale Rzeczpospolita wstrząsana już była zawieruchą wewnętrzną i głos instrukcji królewskiej przebrzmiał bez echa.

Nad królem zawisła burza.

Możni panowie, niezadowoleni z polityki i postępowania Zygmunta, wypowiedzieli mu posłuszeństwo i porwali za sobą tłumy podburzonej szlachty. Zarzucano królowi, że wbrew protestom izby poselskiej i senatu zawarł związki małżeńskie z siostrą zmarłej królowej, arcyksiężniczką Konstancją i wchodzi w sojusz coraz bliższy z domem cesarskim, który za pośrednictwem chytrze zawieranych małżeństw rozsze-

rzął nieustannie swe panowanie, rósł krzywdą ujarzmionych ludów, szerzył niemczyznę, wywierał straszny ucisk narodowy, polityczny i religijny. Powtórne małżeństwo Zygmunta wywołało takie wzburzenie, że kasztelan Janusz Ostrogski zamierzał już skrzyknąć szlachtę i siłą zbrojną zagrozić małżonce królewskiej drogę do Rzeczypospolitej. Wielkie niezadowolenie budziła również nietolerancja Zygmunta w stosunku do różnowierców oraz jego postępowanie dumne, wyniosłe a nieszczerze, jego otoczenie, złożone głównie z cudzoziemców, lub Polaków o małych umysłach i sercach, ludzi słabych i miernych, zabiegających o łaskę pańską, a współdziałających z intrygami króla. Zamoyski ostro wyrzucał Zygmuntowi jego postępowanie i jego politykę niezgodną z interesami narodu. Występując przeciw królowi, stary kanclerz oparł się na szlachcie, ale umiał utrzymać ją w karbach i nie pozwolił rozpętać się burzy. Lecz po jego śmierci (r. 1605) na czoło niezadowolonych wysunął się Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski. Człek dumny, zawzięty, powodowany osobistą do króla urazą, wystąpił, jako spadkobierca i obrońca idei zgasłego kanclerza, umiał o swej roli przekonać tłumy, a znalazł sojuszników w osobach panów Stadnickich, Herbertów oraz podczaszego litewskiego, młodego księcia Janusza Radziwiłła, który również nienawidził króla, a jako kalwin był widomą głową i protektorem kościoła kalwińskiego na Litwie.

Rozpoczęły się olbrzymie zjazdy szlachty: w Stężycy, następnie pod Lublinem, później jeszcze pod Sandomierzem, gdzie zgromadzeni nazwali się rokoszem i oskarżyli króla o liczne przestępstwa, spisane w 67 artykułach.



Zarzucono Zygmuntovi, że nie dotrzymuje paktów conventów, łamie obowiązujące ustawy, rządzi nieprawnie, a dąży do pochycenia w swe ręce władzy absolutnej. Nie wszystkie zarzuty były słuszne. Uparty, fałszywy król Zygmunt był małym człowiekiem. Miał dość odwagi, by naruszać prawo i wchodzić w tajemne konszachty z dworem cesarskim, ale za mało posiadał charakteru i woli, by ważyć się na zamach stanu. Był intrygantem, widziano w nim tyrana. Słusznie przeciwnicy króla powstawali na jego sprzeczną z interesami kraju politykę, ale, niesłety, przywódcy rokoszu sami zbyt wiele żywili uraz i niechęci, zbyt często powodowali się prywatą, by ruchowi nadać kierunek wielkiej idei narodowej. Mali ludzie porwali się do walki z małym królem: za taką walkę musiała zapłacić Rzeczpospolita.

Chodkiewicz, strzegąc Inflant, zdala śledził burzę, wzmagającą się w kraju.

Ale król, któremu rokoszanie coraz poważniej zagrażali, sprowadził na pomoc Żółkiewskiego i wezwał do siebie Chodkiewicza. Obaj hetmani nie odmówili pomocy w ugaszeniu pożaru. Nie przypuszczali zapewne, że ten pożar krwią bratnią wypadnie im gasić. Żółkiewski sprowadził pod Warszawę wojsko kwarciane z Ukrainy, a Chodkiewicz zebrał z największym trudem 1600 jazdy i dnia 1 czerwca (1607 r.) stawił się w Warszawie.

Pieczę nad Inflantami powierzył Andrzejowi Zborowskiemu, a przed wyjazdem zawarł za zezwoleniem króla i senatu umowę z generałem szwedzkim, hr. Mansfeldem. Na mocy tej umowy oba wojska miały wstrzymać kroki nieprzyjacielskie do ostatniego dnia października 1608 r., w tem przypuszczeniu,

że do tego terminu pełnomocnicy stron obu zawrą trwały pokój pomiędzy wojującymi państwami.

Zygmunt trzymał zdala od siebie obu znakomitych wodzów. Pelen nieufności w stosunku do ludzi niezależnych, nie ufał wielkim mężom. Wiedział dobrze, że obaj nie godzą się z jego polityką i wiele mają mu do zarzucenia. Ale znał ich charakter, wierzył w ich honor, a rozumiał, że wobec niebezpieczeństwa nie może w całej Rzeczypospolitej znaleźć godniejszych obrońców.

I nie zawiódł się w swem oczekiwaniu.

Żółkiewski czynił wielkie wysiłki, by nie dopuścić do wojny bratobójczej. Umiał zmiękczyć króla i uczynić go skłonniejszym do zgody, ale nie potrafił złamać zawziętości Zebrzydowskiego i innych przywódców rokoszu. Dnia 24 czerwca 1607 r. rokoszanie wypowiedzieli Zygmuntowi posłuszeństwo i nadzieja na uciszenie zawieruchy znikła. Żółkiewski do ostatniej chwili próbował układów, ale zawzięci rokoszanie, ufni w przewagę swej siły, orężem postanowili zakończyć spór z królem.

Gdy nadzieje na pokój zawiodły, Chodkiewicz i Żółkiewski stali się doradcami wojennymi króla. Obaj sławni wodzowie zgodnie dążyli do uniknięcia rozlewu krwi, obaj jednego byli zdania, gdy chodziło o sprawę wojenne, ale nie było między nimi zgody zupełnej. Chodkiewicz, jako hetman wielki litewski rościł sobie pretensję do dowództwa nad całem wojskiem, gdy Żółkiewski, starszy wiekiem, choć tylko hetman polny koronny uważał, że hetman litewski nie może przywodzić wojsku koronnemu. Z tego też powodu siły zbrojne królewskie nie miały naczelnego

wodza. Ale sama obecność dwu głośnych zwycięzców zapewniała wojsku króla przewagę.

Rozumieli to rokoszanie i wszelkiemi siłami starali się stojące przy królu rycerstwo przeciągnąć na swoją stronę, a zabiegi ich nie pozostały bez skutku. Nie kwapili się żołnierze do boju z rodakami. Przerzedzały się szeregi, wiedzione przez hetmanów i duch buntu opanowywał wojsko królewskie.

Dnia 2 lipca 1607 roku w liście, pisanym do żony z obozu pod Warką, donosił Chodkiewicz:

„— Już innej rady niemasz, jeno szablą (się) rozprawić!...”

I żalił się na zbiegostwo:

„— Ubywa nas, jako w czarnoksiężskim kole... Mnie wszyscy odbiegli dla niezbędnej konfederacji... Jest ludzi niemało przy panu, jenom ja nieszczęśliwy, że musiałem nie bez ciężkiego żalu swego zwinąć chorągiew...”

Dnia 6 lipca 1607 roku przyszło do walnej rozprawy pod Guzowem.

Chodkiewicz dowodził prawem skrzydłem, a miał przeciw sobie Janusza Radziwiłła, który nienawidził hetmana i wzajem uważany był przez Chodkiewicza za człowieka, gotowego posunąć się do najczarniejszej zbrodni. Radziwiłł rozpoczął bitwę i omal nie odniósł przewagi, gdyż część jazdy hetmańskiej, wiedzona strachem, czy też zdradą, uszła sromotnie z pola. Popłoch wielki zapanował w szeregach. Ale na lewem skrzydle walczył zwycięsko Żółkiewski, a w środku Potocki. Wkrótce i Chodkiewicz zdołał opanować na swem skrzydle trwozę i nie dopuścić do triumfu swojego wroga. Bitwa skończyła się kłę-



ską zbuntowanej szlachty. Rokoszenie uciekli z placu boju, pozostawiając pole bitwy zasłane trupami.

Zwycięstwo to nie przyniosło radości hetmanom.

Bolał nad przelewem krwi bratniej Żółkiewski, pełen żalości był Chodkiewicz.

„— Już nas Pan Bóg rozprawił przez szablę,— pisał do swej małżonki na pobojuwisku. — Stawili nam pole, jako rycerscy ludzie, ale przegrali. Na placu niewiele trupa, niemasz dwuset, ale rannych zbytnio wiele, pojmanyh i znacznych niemało, ile towarzyszków. Głowy pouciekały. Widzi Pan Bóg, jako z obu stron jestechny żalośni, patrząc na bracię swoją i na takie grono grzecznych ludzi. Żalośni i oni, gdyż są zwiedzeni bałamuctwy wojewody krakowskiego, który wszystkie traktaty królewskie uławiał, a co innego do zburzenia ich powiedział. Panie Boże się pożał takiej ich sprawy! Ale iż się już stało, Ty sam, Panie, racz uśmierzyć już, aby do czego gorszego potem nie przyszło...”

Żółkiewski wbrew stanowisku króla, wspaniałością względem pobitych rokoszanów usiłował uwieńczyć zwycięstwo, a jak stwierdza Łubieński, i Chodkiewicz w ten sam sposób postępował. Świadczy to, jak dalecy obaj wodzowie byli od Zygmunta, ile musiała ich kosztować obrona intryganckiego króla i do jakiej ostateczności przywiodła ich zawziętość nieubłaganych przywódców buntu.

Pomimo klęski rokoszenie nie chcieli się ukorzyć. Szczególną zawziętość okazywał Janusz Radziwiłł. Udał się on do Lublina i wyznaczył stamtąd na dzień 5-go sierpnia sejm elekcyjny, mający wybrać nowego króla. Ale nie czując się pewnym w Koronie, przyjechał na Litwę. Pociągnął za nim Chodkiewicz i stra-

szny swój miecz zawiesił nad głową buntowniczego magnata. Gdy ten zawiązał przeciw królowi konfederację żołnierską w Brześciu, Chodkiewicz taką samą konfederację, opowiadającą się przy królu, utworzył w Grodnie. Przestał wreszcie odgrażać się królowi Radziwiłł, ale pod pozorem, że Chodkiewicz czyha na jego życie, gromadził w dalszym ciągu siły zbrojne i czekał sposobności, by pożar wojny domowej rozpalic na nowo. Czujność Chodkiewicza uniemożliwiła te nieczne zamiary.

Walka pomiędzy dwoma magnatami była niezwykle zawzięta. Obaj oskarżali się o przygotowywanie zamachów na swe życie, a czelny Radziwiłł nie tylko pomawiał swego przeciwnika o prywatę, ale przed radą senatu oskarżył go pisemnie o zdradę i tajemne ze Szwedami konszachty. Hetman, dowiedziawszy się o strasznym zarzucie, w długim liście zdemaskował nikczemność Janusza. Wreszcie wysiłki senatorów doprowadziły do tego, że zawzięty Radziwiłł ukorzył się przed królem i pozornie pojednał się z Chodkiewiczem.

Uspokajała się zwolna burza domowa i hetman mógł nareszcie zawitać do Inflant, z których przez cały czas pobytu na Litwie nie spuszczał oka, a w których podczas jego nieobecności zatrważające zaszły wypadki. Król Karol nie zatwierdził zawartej przez Mansfelda umowy i wykorzystał sprzyjające okoliczności. Pod koniec 1607 roku Szwedzi odebrali Polakom Biały Kamień (Weissenstein), opuszczony nieprzezornie przez Andrzeja Zborowskiego, który na czele 300 jazdy wyszedł z twierdzy, by w polu szukać wroga, a napadnięty przez przeważające siły, sam

dostał się do niewoli. W lipcu 1608 roku stracili Polacy Diament, w sierpniu—Felin.

Pisał Chodkiewicz do komisarzów szwedzkich i, piętnując wiarołomstwo Mansfelda, domagał się oddania wziętych zdradą zamków, ale otrzymał wykrętne odpowiedzi, na które nie było już innego argumentu krom szabli.

W październiku 1608 roku zjawił się hetman w Inflantach, ale zaledwie z garstką wojska, gdyż mimo sprzedaży własnych sreber i zaciągniętych pożyczek nie zdołał większej siły wyprowadzić w pole. Pomimo to „wykurzył” Szwedów z Kokenhauzu, staczał nieustannie zwycięskie utarczki i bitwy, do których tak przywykł, jak do chleba codziennego. Nawet w listach do żony nie wspominał o tych ciągłych bojach. Gdy pani hetmanowa dopytywała o jedną z owych bitew, której echa szeroko rozeszły się po Litwie i wymawiała małżonkowi, że nie przesyła jej nowin, Chodkiewicz odpisał:

„— Od nich (Szwedów) legło sto pono, z naszych ledwo pięć, albo sześć. O czymże było śpiewać, co zwyczajna w wojskach każdy dzień bywać...”

Jak widać z tych słów, za zwyczajne, niemal codzienne wydarzenie uważał bitwę, w której za pięciu swoich żołnierzy kładł trupem stu wrogów.

A przecież te zwycięstwa były tem godniejsze uwagi, że dopiero w początku 1609 roku zdołał skupić pod swemi rozkazami zaledwie 3,000 żołnierzy. I tę garstkę ludzi zawdzięczał pomocy kilku możnych panów, jak Krzysztof i Albrycht Radziwiłłowie, wojewoda nowogrodzki Wołłowicz, chorąży litewski Kiszka i inni.



Z tak niewielką siłą rozpoczął nową, niesłychanie uciążliwą a świetną kampanję.

W liście z dnia 24 stycznia 1609 roku donosi Zygmuntowi, że przygotowany już był wyjechać do Warszawy, by wziąć udział w obradach sejmu, ale działania Szwedów skłoniły go do pozostania w Inflantach.

„— Zatrzymać-em się przeto musiał, widząc, iż nie takby wiele pożytku z prezentacji mej na sejmie Rzeczpospolita wzięła, jakoby wiele pod niebytność moją, ile tu, gdzie oprócz postronnych razów, z samą nędzą i głodem dosyć kłopotu, mógł uszkodzić nieprzyjaciel...”

Na 12.000 obliczał Chodkiewicz siły szwedzkie.

„— Na siły zaś swe poźrzawszy, o czwartą część z dobrem uważaniem pokusiłbym się ledwo mógł...”

Pomimo sił tak nierównych odrzucił hetman Szwedów, pragnących „znagła ubieżeć” Dorpat, rozgromił ich pod Diamentem i zmusił do ustąpienia pod Rewel. Widział przecież, że tak długo trwać nie może, że pomoc jest niezbędna, jeżeli Rzeczpospolita ze zwycięstw jego pragnie odnieść pożytek. Więc donosząc Zygmuntowi, że nieprzyjaciel ciągle powiększa swe siły, że „armuje się na wiosnę” i „wojsko zewsząd zbiera”, gorącemi słowy zaklinał króla, by nie opuszczał Inflant.

„— Uniżenie przeto waszą król. mość, pana mego miłościwego proszę, abyś wasza król. mość, ulitowawszy się mizernej tej prowincji, ściągnął ku niej rękę swą pańską i jako wszystkie niedostatki miłościwie opatrzyć, tak niebezpieczeństwo, które się zbliża, prędko zabieżeć raczył, a nie dopuścił, aby z oziębłego ratunku i sama zginać i zgubą swą przy sławie

dostojęstwa waszej król. mości przyległe państwa w tę-ż ruinę potargnąć miała...”

Prosi zarazem króla o nadesłanie pieniędzy.

„— Co się tknie pieniędzy przez p. Nurzyńskiego posłanych, piechocie się tylko popłaciło i to nie za wszystko... Jazda bez płace już to drugą ćwierć pędzi, którą, by nie wrodzona w sercach ich chęć ku waszej król. mości, by nie miłość ku ojczyźnie i żal ginących Inflant, a zatem krwią drogo kupionych na dobrą sławę zarobków na zimę wciągnęła była, dotąd w Inflanciech Inflant-by nam szukać przyszło...”

I przestrzega króla, że jeśli zapłata w szybkim czasie nie dojdzie, to rycerstwo wyruszy za Dźwinę, „zamki gołe” wpadną w ręce nieprzyjaciela, a i zagrożona Ryga „gwałtu więcej nie strzyma...”

Ale król, korzystając z zaburzeń w carstwie, rozmyślał w owym czasie o krokach wojennych przeciw Moskwie, a wobec tych wielkich planów sprawa Inflant schodziła na plan dalszy.

Nie otrzymał Chodkiewicz ni pieniędzy, ni zasiłków w ludziach.

Pozostawiony samemu sobie, znowu wyteżył siły i z zadziwiającą energją stawiał czoło burzy. Zdać się mogło, że genjusz hetmana nie zna niepodobieństw, że pod naporem jego żelaznej woli kruszą się wszystkie przeszkody, że szczęście wojenne, wbrew wszelkim rachubom i prawdopodobieństwom, jest nieodłącznym jego towarzyszem. Śród srogiej zimy, z garstką zbiedzonych, a coraz głośniejszych szemrzących wojowników, hetman nie zajmuje odpornego stanowiska, lecz sam szuka i podchodzi Szwedów. W najtrudniejszych warunkach przediera się przez gęste bory, o głodzie, wśród trzaskających mrozów brnie

przez zasyпы śnieżne, przebywa szybko ogromne przestrzenie, staje niepostrzeżony w pobliżu zajętych przez nieprzyjaciela zamków, myśli o wyzwoleniu obleganej Rygi, i czyha na sposobność, by wydrzeć wrogowi zagarniętą zdobycz.

Dnia 22 lutego 1609 roku zbliżył się do Diamentu i jak lew gotował się do nagłego skoku. Dowiedziawszy się, że załoga otrzymała posiłki, odbył kilka forsownych marszów i rzucił się ku Parnawie. Zatrzymawszy się w borach, stał cały dzień w pobliżu tej fortecy wśród największego mrozu, nie rozpalając ognisk, nie przyjmując ciepłej strawy, nie zważając na wyrzekania rycerstwa. Dopiero o północy ruszył ku twierdzy, by zdobyć ją niespodzianym napadem.

Zadanie było nielada, bo Parnawy broniły 104 działa i dobrze w środku obronne opatrzona załoga. Hetman spodziewał się, że nagły atak zaskoczy Szwedów i pozwoli opanować twierdzę. Ale i ta nadzieja zawiodła. Trzykrotne wystrzały z dział były świadectwem, że załoga czuwa i gotowa jest do odparcia szturmu.

Chodkiewicz znowu cofnął się w lasy i cały dzień stał nieruchomo, ale nie dawał za wygraną. I ludzi, i koni ogarnęło straszliwe znużenie. Żołnierze wyrzekali i złorzeczyli swemu losowi. Zapadł wieczór, zbliżała się noc, a Chodkiewicz ciągle w bojowym szyku trzymał swe wojsko. O uszy jego obijały się klątwy zmarzniętych i zgłodniałych żołnierzy, ale on niewzruszenie trwał na zajętej pozycji. Dopiero o północy dał rozkaz i upadające z utrudzenia wojsko wyprowadził z lasu. Podszedłszy do twierdzy, zwrócił się z płomienną mową do rycerstwa, poczem zsiadł z konia i, dobywszy pałasza, zawołał, by każdy,



któ ojczyznę i sławę narodu kocha, biegł za nim. I pieszo porwał się ku murom. Na ten widok przysło znużenie i niewypowiedziany zapał ogarnął żołnierzy. Cała jazda zeskoczyła z koni, najbliżsi dopadli hetmana, by wstrzymać go od udziału w szturmie, poczem spieszone chorągwie rzuciły się ku twierdzy. Przodem, pod kierunkiem dwóch biegleń inżynierów Francuzów, mknęło 14 Szkotów z petardami. Huknęły działa Parnawy, ale oddziałek przodowy przypadł bez szwanku do murów, podsadził petardy i kolejno cztery bramy forteczne z ogromnym trzaskiem, wśród błysków ognia i kłębow dymu pękły i rozpadły się w gruzy. Żołnierze hetmańscy, wdarszy się do twierdzy przez cztery wylomy, rzucili się z szablami na Szwedów, częściowo ich wysiekli, częściowo pognali aż pod bramę zamkową, pod którą natychmiast podłożyli ogień. Załoga, broniąca zamku, przerażona szybkością napadu i nagle niebezpieczeństwem, zaczęła błagać miłosierdzia i na znak poddania się, wyrzuciła oblegającym klucze.

Chodkiewicz wstrzymał rozlew krwi.

Parnawa przeszła w ręce polskie. 45-ciu zabitych i tyluż rannych kosztowało wojsko hetmańskie zdobycie silnej twierdzy. Szwedów, znajdujących się w fortecy, zatrzymał Chodkiewicz w niewoli, cudzoziemców w służbie szwedzkiej puścił wolno do domów, 155 Szkotów przyjął na służbę Rzeczypospolitej, a na zamku osadził 200 swoich żołnierzy. Rozdawszy pomiędzy wojsko zdobycz wojenną, odebrał od mieszczan przysięgę na wierność Rzeczypospolitej i opuścił miasto.

W Parnawie zabrał Chodkiewicz 2 wojenne statki szwedzkie, zakupił kilka statków kupieckich, uzbroił je

i tak zaimprovizowaną naprędce siłę zbrojną morską wypuścił przeciw stojącej pod Szalcem flocie nieprzyjacielskiej. Napad był całkiem nieoczekiwany, nie mogli bowiem Szwedzi przypuszczać, że hetman, rozporządzający niemal wyłącznie jazdą, wyda im bitwę na morzu. To też flota szwedzka, straciwszy dwa wielkie okręty, uciekła w największym popłochu.

Po tych zwycięstwach niestrudzony wódz zjawił się niespodzianie pod Rygą, obleganą przez Szwedów i Niemców pod dowództwem generała Mansfelda. Wojsku, by podnieść w niem ducha, zapowiedział, że księżę kurlandzki w 2.000 ludzi ciągnie z pomocą i by utwierdzić rycerstwo w tem przekonaniu, wysłał nawet posłów do księcia, stojącego rzekomo z owemi posiłkami w pobliżu. Potem, osłoniwszy się kilkoma rzędami wozów, ruszył od Szalca pod mury ryskie, a otrzymawszy z twierdzy kilka armat i oddział piechoty, przeszedł Dźwinę, uchylając się od stoczenia bitwy ze Szwedami. Mansfeld dał się podejść. Przerzucił przez rzekę most i puścił się w poгон za Chodkiewiczem. Ale zaledwie połowa wojska nieprzyjacielskiego zdołała przeprowić się na brzeg przeciwległy, już hufce hetmana wynurzyły się z lasów i w jednej chwili skoczyły do ataku. Straszliwa husarja, dopadłszy zdumionych Szwedów, pomieszała nieprzyjacielskie szyki i, przewaliwszy się po nich, jak burza, rozpoczęła pogrom. Część jazdy hetmańskiej rzuciła się ku mostowi, zepchnęła do rzeki lub zmusiła do cofnięcia się śpieszące swoim na ratunek wojska Mansfelda i własnymi piersiami, jak zasłoną z żelaza zagrodziła drogę na plac boju. Na oczach drugiej połowy wojsk szwedzkich wycięto tych, co przeprowili się przez rzekę. Gdy zaś po do-

konaniu tego dzieła, zwycięska jazda zaczęła zbliżać się ku mostowi, reszta wojsk Mansfelda, ogarnięta po płochem, rzuciła się do ucieczki.

Parnawa zdobyta, Ryga po zwycięskiej bitwie wyzwolona od obleżenia, oto były pierwsze rezultaty nowo zaczętej kampanji.

Genjalny wódz zamierzał już wkroczyć do Estonji, gdy w wojsku zaczęły się znowy. Groza buntu zawisła nad hetmanem i pokrzyżowała jego śmiałe zamiary.

W owym czasie król Zygmunt wyruszał na wojnę przeciw Moskwie i ciągnął przez Litwę.

Chodkiewicz, ubłagawszy żołnierzy, by jeszcze krótki czas byli cierpliwi, wyjechał do Wilna, by tam zobaczyć się z królem, przedstawić mu stan rzeczy w Inflantach i otrzymać pieniądze na wypłatę zaległego żołdu. Nadaremnie przecież mówił Zygmunto wi o rozpaczliwym położeniu swego rycerstwa i niebezpieczeństwie, jakie, w razie utracenia Inflant, zagrozi Rzeczypospolitej. Wszystkie pobory, jakie sejm uchwalił, wszystkie środki, jakimi król rozporządzał, szły na wojnę z Moskwą. Nieszczęśliwy hetman, obasypany mnóstwem pochwał, łudzony obietnicami, z pustymi rękoma powrócił do Inflant. Otoczyło go zbiedzone rycerstwo. Cóż miał mu powiedzieć? W jaki sposób mógł ukoić żale, łzy, wyrzekania, co mógł uczynić, by zaradzić nędzy, panującej w jego zwyciężskich, niezwalczonych szykach?

Ból i gniew, żal i rozpacz miały naprzemian wielką duszą hetmana. Znowu ze zbuntowanym wojskiem stał w obliczu wroga, znowu nie wiedział, co pocznie za chwilę, co przyniesie mu jutro.



„— Moja najmilsza Zosieńko, pociecho moja serdeczna,—pisał w owych dniach z obozu do żony, dając wyraz swoim uczuciom, — ani z waszych listów, moja najmilsza duszo, ani z królewskich, ani z żadnych pociechy za krtynę nie mam... Ja Pana Boga proszę o śmierć, a nie mam jej. A żyć w takich kłopotach, mniemam, że piekłu się równa, a pono i tam cięższych niemasz, jakie ja sam cierpię. Żołnierz mię pojutrze odchodzi. Nie zwykłem uciekać, a to mi na to przyjdzie... Ciężkać i mnie samemu służba i już mi obrzydła, ale tak sromotnie z pola schodzić, śmierci bym wolał. Patrzy na mię nieprzyjaciel i ja nań, a bić się z nim nie mogę. On nie naciera, bo wie o bunciech... Czekam co i godzina nacierania jego, a jako Pan Bóg dobrej dusze, tak ja tej bitwy czekam, a nie doczekawszy się, schodzić, jako małpa z pola muszę... Smaczna konfederacja, smaczny łup z lez ludzkich!... Sromotne uciekanie boli, a śmierci się równa... O Diamencie już próżno myśleć!...”

Oto co czuł, oto jak myślał i żalił się Chodkiewicz, otoczony przeklinającym go wojskiem, a zagrożony przez Szwedów. Modlił się o bitwę, bo wiedział, że w boju nie zawiedzie go męstwo żołnierza, ale nieprzyjaciel nie nacierał, czekając, aż bunt zrobi swoje. A tu jak na nieszczęście Szwedzi oblegli wyzwoloną niedawno Parnawę i szybki ratunek był koniecznością. „O Diamencie próżno myśleć,”—pisał hetman, ale właśnie i o uwolnieniu Parnawy i o zdobyciu Diamentu na jedną chwilę myśleć nie przestawał. I za nic „jako małpa” z pola schodzić nie chciał. Walcząc z własną rozpaczą i z urągającym mu wojskiem, znalazł w swej niewyczerpanej mocy ducha wyjście ze straszliwej sytuacji: zezwolił na

konfederację żołnierską i sam, jako wódz a żołnierz przystąpił do niej.

W ten sposób na czas pewien ułagodził burzę.

A opanowawszy bunt, do nowych zwycięstw poprowadził niebawem garstkę swych obdartych, głodnych, wynędzniałych żołnierzy. I spełnił swe zamiary. Staczając zwycięskie boje z przeważającymi siłami wroga, wyzwolił od oblężenia Parnawę, potem w bitwie nad rzeką Gawją (8 paźdz. 1609) spadł, jak huragan na wojska Mansfelda, położył na placu boju trupem półtora tysiąca nieprzyjaciół, zabrał działa, kilkuset jeńców i rozproszył całą armję. Po tem świetnem zwycięstwie zamierzał pokusić się o Diament. Ale wojsko już bić się więcej nie chciało. Chodkiewicz istne walki staczał z podwładnem mu rycerstwem. Nieszczęsny wódz prosił, gniewał się, obiecywał, przekładał, aż wkońcu wygrał sprawę i zdołał nakłonić żołnierzy do cierpliwości jeszcze na przeciąg dwóch tygodni. Skorzystał z tego czasu, ruszył pod Diament i wydarł go Szwedom.

W listopadzie skonfederowane wojsko uczyniło koło, obrało sobie marszałka i opuściło obóz, pozostawiając samego hetmana na pastwę losu.

A Szwedom ciągle przybywały posiłki.

Nieszczęśliwy Chodkiewicz najsmutniejsze przeżywał chwile. Na pocięgę jego, wybuch wojny duńsko-szwedzkiej i wysłanie wojsk szwedzkich na pomoc zagrożonemu przez Polaków carowi Szujskiemu, spowodowały Szwedów do zaprzestania kroków wojennych w Inflantach. Po śmierci Karola IX (paźdz. 1611) pomiędzy Polską a Szwecją nastąpiło zawieszenie broni, które przetrwało blisko lat osiem.

Wojna w Inflantach po całym świecie rozślawiła imię Chodkiewicza i postawiła go w szeregu naj-

większych wodzów nowożytnych. I nic dziwnego. Historia wojen niewiele zna przykładów, mogących się równać z dziełami Chodkiewicza. Stojąc zawsze wobec znacznie przeważających sił wroga, nigdy nie dał się niespodzianie zaskoczyć i pobić, a ile razy wydawał bitwę o wielekroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, tyle razy najświetniejsze odnosił zwycięstwa. Rzutki, przedsiębiorczy, gwałtowny w obrotach i marszach, nieodgadniony dla nieprzyjaciela, nie pozwolił mu nigdy wydrzeć z rąk swoich inicjatywy i stać się panem sytuacji na terenie wojny. Wynikiem bitwy pod Kircholmem zdumiał świat cały, a sławna ta bitwa zaćmiła inne jego przewagi, godne równie wielkiego podziwu. Niezwalczony w otwartym polu, był jednocześnie postrachem dla załóg zamkniętych w fortecach. Z jazdą zdobywał twierdze, z wojskiem lądowem potrafił zadać Szwedom klęskę na morzu. Niewyczerpany w pomysłach, doskonale znający psychologję wroga, zawczasu przewidywał jego pomyłki i błędy, a umiał je wykorzystać w sposób zadziwiający. Pozostawiony samemu sobie, opuszczony przez króla, sejm, naród cały, miał we własnym obozie, wśród własnego rycerstwa nieprzyjaciół, którzy nieustannie się buntowali lub do buntu czynili przygotowania. Przed wydaniem bitwy nieprzyjacielowi musiał najpierw zwyciężać własnych żołnierzy, a nigdy nie wiedział, co ci żołnierze uczynią, co mu przyniesie najbliższa godzina, czy w ostatniej chwili zbiedzone wojsko nie wypowie mu posłuszeństwa i nie opuści obozu. Nie mógł liczyć na nikogo. Odpoczywał dopiero na placu boju, bo tylko w ogniu bitwy żołnierze, porwani jego duchem zwycięskim, nie zawodzili nigdy. Walcząc ze Szwedami, walczył



jednocześnie z własnem nieustannie buntującym się rycerstwem, z nędzą, głodem, zmęczeniem, walczył z obojętnością króla, możnych panów, dygnitarzy, całej Rzeczypospolitej. Sam jeden starczył za naród, sam jeden w ciągu lat kilku reprezentował jego interes, honor, siłę. Nigdy żaden wódz nie łamał się z większemi przeciwnościami, nigdy wola jednego człowieka nie rozbłysła w równie trudnych warunkach świetniejszemi czynami..

Wiekopomne, bezprzykładne zwycięstwa Chodkiewicza, nad wojskami szwedzkiemi, wystarczyłyby na podbicie kilku potężnych państw, gdyby śladem tych zwycięstw kroczyła świadoma wielkich celów, a zdecydowana wola polityczna narodu. Ale wojna ze Szwecją, wywołana osobistemi widokami króla, nie miała wielkiej idei przewodniej, nie była prowadzona dla przyszłości Rzeczypospolitej. Nie interesował się nią naród, a król nie pozwolił wyzyskać zwycięstw i nie chciał zawrzeć trwałego ze Szwecją pokoju. Polska, mająca wszelkie widoki, by żyć ze Szwecją w najprzyjaźniejszych stosunkach i siły państw obu poprowadzić przeciw Moskwie, jako wspólnemu wrogowi, popchnęła Szwedów do przymierza z carem, zmobilizowała przeciw sobie spokojny, lecz energiczny a wojowniczy naród, dopuściła do rozejmu, w którym tkwiło zarzewie nowej a straszliwej wojny. Rozpoczął tę wojnę po ośmiu latach wielki wojownik szwedzki król Gustaw Adolf i przekazał ją swoim następcom.

W ten sposób zaprzepaszczone zostały wiekopomne zwycięstwa Chodkiewicza.

Pozostała po nich sława, przyszły po nich klęski.

## V.

### WOJNA MOSKIEWSKA.

Nie umiał wykorzystać król Zygmunt świetnych triumfów Chodkiewicza w Inflantach, nie umiał również pomimo sprzyjających okoliczności pokierować wypadkami w wojnie moskiewskiej <sup>1)</sup>. Gdy hetman Żółkiewski, odniósłszy znakomite pod Kłuszynem zwycięstwo, ruszył do stolicy carskiej i, zasiadłszy za zgodą bojarów na Kremlu, rządził Moskwą, a lud moskiewski przysięgał na wierność królewiczowi Władysławowi, jako swemu carowi, Zygmunt nie mógł się zdecydować na krok stanowczy. Pragnąc korony nie dla syna, lecz dla samego siebie, a marząc o narzuceniu Moskalom religji katolickiej, nie wysyłał do Moskwy Władysława i nie miał dość odwagi, by choć na pewien czas oddalić się od obleganego Smoleńska i samemu wkroczyć do stolicy carów. Na Żółkiewskiego, który szlachetnem postępowaniem zjednał sobie serca Moskali, spoglądał podejrzliwie, nieufnie. Wielkim jego planom, które miały państwo moskiew-

---

<sup>1)</sup> O pierwszej fazie wojny moskiewskiej traktuje obszerniej wydana przez autora niniejszej pracy monografia p. t.: «Hetman Żółkiewski».

skie połączyć dobrowolną unją z Polską, nie sprzyjał, a dając ucho zawistnym panom Potockim, odepchnął od siebie Żółkiewskiego i wzgardził jego radami.

Ale gdy Żółkiewski, szarpany przez złe języki, opuścił obóz pod Smoleńskiem, a króla doszła wiadomość, że lud moskiewski powstał przeciw Polakom, gdy załoga polska zaczęła wzywać ratunku, Zygmunt, acz nieszczerze, chciał zawrócić Żółkiewskiego z drogi. Król wiedział, na kim w chwili niebezpieczeństwa śmiało może polegać. Lecz znakomity wódz i wielki statysta, mając dosyć niezdecydowanej obłudnej polityki króla i oszczerstw jego zaszników, nie kwapił się z przyjęciem propozycji. Wtedy król, ku oburzeniu panów Potockich, Chodkiewiczowi postanowił powierzyć wyzwolenie Moskwy.

Tymczasem Chodkiewicz podobnie jak Żółkiewski nie śpieszył się z wyrażeniem zgody na żądanie króla. Hetman, jak większość panów litewskich, był przeciwnikiem wyprawy na Moskwę. Ganił on królowi to przedsięwzięcie i mimo nalegań nie chciał brać w niem udziału. A podobnie, jak Żółkiewski, miał w otoczeniu Zygmunta przeciwników, z najwyższą zazdrością spoglądających na każdego, kto był potrzebny królowi. Obawiali się panowie Potoccy Żółkiewskiego, obawiali się Chodkiewicza i knuli przeciw niemu intrygę. Srożył się również kanclerz litewski Lew Sapieha i Belzebubem nazywał Chodkiewicza. A król chętnie dawał ucho podszeptom otaczających go magnatów i zamierzał podobno przypuścić do łaski najstraszniejszego ze swych wrogów, Janusza Radziwiłła, byle choć w ten sposób pomniejszyć na Litwie wpływy Chodkiewicza. Szczególniej niepokoiły



Zygmunta pogłoski, że wojewoda wileński pracuje właśnie nad pogodzeniem Chodkiewicza z Januszem.

Hetman, wiedząc, co się dzieje w otoczeniu króla, namyślał się, co mu odpowiedzieć. Żonie donosił, że na Moskwę wybierze się nie inaczej, jak pospołu z królem. Ale wstrzeźliwość hetmana miała i swe głębsze przyczyny.

W jednym z późniejszych swych listów tak pisał do Zygmunta:

„...Płonne są za granicą państw nabytki, jeśli doma Rzeczpospolita ucisk cierpi; tak gdzie przy nadwątłej ochocie nie staje dalej wątku, gdzie drzeźniacem odprawuje się wojna okiem, gdzie albo nieczułość, albo niepotęga do wszelkiej zagradza okazji, gdzie przy szczęściu lgną wszyscy, a najmniejsza pochmurność wszystkich płoszy, gdzie więcej chęci porywczych, niż stateczności, hartu, lepiej w kął powrócić, niż podniósłszy żagle, za jednym przeciwnym wiatrem nazad się cofać. Niech zatem inni wojują, my w pokoju siedzmy!...”

W tych mocnych a dosadnych słowach była bystra krytyka istniejącego stanu rzeczy i charakteru polskiego, była bolesna prawda, na własnem oparta doświadczeniu, była nauka dla króla i otaczających go panów, a zarazem przyczyna, która doświadczonego wodza uczyniła przeciwnikiem zamierzonej na Moskwę wyprawy.

Lecz wkońcu uległ Chodkiewicz namowom króla i zgodę swoją na udział w wojnie moskiewskiej wyraził napadem na monaster Pieczary pod Pskowem. Napad się nie udał, a wywołał wielkie oburzenie

nienawidzących Chodkiewicza panów. Lew Sapieha twierdził, że hetman ułakomił się na ukryte w monasterze skarby i że w tym napadzie własnego jeno szukał pożytku. I szeptał królowi do ucha różne pogłoski, byle zrazić go do Chodkiewicza i odebrać hetmanowi dowództwo nad wojskiem, mającem iść na odsiecz załodze, uwięzionej w Moskwie.

Tymczasem król po zdobyciu Smoleńska opuścił obóz i śpieszył do Warszawy. Pod Orszą spotkał się z Chodkiewiczem i, zaprosiwszy go do swej karety, dopytywał się z największą nieufnością o stosunki z Januszem Radziwiłłem. Obawiał się król zgody dwóch potężnych magnatów na Litwie.

„ — Widziałem, — donosił Chodkiewicz małżonce, — że to pan złym afektem pytał...”

Jakoż uspokajające odpowiedzi nie zadowolily Zygmunta. Nie ufając hetmanowi, nie pozbył się podejrzeń i radził się z Bobolą, oraz podkanclerzem Kryskim, w jaki sposób możnaby wydobyć prawdę z Chodkiewicza. Rada w radę — postanowiono upoić hetmana i tą drogą osiągnąć cel upragniony. Do tak niecnych sztuczek uciekał się król Zygmunt, by przekonać się o usposobieniu najwyższych i najzasłużeńszych w Rzeczypospolitej dygnitarzy.

Jakoż w Tołoczynie, majątności kanclerza Sapiehy, u biesiadnego stołu król dał hasło do pijatyki. Przepijano gęsto do hetmana, „nawet, — opowiada Chodkiewicz, — i czeladź moję posadzono u tegoż stołu, pojono, wymacywano, a wszystko o jednaniu z podczaszym (Radziwiłłem), rzekomo się z tego ciesząc i życząc, aby to było, a owdzie na wybadanie wszystko czyniono”...

A kiedy staremu wojakowi ze łba zaczęło się kurzyć, król podniósł kielich i zwracając się do Chodkiewicza, rzekł:

„ — Przez zdrowie waszmości, którego waszmości życzymy uprzejmie”...

Hetman podziękował i wypił.

„Zatem — opisywał tę charakterystyczną scenę Chodkiewicz,—zaczęła się dobra myśl, kazano w trąby, w bębny uderzyć, okrzyk w izbie. Dworzanie wszyscy, rozkazał jego król. mość, aby za zdrowie moje wypili. Pił sam do żołnierzów i sług moich za moję zdrowie. Owa przyszło nam z tej dobrej myśli, żechmy, stojąc około króla, pili. Mnie się już mózg zagrzał, przyszło mi do rozbierania; jenom w samej delince przyszedł do króla. Wynuzdałem się wiera aż nazbyt, acz nie nad przystojność, ale ile z panem nazbyt”...

Rozwiązały się języki. Hetman wprost pytał króla, azali wierzy w to pojednanie z Radziwiłłem, a nawet, gdyby do tego przyszło, czyż przypuszcza, aby on, wierny sługa królewski zapomniał o swej powinności. Król przyznał się do żywionych obaw i wciąż kielichy napełnić kazał. Sam trzymał w rękach szklenicę, hetman pił duszkiem, a wypiwszy, roztrzaskał naczynie o swą głowę.

Król rzekł:

„ — Miły panie hetmanie, nie tłuczcie tej głowy, siła nam na niej zależy!...”

Rozczulił się dobrze już podchmielony Chodkiewicz, zalał się łzami i ścisnąć zaczął króla, a król, jako że również dobrze sobie podpił, odpłacał mu uściskami. Potem Chodkiewicz wypadł z izby, dosiadł konia i harce pod oknami króla wyprawiać za-



czął. A Zygmunt chciał pić dalej, ale, — opowiadał hetman w liście do żony, — „że mię haniebnie pijanego widział, tedy mi dał pokój”...

A kanclerz Sapieha, widząc tak dobrą komitywę swego wroga z królem, zamierzał despekt uczynić hetmanowi. Zygmunt, widząc, co się święci, trzydziestu hajdukom kazał pilnować Chodkiewicza. Rozpoczęła się burda, a dworzanin hetmański omal „nie plusnął w łeb kanclerza szablą”. Na szczęście do starcia nie przyszło, a zachowanie się hetmana w czasie pijatyki rozwiało podejrzenia króla.

„ — Wymacał tedy we mnie, żem niesfutowany sługa jego i dziwnie był kontent, że mię takiego widział”...

Jakoż hetman dobrej był myśli i wiele obiecywał sobie.

W dwa tygodnie później pisał do małżonki:

„ — Wszyscy pod mój regiment idą, ledwie ich co zostało, a nielada ludzi. Mniemam, że samego kopijnika, oprócz rajtarów, będę miał ze trzy tysiące, a rajtarów sześćset, piatyhorców tysiąc. Lisowski też ze dwiema tysiącami ludzi następuje ku mnie, niemieckiej piechoty będzie z tysiąc przednie dobrej, oprócz kozactwa, których ja ku sobie nie zaciągam”...

Ale rzeczywistość zadrwiła z nadziei Chodkiewicza. Lisowski pomimo rozkazów króla ani myślał stanąć do apelu, panowie Potoccy na swą rękę czynili intrygi, byle nie dopuścić do zgromadzenia większej siły zbrojnej pod rozkazami znienawidzonego hetmana, zawiodły rachuby w dobrej woli innych panów pokładane: zamiast poważnej liczebnie armji zaledwie 2000 żołnierzy zdołał hetman skupić pod swem dowództwem.

I z taką garstką ruszył na odsiecz Moskwy.

A położenie oblężonej załogi polskiej pod wodzą Gosiewskiego było okropne. Wojska moskiewskie powiększały się nieustannie i panowanie polskie w stolicy carów miało się ku końcowi. Znakomity wojownik Jan Piotr Sapieha, starosta uświacki, który wojsował z Moskwą na własną rękę, zgodził się na usilne nalegania Zygmunta ratować ginące z głodu wojsko Gosiewskiego, przyszedł w lipcu 1611 r. pod stolicę, bił się zwycięsko z przeważającymi siłami Moskali i załogę polską przyobiecał zaopatrzyć w żywność. Zgodnie z tem przyrzeczeniem odstąpił od Moskwy, poszedł na zdobywanie furaju i w sierpniu powrócił, prowadząc ze sobą blisko 10000 wozów żywności. Po trzydniowych walkach wprowadził furaj do Kremlu i dopomógł załodze do zdobycia kilku opanowanych przez Moskali baszt Białogrodu. W miesiąc później, w nocy z dnia 14 na 15 września 1611 r. Jan Piotr Sapieha zmarł w pałacu carskim ku największej „żałości wszystkiego rycerstwa”.

Śmierć Sapiehy była strasliwą klęską dla załogi polskiej, gdyż jego roty nie chciały słuchać Gosiewskiego. Cała nadzieja oblężonego rycerstwa skupiła się na Chodkiewiczu, którego przybycia oczekiwano w Moskwie z największą niecierpliwością.

Jakoż odważny hetman dn. 6 października 1611 r. stanął pod murami stolicy, ale, przyprowadziwszy 2000 ludzi, nie mógł myśleć o zniesieniu obozów oblężniczych. A w samej Moskwie żołnierstwo skonfederowane chciało opuścić mury i, domagając się wypłaty zaległego żołdu, groziło, że dłużej służyć nie będzie. Z największym trudem udało się hetmanowi namówić 1600 żołnierzy do pozostania w twierdzy.

Reszta załogi rozpierzchła się, rabując wsie i miasta okoliczne, a doprowadzając ludność moskiewską do ostatecznej rozpacz. Hetman cofnął się z pod Moskwy do Rohaczewa dla łatwiejszego wyżywienia zgłodniałych koni. Nie mógł przecież i we własnych nieopłaconych hufcach utrzymać dyscypliny.

„ — Żołnierz tak bryka, — pisał do żony, — że ja nieraz poduszkę łzami obleję, narzekając na nieszczęście swe”...

Zamiast walczyć z wrogiem, nieszczęśliwy hetman zmuszony jest rozpocząć walkę z wojskiem, które wypowiada mu posłuszeństwo, rozlewa się jak szańcza po ziemi moskiewskiej, niszczy, rabuje, lub przedziera się do Polski. Jednocześnie musi walczyć z niechęcią panów Potockich i niesubordynacją dowódców, nie szanujących jego władzy hetmańskiej. Oto krewny Jakóba Potockiego starosta Chmielnicki, Struś, stojący na czele 3000 ludzi, nie chce słuchać jego rozkazów, staje pod Moskwą własnym obozem i oznajmia Gosiewskiemu, że zajmie Kreml, ale pod warunkiem, że sprawować będzie władzę naczelną. Gosiewski przyjmuje ten warunek, opuszcza zamek i oddaje go Strusiowi. Oburzony Chodkiewicz wybucha gniewem, ale tłumi w sercu głęboką urazę, cofa się z pod Moskwy i zaopatruje w żywność Strusia, byle tylko stolicę carską utrzymać w rękach polskich do czasu nadejścia większych sił, które ma przyprowadzić król Zygmunt.

Śród najtrudniejszych warunków rok cały zмага się Chodkiewicz z przeciwnościami losu i podtrzymuje wojnę moskiewską. Dnia 1-go września 1612 r., otrzymawszy posiłki w postaci kilku chorągwi i 4000 kozaków, zjawia się znowu pod stolicą, a prowadzi





New Sapieha H i R. Vol. Litt.

ze sobą kilkaset wozów żywności. Lecz przystępu do miasta broni 100,000 Moskali, a ksiązę Pożarski ożywia swym duchem patryjotycznym olbrzymią armję. Liczne reduty i długie linje okopów opasują stolicę. Chodkiewicz tegoż dnia stacza szczęśliwą bitwę na Dziewiczem Polu, a dnia 3 września, nie bacząc na niesłychaną przewagę sił nieprzyjacielskich, ponownie prowadzi swe hufce do boju. Ale Struś, mający w czasie bitwy uczynić wycieczkę z zamku, nie spełnia swego zadania—i krwawe wysiłki Chodkiewicza nie odnoszą skutku, a wozy, przyprowadzone pod same mury, wpadają w ręce moskiewskie. Całą noc jeszcze żelazny hetman trzyma wojsko pod bronią i dopiero nazajutrz, widząc niepodobieństwo przełamania przeszkód, oddała się z pod Moskwy i rusza na spotkanie króla Zygmunta, by przynaglic go do szybszego pochodu.

Lecz król nie śpieszył się, a kilka tysięcy wojska, które zdołał zebrać, nie było dostateczną siłą do zapewnienia pomocy osaczonym Polakom. Nieszczęśliwi żołnierze, nie mogąc doczekać się odsieczy, a wyczerpawszy wszystkie środki żywności, zjadłszy psy, koty, szczury i myszy, poddali Kreml Moskalom, zawarowawszy sobie uprzednio swobodny powrót do ojczyzny. Ale gdy omdlewający ze znużenia rycerze opuścili zamek, rzucili się na nich kozacy i cały pułk Strusia najhaniebniej wymordowali.

Na wiadomość o tem smutnem wydarzeniu król rozkazał zatrąbić na odwrót, i cofnął się do Polski.

Zmarnowane zostały świetne zwycięstwa Żółkiewskiego i obrócone wniwecz nadludzkie wysiłki Chodkiewicza. Korona moskiewska, mająca ozdobić skronie Władysława, stracona została dla Polski. Dnia 24

lutego 1613 roku sobór ziemski wyniósł na tron carów Michała Fiedorowicza Romanowa.

Od tej chwili pomiędzy Moskwą a Polską śmiertelna legła nienawiść.

Zygmunt zaczął myśleć o zawarciu pokoju, nowy car pragnął odebrać zagarnięte przez Polaków ziemie. Chodkiewicz z polecenia króla miał traktować z nieprzyjacielem. Ale znakomity wódz był niepoślednim statystą i rozumiał doskonale, jak trudnem zadaniem jest zawarcie pokoju, gdy na poparcie dążeń pokojowych niema siły zbrojnej.

Dnia 22 maja 1613 roku wysłał hetman długi list do króla, list pełen żalości, trwogi i niepokoju o przyszłość Rzeczypospolitej. W tym liście skarży się na nieczułość sejmów, na upadek cnoty, na brak ofiarności i poświęcenia, na niezgodę, wstrząsającą narodem i oplakany stan rzeczy, do którego doprowadził Polskę brak poświęcenia i patriotyzmu. Bolesna nuta drży w słowach hetmana, gdy wspomina o swoich wysiłkach i trudach.

„ — Służyło się dosyć pracowicie waszej król. mości i Rzeczypospolitej od pierwszego młodości mej kwiecica: ostatek wieku radbym poświęcił sobie. Już też z południa ku wieczorowi skazuje mi kompas: długo mię pole, długo zbroja trzymała, czas przy kominie wytchnąć. Swobodnie jednak, jako senator i hetman wyrzec, choć nie do smaku i narzekać muszę, iż za czasów naszych na taki raz sławie i dostojęństwu waszej król. mości przyszło ujme, której naruszeniem inne Rzeczypospolitej ozdoby u swych i u postronnych uiszczą się muszą”...

Przechodząc do sprawy zawarcia z Moskwą pokoju, tak pisał:



„ — Bez wojska na traktaty powabiać nieprzyjaciela, to jest właśnie, co głodnemu prosić o chleb tego, który wolny w rękach swych ma szafunek. Cóż dla Boga za korzyść sejmu? jaka obrona granic? jaki zawierania pokoju warunek? Wiem, że nie z waszej król. mości dzieje się, co się dzieje, acz chcącemu nie ciężko i najtwardsze w poddanych zmiękczyć serca... Stan rzeczy moskiewskich taki jest, że w nieczynności naszej ten zapał, który się rozgorzał, przeniesie się do nas, i ugruntowawszy nieprzyjaciela domowe swe wrzawy gnuśnością naszą, albo wet za wet oddać nam, albo odebrać swe z lichwą zechce. My tu przeciwnie traktować nie możemy, zwłaszcza, iż niemasz z kim, a bez wojska traktatami się bardziej rozjątrzy, niż do uspokojenia przyciągnie nieprzyjaciela. Bo gdzie z jednej strony broń przemaga, gdzie nie jest równowaga obojej strony, traktaty albo nie mogą stanąć, albo z krzywdą drugiej stanowią się. Zaczem nie tylko to, co w rękę jest objętego, ale też swe własne, a co największa sławę, której uszczerbek odżałowany być nie może, sami rzucimy na zgubę”...

A na propozycję układów taką wyrębał królowi odpowiedź:

„ — Skąd posiłki sposobić, czem Smoleńsk opatrzyć? czem najazdy od granic odwrócić? w jakim bezpieczeństwie traktaty zawierać? Jeśli za murami, nie jest to z godnością waszej król. mości i Rzeczypospolitej, jeśli w polu, bez ludzi być nie można. Żakami-by takie rzeczy odprawiać, nie mną...

I wymawiając królowi, że nie słuchał jego rad, nie spełniał jego żądań, nie bronił jego osoby przed zawiścią panów, od wszystkiego usunąć się pragnął. Z goryczą proponował królowi miast siebie usługi

Lissowskiego, który, jako buntownik w czasie wojny inflanckiej skazany został na banicję, ale później uzyskał zniesienie wyroku, wrócił do łask, a w owym czasie miał powierzoną sobie obronę Zawołocia i zasilany był przez króla pieniędzmi z pominięciem najgwałtowniejszych potrzeb wojska hetmańskiego.

Nie przestał jednakże Chodkiewicz, pomimo skarg i wyrzekań, wysługiwać się Rzeczypospolitej. Z garstką żołnierzy otaczał swą opieką Smoleńsk, bronił granic przed Moskalami i rozpędzał kupy plądrującego Litwę koczactwa.

Śród ciągłych trosk i kłopotów, w grudniu 1613 r., jak grom uderzyła w nieszczęśliwego wodza wiadomość o śmierci ukochanego syna, Hieronima. Zrozpaczony ojciec w odezwie, wydanej do wojska, prosił domagające się zapłaty rycerstwo o trzy niedziele zwłoki, by czyniąc zadość powinności rodzicielskiej, mógł wyjechać na pogrzeb jedynaka i „zemknieniem mar z oczu serce żalosne utulić”. Niestety, okoliczności czasu wojennego nie pozwoliły mu doznać tej smutnej pociechy. Wobec obowiązków wodza musiał nakazać milczenie sercu i dopiero po kilku tygodniach wyjechał do dóbr rodzinnych, by prochy umiłowanego syna złożyć na wieczny spoczynek i kilka dni u zwłok drogich spędzić.

Tymczasem, jak to Chodkiewicz przepowiadał, Moskale, gotując się do odwetu, wysłali wielkie wojska pod wodzą kniazia Czerkaskiego i rozpoczęli oblężenie Smoleńska. A pomniejsze oddziały armji oblężniczej odrywały się od obozu i pustoszyły okolice.

Krół polecił hetmanowi czuwać nad Smoleńskiem i czynić nowe zaciągi, ale pieniędzy nie przysłał. A sejm, zebrany w marcu 1615 roku, „spełził bez obrony”.

Na szczęście dla Rzeczypospolitej i państwem moskiewskiem wstrząsały zaburzenia wewnętrzne. Ponadto wielką trwogę wzniecał wśród Moskali nad wszelki wyraz zuchwały, a niezwalczony w polu pułkownik Lissowski, który na czele swoich 5.000 straceńców, obroniwszy Zawołocie, wpadł na Siewierszczyznę, palił wsie, miasta, rozbijał w puch wojska, co próbowały stawić mu czoło i, przebiegając z nieprawdopodobną szybkością z miejsca na miejsce, wszędzie budził przerażenie. Po śmierci straszego pułkownika Lissowczycy pod wodzą pułkownika Czaplńskiego podjęli nową wyprawę na ziemię moskiewską i, zapędzając się od morza Kaspijskiego aż po morze Łodowate, w najokrutniejszy sposób dali się ludności państwa moskiewskiego we znaki.

Zagrożony Smoleńsk bronił się dzielnie, a sejm, obradujący w kwietniu 1616 roku, uchwalił pospolite ruszenie i pobory na wojnę, której celem miało być utwierdzenie królewicza Władysława na tronie moskiewskim. Przed kilku laty, dzięki zwycięstwom i mądrej polityce hetmana Żółkiewskiego, cała Moskwa niecierpliwie oczekiwała przybycia cara Władysława, obecnie, gdy nowy car zasiadał na Kremlu, król powziął decyzję, która wymagała nadzwyczajnych wysiłków, a nie miała widoków powodzenia.

Położenie było tem cięższe, że jednocześnie trzeba było zbierać siły przeciw sułtanowi, który coraz groźniej potrzasał mieczem i straszliwą wojną groził Rzeczypospolitej.

W takich warunkach dopiero w kwietniu 1617 r. królewicz Władysław, uroczyście żegnany i błogosławiony przez króla, wyruszył z Warszawy, by zdobywać tron carski. Do boku królewicza dodano komi-



sarzy, wśród których między inn. znajdowali się kanclerz Sapieha, biskup łucki Andrzej Lipski oraz wojewodzie lubelski, Jakób Sobieski, ojciec króla Jana III-go. Otaczał nadto królewicza kwiat młodego rycerstwa, a skutkiem rywalizacji panów Kazanowskich z Jerzym Ossolińskim, walczyły ze sobą ambicje i ścierały się nieustannie intrygi.

Na czele wojska król pragnął widzieć Żółkiewskiego, ale doznawszy odmowy, powierzył dowództwo Chodkiewiczowi. Stało się to dopiero we wrześniu. Więc hetman, który twierdził, że u dworu „karmiony jest szyderstwem i innymi przysmakami”, żalił się, że tak późno zwrócono się do niego, lecz usług swych nie odmówił.

Złączywszy się z wojskiem królewicza, kosem okiem spoglądał na komisarzy, roszczących sobie prawa do wszelkich zarządzeń i burzył się, widząc panujące w obozie porządki. Pochód odbywał się powoli. Stanąwszy pod Dorohobużem, otwierającym drogę do Moskwy, hetman nie chciał fortecy brać szturmem.

„ — To gra o carstwo”, — mówił i czekał cierpliwie, aż załoga dobrowolnie się podda.

Jakoż celu dopiął. Dnia 11 października Dorohobuż kapitulował, a wódz moskiewski złożył królewiczowi hołd, jako swemu carowi.

Wkrótce potem poddała się Wiazma.

Tutaj wojsko rozłożyło się na zimowe leże. Śród trzaskających mrozów płynęły długie miesiące, lecz siły były zbyt szczupłe, by kusić się z niemi o stolicę. Wkrótce głód zawitał do obozu. O wyżywienie było tak trudno, że ludzie przymierali głodem, a konie z powodu braku paszy masowo zdychały. Sam

hetman wraz z czeladzią cierpiał głód i zębami dzwonił. Nadszarpane zdrowie przestało mu dopisywać. A do cierpień fizycznych przyłączyły się niebawem cierpienia moralne, gdyż wojsko nieopłacone szemrało i groziło buntem, a stosunki z komisarzami i królewiczem wiele pozostawiały do życzenia.

Młody Władysław, który czasem wykazał niepospolity umysł, nie umiał poznać się na genialnym wodzu, nie lubił go i nie darzył swemi łaskami. A komisarze nieraz różnili się w zdaniu z Chodkiewiczem i uparcie trwali przy swoim. Dochodziło do starć i gniewów. Z nadejściem wiosny komisarze domagali się rozpoczęcia pochodu na Moskwę, a Chodkiewicz sprzeciwiał się temu, gdyż uważał, że wojsko licznie jest za słabe, by można było zdobywać stolicę. Uległ przecież naciskowi.

„ — Jesteśmy pod radą wojenną. Idę, gdzie każą”, — pisał w owym czasie.

Z wymarszem wstrzymywano się w oczekiwaniu na przybycie Marcina Kazanowskiego, który wysłany był na pomoc Żółkiewskiemu, a obecnie wracał do obozu. Zdobywszy po drodze Starodub, młody a próżny wojownik, upojony zwycięstwem, a pewien łask królewicza, wymarzył sobie, że posiada władzę równą Chodkiewiczowi i z tego powodu nie myślał oddawać się pod jego komendę. Władysław sprzyjał Kazanowskiemu, a sądził, że Chodkiewicz, dotknięty podziałem władzy, obrazi się i porzuci obóz.

Ale Chodkiewicz nie zrażał się łatwo i nie zwykł cofać się przed przeciwnikami. Dowiedziawszy się o intrydze, postanowił dać nauczkę młodzikom. W tym celu kazał sporządzić ordynację pułków, porządek marszu i stawania w obozie, a na życzenie hetmana

rozporządzenie to niedoświadczony królewicz własnoręcznie podpisał.

Tymczasem Marcin Kazanowski wszedł do obozu i jakby za hetmanem, kazał za sobą znak nosić. Chodkiewicz, widząc w tem poniżenie swej władzy, wpadł w gniew i natychmiast zażądał od królewicza, „aby pana Marcina przestrzec kazał, iżby ten znak do torby schował, bo mu go każe słuć na łbie”.

Królewicz wielce był tem żądaniem poruszony, a gdy się dowiedział, że Kazanowskiemu wyznaczono w obozie miejsce najpośledniejsze, postanowił porozumieć się z hetmanem, zwłaszcza, że się obawiał, aby takie upośledzenie i w marszu nie spolkało jego ulubieńca. Więc polecił jednemu z dworzan spytać Chodkiewicza, w jakiej kolei pułki marsz odbywać mają. Na to otrzymał ustalony porządek, który sam niedawno podpisał, a z którego wynikało, że chorągwie Kazanowskiego zostały rozdzielone. Teraz dopiero spostrzegł się Władysław i nuż prosić hetmana, by zmienił porządek. Osiem razy posyłał swe prośby i osiem razy otrzymywał odpowiedź odmowną. Wtedy polecił swemu sekretarzowi księdzu Szoldrskiemu rozmówić się z Chodkiewiczem i oświadczyć, że on, królewicz, nie spodziewał się po przyjaźni hetmańskiej takiego postępowania, a zarazem ostrzec, żeby, jak się wyraził, ten garniec, który hetman przystawił do ognia, nad jego głową nie pęknął.

Oburzyły te słowa starego wojownika, Odparł szorstko, iż teraz dopiero widzi, że prawdą jest, co mówią, że królewicz ze swymi ulubieńcami sobie podpija, bo ostrzeżenia takie nie mogą z trzeźwej pochodzić głowy. I dodał, że żaden Chodkiewicz kucharzem nie był i garnców do ognia nie przystawił.





KRÓLEWICZ WŁADYSŁAW

WEDŁUG RUBENSA Z GALERJI WILANOWSKIEJ

„ — A głowy mojej, — zapowiedział groźnie, — nikt nie tknie, kto swojej nie nadstawi”...

Nazajutrz osobiście oświadczył Władysławowi, że jeżeli nie wyrzeknie się niewczesnej protekcji panów Kazanowskich, to on, hetman, opuści obóz i opowie całą Rzeczypospolitą, jak to sobie królewicz na wyprawie moskiewskiej poczynał. Zgromiony Władysław przeproszał pokornie starego wodza, tłumaczył Kazanowskiego, ale postanowił postawić na swoim i nie dopuścić do rozdziału pułków swego faworyta. Oficerowie, mając za sobą powagę jego królewiczowskiej mości, zdecydowani byli sprzeciwić się rozkazom hetmana.

Przypuszczano, że stary wódz obrazi się i, spełniając swą groźbę, opuści wojsko i zwolni otoczenie królewicza od swej krępującej wszystkich surowej powagi, albo też, doznawszy upokorzenia, inaczej oddać zachowywać się będzie.

Przerachowano się przecież, bo Chodkiewicz nie przywykł nikomu ustępować z drogi.

Nazajutrz zrana uderzono w kotły — i pułki ruszyły w pochód.

Królewicz, hetman i inni dygnitarze, siedząc na koniach, przypatrywali się defilującemu wojsku, którego przednie oddziały szły w przepisany porządku. Nagle hetman, dostrzegłszy brak kilku chorągwi Kazanowskiego, ze strasznym gniewem zapytał, gdzie się znajdują. Odpowiedziano mu, że Kazanowski nie puścił tych chorągwi z pod swego znaku. Wtedy stała się rzecz całkiem nieoczekiwana. Oto wzburzony Chodkiewicz spał ostrogami konia, popędził ku miejscu, gdzie stał Kazanowski, podskoczył do ulu-  
hieńca królewskiego z ogromnym rykiem i łajac go

„od matki”, zamierzył się nań buławą. Na ten widok stropił się młodzieniec—i by uniknąć ciosu, rzucił się z koniem między chorągwie, uchodząc z duszą na ramieniu przed gniewem straszliwego męża. Chodkiewicz popędził za uciekającym, a nie mogąc go dosięgnąć, cisnął w biegu buławę i w plecy ugodził młodzika. W jednej chwili wszystkie chorągwie Kazanowskiego, o które chodziło, „nie czekając rozkazu hetmana, jakby je piorun wytrzasnęła, z pułku do pułku przypadły” i zajęły wyznaczone im miejsca.

Tak stary lew poradził sobie z królewiczem i intrygami jego ulubieńców.

Wszystko drżało teraz na widok hetmana, który, „trzęsąc się cały od gniewu, ani słowa już wyrzec nie mógł i wciąż mimo pułki jechał”. A struchlały królewicz, obawiając się wybuchu nowej burzy, dogonił hetmana, lecz nie śmiejąc się do niego zbliżyć, posuwał się opodal w milczeniu. Podjechał wreszcie do groźnego wodza, ujął go nieśmiało pod rękę i błagał, aby całe zajście raczył wybaczyć. Posępny lew dał się wkońcu ugłaskać i zgodził się puścić wszystko w niepamięć.

Wojsko szło ku stolicy carskiej.

Po drodze próbowano zdobyć Borysów i Możajsk, ale próby zawiodły. Pod Możajkiem omal nie przyszło do buntu i całkowitego rozbicia armji, gdyż wysłany do Warszawy po pieniądze na żołd dla wojska kanclerz Sapieha powrócił był właśnie z pustemi rękoma. Zawiedzeni w nadziejach żołnierze podnieśli straszny gwałt i, skarżąc się, że ich oszukano, złożyli Sapiesze, komisarzom i królewiczowi. Kilka chorągwi porzuciło obóz. Za tym przykładem poszły



inne roty i tylko z największym trudem udało się hetmanowi przy pomocy królewicza utrzymać resztę wojska w karbach posłuszeństwa.

Śród takich okoliczności zdobywanie Moskwy było niepodobieństwem. Więc na radzie wojennej Chodkiewicz wypowiedział zdanie, że zamiast maszerować na Moskwę, należałoby zwrócić się na południe, zajmując żyzne ziemie moskiewskie, dać strudzonym żołnierzom odpoczynek, odkarmić ich należycie, wypłacić żołd zaległy i dopiero z wojskiem wypoczętem, sytem i opłaconem ruszyć pod mury stolicy. Ale komisarze, posiadający instrukcje króla i stanów, by wojnę skończyć koniecznie przed nadejściem Nowego Roku bądź wzięciem Moskwy, bądź traktatami, ani chcieli słyszeć o planie hetmana.

Chodkiewicz, nie mając wiary w pomyślny skutek przedsięwzięcia, przeżywał chwile tem cięższe, że zdrowie jego coraz bardziej zaczynało szwankować. W listach do żony skarżył się na „ciężkość wielką w piersiach” i marzył o powrocie do domu. Ale nie bacząc na zdrowie, pozostał na czele szemrzącego wojska i wiódł je ku Moskwie. W tym czasie przyszła do obozu wieść pocieszająca: na pomoc królewiczowi śpieszyło ku stolicy 20.000 Kozaków zaporoskich, wiedzionych przez Konaszewicza Sahajdacznego. Sahajdaczny, wezwany za namową kanclerza Sapiehy przez króla, usłuchał wezwania i szedł złączyć się z wojskiem polskim, pustosząc po drodze liczne wsie i miasta.

Królewicz wysłał wojskiego Madalińskiego na spotkanie Zaporozców, kazał im powinszować odniesionych zwycięstw, a Sahajdacznego na znak swej łaski

obdarzył buławą z herbem królewskim i złotymi kotłami.

Dnia 3 października 1618 roku wojsko rozłożyło się obozem w Tuszynie pod Moskwą, w miejscu, słynnym z przebywania w nim drugiego Dymitra Samozwańca. Przybycie Kozaków podniosło ducha rycerstwa. Ale Moskale, chcąc uzyskać zwłokę, rozpoczęli układy, wiedząc, że zbliża się zima, a z nią mróz i głód, dwaj najpewniejsi sprzymierzeńcy Moskwy. Nie udało się przecież posłom moskiewskim zbyt długo wstrzymać Polaków od działań. W nocy z dnia 11-go na 12-y października, wojsko polskie przypuściło szturm do dwóch bram miasta. Lecz Moskale, uprzedzeni przez zbiegów o napadzie, przygotowali się dobrze do obrony i szturm zwycięsko odparli.

Zniechęciły się tem wydarzeniem umysły. Trudność zdobycia Moskwy, o czem mówił hetman, teraz dopiero zaczęła być uznawana, a nawet przesadzana. Prąd pokojowy wziął górę i komisarze myśleli już tylko o układach. Sprzeciwiał się temu przywykły do zmienności losów wojennych Chodkiewicz, protestował królewicz, z wielką wdzięcznością spoglądający teraz na hetmana, lecz instrukcje królewskie, szemranie wojska i brak pieniędzy na dalsze prowadzenie wojny parły komisarzy do zawarcia pokoju.

Rozpoczęto układy.

Po długich targach dnia 11 grudnia 1618 r. stanął we wsi Dywilinie traktat, na którego mocy pomiędzy wojującymi stronami nastąpiło na lat czternaście zawieszenie broni. Polska odzyskała Smoleńsk i Siewierszczyznę, ale idea unji Polski z Moskwą na zawsze została pogrzebana. W ciągu lat czternastu oba państwa miały czynić starania o wieczysty po-

kój. Lecz zamiast pokoju przyszło wkrótce do nowej wojny, która po raz ostatni wykazała że w zapasach z Moskwą Polska jest górą. Pokój, zawarty w r. 1634 w Polanowie był kresem korzyści i przewagi Rzeczypospolitej nad carstwem. Już na podstawie tego pokoju Władysław IV zrzekł się swego prawa do korony carskiej, a potem przyszedł ów straszny dziejowy odwet, który przewidywał Chodkiewicz, a który zaciążył złowrogo na losach narodu.

Po zdobyciu Smoleńska Chodkiewicz, jak ongi w Inflantach, prowadził wojnę z Moskwą bez środków, z nieliczną garstką wiernego wojska, w tak strasznych zgryzotach, że z listów jego, pisanych w owym czasie, niejednokrotnie bije ból i rozpacz. Żył w ciągłej trosce o żołd należny żołnierzom, w nieustannem poszukiwaniu drogi do rozumu króla, do sumienia sejmu, do patriotyizmu magnatów i szlachty. W takich warunkach jego genjusz wojenny nie mógł zabłysnąć świetniejszemi czynami, lecz zmuszony był wyczerpywać się w działaniach, które nie przynosiły sławy i nie były oceniane, choć utrzymywały powagę Rzeczypospolitej i zabezpieczały osiągnięte przez nią korzyści. W ostatniej wyprawie, krępowany nieustannie postanowieniami konsyljarzy, spełniał tylko ciężki obowiązek, bez wewnętrznego przekonania, że idąc za cudzą wolą, spełni go, jak należy. Nie wprowadził królewicza w triumfie do Moskwy, nie włożył na jego skronie korony carskiej i wbrew własnemu przekonaniu przed czasem schował do pochwy swą niezwycięzoną szablę.

Po niezliczonych wysiłkach i trudach znakomity wódz<sup>z</sup> czuł się chorym, steranym, myślał o dobrze zasłużonym spoczynku przy domowym kominie. Ale



wkrótce Rzeczypospolitej zagroziło ogromne niebezpieczeństwo i oczy całego narodu zawisły na szabli Chodkiewicza.

Stary lew litewski, na podobieństwo Żółkiewskiego, nie zawahał się ostatnich dni swego żywota oddać zagrożonej ojczyźnie.

---

## VI.

### POLSKA A TURCJA.

Tym razem niebezpieczeństwo groziło Rzeczypospolitej ze strony Turcji, która od dłuższego czasu pozostawała z Polską w dobrych stosunkach, aczkolwiek wzajemne pretensje państw obu niejednokrotnie mąciły harmonję i nieraz prowadziły do poważniejszych zatargów. Lecz zachowanie pokoju z Turcją stało się za ostatnich dwóch Jagiellonów jedną z podstaw zewnętrznej polityki polskiej, a polityce tej z małemi wyjątkami hołdowali tak możni panowie, jak szlachta. W czasie elekcji po śmierci Zygmunta Augusta bardzo poważnie liczone się w Polsce z głosem Turcji, a do wyboru Batorego przyczynił się w pewnej mierze fakt, że książę siedmiogrodzki cieszył się poparciem sułtana. Wprawdzie król Stefan, zgodnie ze swym olbrzymim planem, miał zamiar wyrzucić Turków z Europy, ale czynił wszystko, by nie zdradzić swej tajemnicy przed czasem, a sułtanowi składał dowody przyjaźni. Wojowniczy król, pragnący zrzucić z Węgier jarzmo tureckie, żyjący tą myślą i płonący do swych kolosalnych zamiarów, usypiał czujność niebezpiecznego wroga, porozumiewał się z papieżem i państwami chrześcijańskimi, a gdy się przekonał,

że liga przeciw Turcji do skutku dojść nie może, zamysłał o połączeniu pod swem berłem Moskwy z Rzeczpospolitą i dopiero z siłami państw obu zamierzał stanąć do wojny z sultanem<sup>1)</sup>.

Król Stefan, wódz śmiały, lecz przezorny, znał dobrze potęgę turecką, a szacował ją bardzo wysoko. Pogląd wielkiego króla utrwalił wśród znakomitych mężów owego czasu przekonanie, że Polska nie może o własnych siłach porywać się do walki z Turcją. Opinji tej niejednokrotnie dawał wyraz Zamoyski. A hetman Żółkiewski, doskonale wtajemniczony w plany Batorego, pisząc do Zygmunta III o ogromnych zasobach „potężnego tyrana”, twierdził, że Rzeczpospolita, nawet przygotowując się do wojny lat wiele, nie zdołałaby sprostać sultanowi. To też zalecał politykę pokojową i unikanie wszystkiego, co zawichrzoną ojczyznę mogłoby wplątać w zatarg zbrojny z Portą. Ale król Zygmunt, znajdujący się całkowicie pod wpływem jezuitów, szedł w swej polityce za wskazaniemi Rzymu. A Rzym czynił wysiłki, by przełamać wstrzeźliwość polską w stosunku do największego wroga chrześcijaństwa. Więc Zygmunt zerwał z przecznością swych poprzedników.

W systemacie politycznym Wazy leżał, jak wiadomo, najściślejszy sojusz z Habsburgami, których Porta zaliczała do największych swych nieprzyjaciół, a którym starała się zawsze przeszkodzić, ile razy wyciągali ręce po koronę polską. Było to naturalnem następstwem układu sił w Europie: cesarz, oficjalny reprezentant chrześcijaństwa i główna Rzymu podpo-

---

<sup>1)</sup> O planach Stefana Batorego traktuje obszerniej praca autora książki niniejszej p. t. «Stefan Batory».



ra, był ośrodkiem, koncentrującym wszystkie przeciw Turcji wojownicze zamiary papieży, a więc niejako przysięgłym wrogiem sułtana. Ponadto panowanie na Węgrzech i nieustający spór o władzę zwierzchnią nad Siedmiogrodem jątrzył obie strony i prowadził je do uporczywych wojen. Skutkiem tego wszelkie zbliżenie się Polski do Austrii uważane było w Konstantynopolu za wrogi akt przeciw Porcie i z natury rzeczy nadwyreżało równowagę w stosunkach polsko-tureckich.

To był jeden powód, wywołujący gniew Turcji.

Drugim powodem były nieustanne najazdy Kozaków na posiadłości sułtana.

Rozbójnicze drużyny, chciwe łupów i sławy wojennej, a rozkochane w przygodach niezwykłych i szaleńczych czynach, puszczały się na lotnych czajkach wzdłuż Dniepru i, wypadłszy na morze, łupiły miasta nadbrzeżne. Zaskoczona znienacka ludność stawała się pastwą rabunku i nim zdołała pomyśleć o obronie, już chybkie czajki oddalały się ze zdobyczą i w dali morskiej ginęły z przed oczu. Zuchwałość Kozaków była tak wielka, że rzucali się nieraz na uzbrojone w armaty galery, odbierali nagromadzony na nich dobytek, poczem zrabowane statki wraz z załogą puszczały na dno morza. Flota turecka, chcąc przeszkodzić tym napadom, czatowała na łodzie kozackie u ujścia Dniepru, ale mołojcy często usypiali czujność Turków i wśród mroków nocy, cicho, jak duchy, przemykali się obok groźnego nieprzyjaciela. Te wyprawy do rozpacy doprowadzały ludność miast zagrożonych. Porta usilnie domagała się od Polski poskromienia niesfornych łupieżców i nieraz groziła wojną, jeżeli napady kozackie powtarzać się będą.

Ale Rzeczpospolita nie miała dość siły, by nakazać posłuszeństwo Kozakom. W roku 1614 czajki kozackie przepłynęły morze Czarne i zjawily się niespodzianie pod Synopą. Rozkoszne miasto, ciche, bezbronne, dalekie od wszelkiej myśli o niebezpieczeństwie. padło pastwą najokropniejszego zniszczenia i rabunku. Na wieść o tem sułtan Achmet I pomstę zapowiedział Polsce. Burza została zażegnana, ale w następnym roku Kozacy złupili porty w pobliżu Konstantynopola, a drżący z gniewu Achmet z okien swego pałacu spoglądał na dymy pożarów, wznieconych rękoma zuchwałych najeźdźców. Flota turecka otrzymała rozkaz rozgromienia zuchwałców. Stało się inaczej: Kozacy z niezwykłą odwagą rzucili się na okręty tureckie, odnieśli świetne zwycięstwo i nawet wodza tureckiego wzięli do niewoli. Porta ponowiła swoje pogróżki, ale Rzeczpospolita nie była w stanie zapobiec dalszym wyprawom. Łupieskie najazdy Kozaków na ziemie tureckie ponowiły się w latach następnych. Wyczerpała się wreszcie cierpliwość sułtana. W roku 1617 Iskierder-basza ruszył przeciw Polsce i zawarł z Żółkiewskim traktat, skutkiem którego Rzeczpospolita utraciła Chocim. Polacy zobowiązali się wówczas poskromić kozactwo, a Turcy powstrzymać najazdy Tatarów.

Ale obie strony nie dotrzymały warunków.

Więc gdy w Konstantynopolu podnoszono zarzut, że Polska nie umie utrzymać na wodzy Kozaków, to Polacy skarżyli się na ciągłe napady Tatarów, których sułtan, według wyrażenia Żółkiewskiego, trzymał, jako charty na smyczy i pędził na płądrowanie nadgranicznych ziem polskich.

Wreszcie równie poważną przyczyną nieporozumień pomiędzy Rzeczpospolitą a Turcją była Wołoszczyzna.

Kraj ten wyzwolił się czasem z pod lennictwa Polski i w wieku XVI dostał się pod zwierzchnictwo tureckie. Ale gospodarowie w gruncie rzeczy nigdy nie zerwali stosunków z Rzeczpospolitą, a nieraz chronili się pod jej skrzydła i prosili królów polskich o opiekę. Stawało się to wówczas, gdy ręka turecka zbyt ciężko dawała się im we znaki. Wtedy przypominali sobie dawną od Polski zależność, ślali posłów do króla, jednali sobie pomoc możnych panów polskich. Gdy jednak wpływ Rzeczypospolitej zaczął wazyć na losach kraju, zdradliwi Wołosi odwoływali się do sułtana. Nieustanne zmiany gospodarów, przechylających się to na stronę polską, to na turecką, nie pozwoliły na uregulowanie wzajemnych stosunków, które oddawna były niejasne i dwuznaczne. Z dwuznaczności tej korzystali panowie polscy i, chcąc na Wołoszczyźnie utrwalić swe wpływy, na własną rękę przedsiębrali słynne wyprawy i wikłali Polskę w niebezpieczne z Portą zatargi.

Wszystkie te okoliczności wywoływały ciągle nieporozumienia, lecz dopóki dyplomacja polska unikała wojny z Turcją, gniew sułtanów kończył się groźbami. Nie nęciły Turków dalekie równiny polskie wobec żyznych i obfitujących we wszystko ziem węgierskich, położonych bliżej a częściowo już opanowanych. Polityka Porty skierowana była przede wszystkim przeciw cesarzowi, a później i przeciw Moskwie, od tej chwili zwłaszcza, gdy Iwan Groźny rozszerzył niepomiernie granice swego państwa i zagrażać zaczął Krymowi. To też Porta, lekceważąc w gruncie rzeczy



siłę wojenną Polski, nie miała głębszych powodów do występowania zaczepnego, wszakże pod warunkiem, że Rzeczpospolita nie odda się na usługi cesarza i nie zawrze sojuszu z Moskwą, co, wobec sporów o ziemie litewskie i ruskie, nie przedstawiało wielkiego prawdopodobieństwa.

Ale w ostatnich latach w obu państwach zaszły okoliczności, które zmieniły stan rzeczy: po wrogu cesarza, Stefanie Batorym, na tronie polskim zasiadł Zygmunt III, dążący do najściślejszego z Habsburgami sojuszu, a berło sułtańskie dostało się w ręce młodziutkiego Osmana, który zerwał z polityką swych poprzedników i postanowił rozprawić się z Polską.

Nowy padyszach pałał żądzą sławy, a miał ambicję wielkiego zdobywcy. Jego ideałem i wzorem był Soliman Wspaniały, który w całym świecie nie posiadał równego sobie mocarza. Siły zbrojne Solimana obliczano na setki tysięcy wojowników, ożywionych fanatyzmem i niezłomną wiarą w szczęśliwą gwiazdę swojego władcy. Mając na swe usługi własny genjusz, olbrzymią, świetnie zorganizowaną, a posłuszną każdemu skinieniu armję, wielką flotę wojenną, nieprzebrane skarby i środki pieniężne, Soliman budził grozę w całej Europie, ścigał haracze od cesarza, od władców Mołdawji, Wołoszczyzny, Siedmiogrodu, Wenecji, wojował w Azji i Afryce, najeżdżał ziemie niemieckie, węgierskie, wołoskie, walczył z Wenecją, pustoszył wybrzeża włoskie i hiszpańskie. Zygmunt Stary, widząc potęgę Solimana, unikał z Turcją wszelkich zatargów, a cieszył się takimi względami w Konstantynopolu, że groźny sułtan nazywał Zygmunta najlepszym swoim przyjacielem i pozbawił nawet hospo-

darstwa Piotra Raresza zato, że ten ośmielił się niepokoić Polskę.

Osman, któremu śniły się triumfy wojenne Solimana Wspaniałego, dyszał nienawiścią do Kozaków, przysięgał sobie ich zniszczyć, a że za napady kozackie winił Polaków, więc i na Rzeczpospolitą rozciągał swą zemstę. Gwałtowny, niepomiarkowany w gniewie, budzący strach w najbliższem otoczeniu, młody Osman nie zdawał sobie sprawy z wycieńczenia państwa, nie dostrzegał różnicy pomiędzy wojskiem Solimana, a wojskiem, które w owym czasie posiadała Turcja. Zdemoralizowani urzędnicy tureccy żyli łupiestwem, zubożyli posiadłości sułtańskie, a wojsko, zarażone ogólną demoralizacją, nieraz wypowiadało posłuszeństwo i buntowało się jawnie. Nawet słynni janczarowie, odkąd wyjednali sobie prawo żeniaczki, nie byli już ożywieni dawnym wojennym zapalem i psią wiernością dla padyszacha. Wreszcie sam Osman ani umysłem, ani wielkością ducha, ani talentem wojennym nie przypominał Solimana. Uparty, mściwy, zawzięty, a niedoświadczony, nie chciał słuchać doradców, którzy, zgodnie z tradycją, nie życzyli sobie widzieć Rzeczypospolitej w szeregach nieprzyjaciół Turcji. Młody sułtan wręcz zapowiedział, że ktoby się ośmielił odradzać wojnę z Polską, temu łeb ściąć rozkaże i tą zapowiedzią stłumił głosy perswazji. Gdy we wrześniu 1619 r. stanął pokój z Persją, nad Bosforem zaczęto czynić przygotowania do wojny z Rzeczpospolitą.

Wtedy to wyruszył na Wołoszczyznę Żółkiewski.

Nieszczęsna wyprawa, zakończona 6 października 1620 roku pogromem i bohaterską śmiercią sędziwego wodza, utwierdziła Osmana w jego planach zdobywczych. Postanowił on, jak Soliman Wspaniały,

stanąć osobiście na czele zbrojnych zastępów i świat zadziwić zwycięstwami. Turcja zaczęła się zbroić. Pomimo nadużyć i łupiestwa urzędników, pomimo wyczerpania państwa, zasoby Turcji były jeszcze olbrzymie, a wola sultana, której nikt nie śmiał się sprzeciwić, stanowiła potężną dźwignię, uruchamiającą wszystkie siły potrzebne do podboju Polski.

A w Rzeczypospolitej wieść o klęsce cecorskiej wszędzie wywołała największe przerażenie. Przewidywano nowe nieszczęścia i domagano się obrony przed Tatarami, którzy przekroczyli niestrzeżone granice i rozpuścili niszczące zagony na wielkich przestrzeniach Podola i Wołynia. Nic dziwnego, że fala popłochu płynęła od pustoszonych prowincyj i zataczała coraz szersze kręgi. Trwoga panowała w osaczonym Lwowie, lękał się Kraków, drżała Warszawa. Gdy z powodu zamachu Piekarskiego na króla, wszczął się tumult w mieście, mieszkańcy, uwierzywszy pogłosce, że to Tatarzy zbliżają się do Warszawy, śród nieopisanego gwałtu jęli barykadować domy i szykować się do obrony. Musiano po całym mieście otrąbić, że pogłoska jest nieprawdziwa, by uspokoić strwożone umysły. Ale wypadek ten świadczył, że po klęsce cecorskiej społeczeństwo gotowe było wierzyć najniedorzeczniejszej plotce, że zwątpiło we własne siły i najstraszliwszych oczekiwało ciosów. Widmo zagłady, idące z żałobnych pól Cecory, zaglądało w oczy królowi, magnatom i szlachcie, stawało przed bramami miast, a wszystkim płoszyło sen z powiek i drzeniem o losy kraju najmężniejsze przenikało serca. Toż całe wojsko polskie, jedyna obrona pustoszonych ziem, doznało niepamiętnego w dziejach



pogromu: legł wódz, którego sławą szczyliła się Rzeczpospolita, dali głowy lub dostali się do niewoli wraz z helmanem polnym Koniecpolskim najznakomitsi pułkownicy i rotmistrze, tysiące rycerzy padło od strzał i szabel tatarskich, a z wyborowej, choć nielicznej armji szczątki pozostały.

A kraj, wyniszczony wojną domową, wojną ze Szwecją i wojną z Moskwą, pozbawiony wojska, posiadający w skarbie pustki, żarty niezgodą poważniejszych ze sobą i z królem magnatów, przedstawiał obraz niemocy. W takich warunkach, w obliczu niewypowiedzianej grozy, wśród żaloby całego narodu, w atmosferze złowróżbnych pogłosek i przecuć, zebrał się w początkach listopada 1620 roku sejm i radził o środkach obrony. Położenie było tem groźniejsze, że lękać się należało Moskwy, którą wprowadzie obowiązywał rozejm szesnastoletni, ale która nie zwykła dotrzymywać umów, gdy chwila odwetu była odpowiednia. Wielkie niebezpieczeństwo groziło zarazem i ze strony Szwecji, która nie spuszczała z oczu utraconych Inflant.

Wobec takiego stanu rzeczy szlachta zrozumiała, że trzeba nadzwyczajnych wysiłków i ofiar, by uniknąć zagłady. Sejm uchwalił wielkie podatki i uprościł sposób ich pobierania.

Zajęto się również organizacją siły zbrojnej. Ustanowiono liczbę wojska regularnego na 60 000 i postanowiono zwołać pospolite ruszenie. Liczono także na Kozaków i przedsięwzięto kroki, by pozyskać ich pomoc. Starano się ująć Konaszewicza Sahajdacznego, którego męstwo zajaśniało w wojnie moskiewskiej, a który wielką powagą cieszył się na Zaporozżu.

Ponadto domagano się pomocy od papieża i cesarza, wysłano posłów do Francji, Anglii, Holandji, Wenecji i książąt niemieckich.

Papież uchylił się od wydatniejszej pomocy pieniężnej, tłumacząc się, że wielkie sumy, udzielone cesarzowi na walkę z protestantami, nie pozwalają mu wypłacać Polsce więcej nad 10.000 złotych polskich miesięcznie w czasie trwania wojny. Był to zasilek nic nie znaczący, gdyż sam żołd dla 50.000-go wojska wynosił miesięcznie blisko milion złotych. Król angielski Jakób obiecał Ossolińskiemu pomoc zbrojną, ale nie myślał obietnicy dotrzymać. Król francuski i książęta niemieccy wymówili się ciężkiem położeniem od wszelkiego udziału w czekających Polskę zapasach. A sojusznik Zygmunta, cesarz Ferdynand, nie tylko nie przysłał ludzi, ni środków, nie tylko nie pozwolił Polsce na werbowanie w swych krajach żołnierzy, ale sam czynił na ziemiach polskich zaciągi i w najgroźniejszej dla Rzeczypospolitej chwili osłabiał swem zdradzieckiem postępowaniem siły odporne narodu.

W ten sposób Polska, zagrożona przez Szwecję, niepewna Moskwy, pozbawiona wojska i zasobów pieniężnych, opuszczona przez świat, zdradzana przez cesarza, stawała sam na sam do walki z groźną potęgą sultana.

W takiej to chwili, gdy cała Europa z niepokojem spoglądała na Polskę, cała Polska jednomyślnie patrzyła na Chodkiewicza. W hetmanie wielkim litewskim widziano teraz jedyny sztandar, który mógł skupić dokoła siebie rozproszone siły narodu, a zarazem nadzieję i tarczę Rzeczypospolitej. Jemu też

powierzono naczelne dowództwo nad wojskiem, które dopiero trzeba było stworzyć i zorganizować. Po zgonie Żółkiewskiego Polska zażądała ofiary od drugiego z największych swych synów, jakimi chlubić się mogła przed światem.

Nie zawiódł hetman wielki litewski nadziei narodu.

---



## VII.

### CHOCIM.

W chwili, kiedy opinja kraju powoływała Chodkiewicza do wielkiej roli dziejowej, sześćdziesięcioletni hetman, schorzały i podupadły na zdrowiu, wazył się na krok w jego położeniu niezwykły. Przed dwoma laty umarła mu żona, z którą dwadzieścia kilka lat łączyło go zgodne i szczęśliwe pożycie, a po której najwdzięczniejszą pamięć zachował w swem sercu<sup>1)</sup>. Ale straciwszy umiłowanego syna, a następnie najmilszą mu małżonkę, stary wódz czuł się najzupełniej samotnym i opuszczonym. Przeczuwając bliski koniec swego żywota, z żalem rozmyślał, że nie ma komu przekazać wiekopomnych czynów i wielkiej, a w krwawym trudzie zarobionej sławy. Obudziła się w nim chęć pozostawienia po sobie dziedzica. A ta chęć skłoniła go do zawarcia nowych związków małżeńskich. Właśnie dnia 24 listopada 1620 r. brał w Jarosławiu ślub z Anną Alojzą, księżniczką Ostrogską, młodą wojewodzianką wołyńską, gdy otrzymał wezwanie do objęcia naczelnego dowództwa.

---

<sup>1)</sup> W testamencie, pisanym przed wyjazdem na wojnę, kazał pogrzebać swe ciało w Kretyndze, obok zwłok swej pierwszej żony.

Więc prosto z wesela ruszył na sejm do Warszawy, by rozejrzeć się w położeniu i pokierować przygotowaniami do wojny. Lecz to, co zastał w Warszawie, nie odpowiadało jego widokom.

Sejm ustanowił radę wojenną, która składała się z 2 biskupów, 4 wojewodów, 2 kasztelanów i 10 posłów, a miała głos we wszystkich ważniejszych sprawach, dotyczących wojny<sup>1)</sup>. Komisarze, zasiadający w radzie, byli obowiązani czuwać, by należycie szafowano pieniędzmi i nie zaciągano żołnierzy ponad liczbę przez sejm ustaloną. Oni również mieli decydować o stoczeniu walnej bitwy, wszczynaniu układów i zawieraniu pokoju. Hetman wiedział dobrze z doświadczenia, zdobytego w ostatniej wyprawie moskiewskiej, co znaczą na wojnie owe rady zbiorowe, z którymi liczyć się trzeba, a które krępują wodza, odbierają mu śmiałość ruchów, krzyżują jego plany, a prowadzą do ciągłych nieporozumień. Więc zżymał się na myśl o tej radzie, zwłaszcza, że między komisarzami byli ludzie młodzi, którzy ani zasługami, ani znajomością sztuki wojennej nie mogli się mierzyć ze sławnym w świecie wojownikiem.

Hetman polny Konięcpolski znajdował się w niewoli, więc do pomocy hetmanowi wielkiemu wyznaczony został podczaszy koronny Stanisław Lubomirski, słynący z dzielności i męstwa. On też pełnił obowiązki z urzędem hetmana polnego związane, a w bo-

---

<sup>1)</sup> Część tych komisarzy miała pozostać na dworze przy królu, część udać się z Chodkiewiczem. Do tych ostatnich należeli: Mikołaj Sieniawski, krajezy koronny, Maciej Leśniowski, podkomorzy bełzki, Michał hrabia z Tarnowa, Jakób Sobieski, syn wojewody lubelskiego Marka, Mikołaj Kossakowski, starosta wiski, oraz starostowie Jan i Paweł Działyńscy.

jach pod Chocimiem miał się okryć nieśmiertelną sławą.

Chodkiewicz czynił gwałt wielki, by przygotowania wojenne najszybciej ukończyć, ale nie mógł doprosić się stanowczych postanowień. Brak środków pieniężnych na każdym kroku dawał się we znaki, a do organizacji wojska wkraść się taki chaos, że wiele zarządzeń wydawano bez wiedzy hetmanów. Z dnia na dzień piętrzyły się trudności. Gniewał się Chodkiewicz, ale nie był w stanie zaradzić złemu.

— „Nie według hetmańskiego podawania zbierano wojsko” — powiada Jakób Sobieski, wojewodzie lubelski, jeden z komisarzy, zasiadających w radzie wojennej. Ten-że wiarygodny świadek utrzymuje, że „w prochach i municjach ladajakie obmyśliwanie było”, bo i prochy dostarczono liche i w niedostatecznej ilości. „Do przedniejszych dział toż i kul i nie było”, a wszystkich dział (z wyjątkiem kozackich) naliczono zaledwie 28, „ale i te w wielkim nieporządku”.

Chodkiewicz utyskiwał na opieszałość rady wojennej i króla, srożył się, protestował, ale czując swą bezsilność, uznał, że niema poco dłużej w Warszawie siedzieć. Więc wyjechał do Jarosławia, wysłał stamtąd uniwersały, wyznaczające wojsku punkt zborny pod Kamieńcem. Później wraz z młodą żoną udał się na Litwę, a nieustannie króla zasypywał listami, żaląc się, że rozkazy jego nie są wykonywane i że przygotowania wojenne zbyt się przewlekają. Chciał nawet złożyć dowództwo naczelne, w przekonaniu, że Rzeczpospolitą czeka nowa, jeszcze straszniejsza klęska, niż pod Cecorą. Nie uczynił tego, ale gniewał się coraz bardziej i składał z siebie odpowiedzialność za wynik wojny.



Powoli przecież zbierały się wojska i już w maju 1621 roku Stanisław Lubomirski wyruszył na rozkaz Chodkiewicza z częścią sił koronnych na Podole i rozłożył się w Skale nad Zbruczem. Przybył w samą porę, gdyż Tatarzy pod wodzą Kantemira w coraz większych masach zaczęli się ukazywać. Lubomirski podjazdami odpędzał napastników, a chłopci, czyniąc zasadzki po ostępach leśnych, czatując wśród skalistych jarów, pomagali wojsku i nieraz dawali się we znaki pomniejszonym oddziałom rabusiów.

Zaczynała się mała wojna, poprzedzająca wielką burzę, która miała niebawem rozszaleć.

Chodkiewicz w końcu czerwca udał się do Lwowa, a w drugiej połowie lipca nadciągnął wraz ze swoim pułkiem do obozu pod Oryninem, gdzie stało już 20.000 żołnierzy. Oczekiwano na Kozaków i przybycie królewicza Władysława, który miał nadciągnąć z poważniejszą siłą.

Stan zgromadzonego wojska napęłnił hetmana wielkim nieukontentowaniem.

— „W rotach koronnych — pisał do Lwa Sapiehy — słaba nadzieja. Te rotę, niezupełne w konie, w rynsztunek nędzne, z litewskimi nie mogą razem czynić, chociaż Litwa przez świat szła! Nie mają czego panowie Polacy szydzić: Litwa jedna wszystkim im pokrasą”.

Zauważył również nadużycia i srodze bolał nad nieuczciwością tych, co czynili zaciągi.

— „Biorą pieniądze na 200, na 300 koni — i połowicy nie przywiedzie do obozu. Zysk ich, że się nadrze i nałupi własnej ojczyzny”, — wyrzekął w tymże liście i upewniał, że karać będzie wszelkie objawy swywoli.

Jakoż bacznie przestrzegał porządku. Jednocześnie czynił wszystko, by wywiedzieć się o ruchach i sile wojsk tureckich, a słyszał z tego, że nie żałował pieniędzy na szpiegów i że dokładne otrzymywał wiadomości. Bawił w obozie Lubomirskiego wysłaniec hospodara Aleksandra, Jan Wewelli. Przyjechał on z propozycją rozpoczęcia z Turcją układów, a prócz listów hospodara przywiózł ze sobą listy baszów tureckich. Był to Włoch, urodzony na Krecie, człek chytry, niepewny, przysłany na przeszpiewi. Lubomirski zatrzymał Wewellego pod strażą, czekając na przybycie hetmana. Chodkiewicz zawezwał wysłańca. Niezbyt mężny Włoch tyle się nasłuchiwał o gwałtowności znakomitego wodza, a tak się przeraził samym jego widokiem, że zachwiał się na nogach i, bełkocąc bez związku, runął na kolana. Hetman podniósł z ziemi Wewellego, uspokoił go i obiecał odesłać z powrotem. Jakoż tak uczynił, ale za towarzysza dodał mu Teofila Szemberga, który wiózł odpowiedzi na listy baszów, a jako człek wojenny, doskonale znający zwyczaje Turków, miał baczyć na wszystko, wywiadywać się o sile wojsk sułtańskich i o wszystkim przysyłać szczegółowe wiadomości.

Tymczasem po obozie krążyły wysoce zatrważające pogłoski. Opowiadano sobie, że Osman prowadzi na Polskę 400.000 ludzi, że chanowi rozkazał stawić się w 200.000, że prócz wielkich armat burzących samych dział połowych ma 300. Chodkiewicz, słysząc te cyfry mających zalać ziemię polskie nieprzyjaciół, porwał się za rękojeść szabli i z wielkim animuszem zawołał:

— „Ta ich policzy!”

Innym razem, gdy mówiono o wściekłości Osmana, zaśmiał się i rzekł po białorusku:

— „Sierdita sobaka wołkom strawa!”<sup>1)</sup>.

Gdy rycerstwo, widząc niedostatek amunicji i skromne zapasy żywności, frasowało się, że na długą wojnę zapasów tych nie starczy, hetman odpowiedział wesoło:

— „Nie bójcie się, skończym wojnę prędzej, nim słoninę waszą zjecie!”...

Te powiedzenia szeroko krążyły po obozie, a podnosiły ducha i strwożonym sercom dodawały otuchy. Ale sam Chodkiewicz upadał na zdrowiu i cierpiał coraz bardziej, trapiiony dolegliwościami wieku. Panował przecież nad sobą i ukrywał swoje cierpienia. Jakób Sobieski, znajdujący się bliżej hetmana, a wiedzący o złym stanie jego zdrowia, piękne świadectwo wystawił hartowi genialnego wodza. Powiada, że słaby ciałem, silny był duchem, że „w największych bólach swych najwięcej harcował”, a siedząc na koniu, zachwycał rycerstwo marsową postawą, od której biła pewność siebie, siła i wola, te niechybne znamiona zwycięstwa.

Dnia 7 czerwca Osman wyruszył z Adrjanopola i na czele zgromadzonego wojska szedł ku granicom Rzeczypospolitej.

Zbliżały się chwile rozstrzygające.

Chodkiewicz miał początkowo zamiar nie czekać u granic ojczystych na potęgę turecką, lecz wkroczyć na Wołoszczyznę, iść na spotkanie wrogów i w kraju obcym wydać sułtanowi bitwę generalną. Liczne przeszkody, nie pozwalające na zgromadzenie wojska we właściwym czasie, udaremniły ten zamiar.

---

<sup>1)</sup> Złego psa wilki jedzą.



Pozostała obecnie do rozstrzygnięcia kwestja, czy przejść Dniestr, czy też z tej jego strony czekać nieprzyjaciół. Zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że Dniestru przekraczać nie należy, gdyż wojsko źle jest zaopatrzone, a w obcym kraju o wszystko będzie trudniej, niż w granicach ojczystych. Nadto obawiano się Wołochów, którzy zdradzieckiem postępowaniem niejednokrotnie już przyczynili się do klęski Polaków. Łudzono się zarazem możliwością wszczęcia z Turcją układów, a wyrażano opinię, że przekroczenie Dniestru przetnie możliwość zawarcia pokoju i tylko bardziej jeszcze rozgniewa i obrazi zapalczywego Osmana. Inni, bystrzej oceniający faktyczne położenie rzeczy, dowodzili, że o pokoju nie ma co myśleć, że wojna jest niunikniona. I powoływali się na przykład Żółkiewskiego, który czynił wielkie wysiłki, by pokój z Turcją zachować, a jednak zmuszony był chwycić się szabli. I radząc niezwłocznie przekroczyć Dniestr, twierdzili, że niewielka od granic ojczystych odległość pozwoli korzystać zarówno z pomocy Rzeczypospolitej, jak z zasobów kraju nieprzyjacielskiego.

Dla powzięcia decyzji ważna była i ta okoliczność, że Kozacy upewniali, iż przyciągną wielką siłą, ale dopiero wtedy, gdy wojsko polskie stanie na ziemi wołoskiej. Obawiali się oni, iż Rzeczpospolita gotowa jest pogodzić się z Turcją i na żądanie sułtana przeciwko nim zwrócić swe szable. Przekroczenie Dniestru było dopiero zwiastunem nieuniknionej wojny — i dlatego dopiero po przejściu tej rzeki obiecywali Kozacy swą pomoc.

Chodkiewicz, skłonny zawsze do działań zaczepnych, przyzwyczajony szukać wroga, a nie czekać

na jego przybycie, przychyłał się do zdania ostatniego — i, przywiódłszy wojsko pod Chocim, wydał rozkazy do rozpoczęcia przeprawy.

Te rozkazy wywołały szemrania wśród wojska. Żołnierze zaczęli hurmem oblegać namioty starszyny i skarżyć się a wyrzekać, że czeka ich wielkie niebezpieczeństwo, a dotąd nie wiedzą, od jakiego czasu żołd im zaliczany będzie, każda bowiem chorągiew po swojemu czyniła rachunek. Raz jeszcze wielki wódz stawał w obliczu niezadowolonego wojska. Raz jeszcze miał pożywać owoce nierządu Rzeczypospolitej i jej niesprawiedliwości w stosunku do własnego żołnierza.

Po obozie krążyły niepokojące pogłoski, a głosy niezadowolenia coraz głośniej się rozlegały.

Źli ludzie, chciwi łatwego zysku, korzystając z nastroju umysłów, rozpuścili wieść, że leżący nad Dniestrem Żwaniec skazany został przez wodzów na zburzenie. Zapal ogarnął ciurów i czeladź obozową. Żądna łupu masa pomknęła ku Żwańcowi, wtargnęła, jak burza, do nieszczęsnego miasteczka, rozlała się po sąsiednich wioskach i rozpoczęła bezlitosny pogrom. Na wieść o tem Stanisław Lubomirski ruszył w otoczeniu pułkowników i rotmistrzów na ratunek zagrożonemu miastu i z największą trudnością przywiódł do opamiętania szalejące tłumy. Wytoczono zaraz śledztwo, ujęto głównych winowajców i dla przykładu powieszono przywódców tej lotrowskiej na spokojne miasteczko wyprawy. Ale sam fakt był groźnym ostrzeżeniem i nakazywał największą przezorność.

Nieszczęśliwy Chodkiewicz zabrał się do ułagodzenia szemrzącego wojska. Korzystając z obecności

komisarzy w obozie, polecił Jakóbowi Sobieskiemu, aby wraz ze Stefanem Potockim, starosłą kamienieckim, przystąpił do sporządzenia rejestru, wykazującego, kiedy jaka chorągiew stanęła w obozie i od kiedy każdej z nich powinna liczyć się służba. To sporządzenie rejestru uczyniło dobre wrażenie, które spotęgował jeszcze podstęp komisarzy. Oto każda chorągiew w największym sekrecie z osobna została zawiadomiona, że ona pierwszy żołd należny odbierze. Ten podstęp uspokoił umysły i zapobiegł dalszemu tumultowi.

— „Czy ten nasz wybieg, dla dobra Rzeczypospolitej uczyniony, za godziwy ma się uważać, sądowi późnej potomności zostawuję” — powiada Jakób Sobieski.

Późna potomność nie potępi zapewne twórców tego wybiegu, ale stwierdzić musi, że straszliwe było położenie Rzeczypospolitej, skoro w czasie wojennym, wobec nadciągającego wroga, pełnomocnicy jej musieli oszukiwać żołnierzy, by kupić sobie spokój i zapobiec buntowi!

Przejsie przez Dniestr wielkie przedstawiało trudności, gdyż most, zbudowany z łodzi, porwał wartki prąd wody i promami trzeba było wojsko przeprować. Trwało to bardzo długo, aż znalazł się jakiś prostak, chłop Rusin, który podjął się zbudowania mostu. Przyjęto tę propozycję, acz z wielkiem powątpiewaniem — i chłop zabrał się do dzieła. Pracowano podług jego wskazówek i w krótkim czasie ku podziwowi całego wojska stanął most, jak się patrzy. Komunikacja między brzegami Dniestru została otwarta, a wydarzenie to w całym obozie wielką wzbudziło radość.



Dnia 20 sierpnia zgromadzone pułki znalazły się po drugiej stronie Dniestru.

Pamiętna to była chwila, bo jak świadczą uczestnicy tej wojny, wśród żołnierzy zbudził się animusz wojenny i serca przepęłniła otucha.

— „We wszystkich umysłach — pisze w swym pamiętniku Sobieski — było zwycięstwo, na wszystkich ustach okrzyk triumfu!... Gotowało się rycerstwo powetować klęski, pożary, zgliszcza i przez tyle wieków rozlewana krew polską: ów rodziców, ów brata, ów przyjaciela, a wszyscy przodków swoich, którzy z rąk tureckich polegli, pragnęli pomścić”...

Widok marsowej postaci sędziwego hetmana, który na wspaniałym koniu lustrował wojsko, witając je wzrokiem i skinieniem, budził entuzjazm, wzmacniał wiarę w dzielność szabli polskiej, przypominał sławne boje, stoczone pod jego dowództwem, podniecał odwagę i zapał rycerstwa.

W dniu 22 sierpnia przybyli do obozu Lisowczy cy pod wodzą pułkownika Rusinowskiego. Przybyli zaledwie w 1.200 koni, ale był to lud straszliwy, w starciu niepokonany, a nie mający w całym świecie równego sobie żołnierza. Do obozu ciągle przychodziły wieści o zbliżającej się armji sultana, więc z niecierpliwością oczekiwano na przybycie Kozaków i hucców królewicza Władysława. Tymczasem Władysława wstrzymywał Zygmunt, pragnąc, by syn królewski ostatni przybył do obozu, a Konaszewicz Sahajdaczny, w drodze z Warszawy, gdzie sprawował poselstwo do króla, przyjechał pod Chocim, ale przyjechał sam jeden. Zjednany łaską królewską, pełen otuchy i najlepszej woli, wioząc towarzyszącej mu pomyślną odpowiedź na prośby, przedstawione Zyg-

muntowi, był pewien, że wojsko zaporoskie znajduje się już pod rozkazami hetmana. Przyjęty najserdeczniej przez Chodkiewicza i Lubomirskiego, a bojnie obdarowany, ruszył natychmiast w drogę, by przynaglić pochód Kozaków.

Wojsko zaporoskie stało podówczas w okolicach Mohylowa pod wodzą niejakiego Borodawki, głośnego opoja i łotra. Borodawka, nie myśląc śpieszyć pod Chocim, grasował na znacznych przestrzeniach, dopuszczając się na spokojnej ludności morderstw i rabunków. Na szczęście dla Rzeczypospolitej, Konaszewicz cieszył się wielką wśród Zaporozców powagą i umiał im trafić do przekonania. Więc gdy zdał sprawę ze swego poselstwa, gdy zapewnił towarzystwu łaskę królewską i przedstawił konieczność szybkiego marszu pod Chocim, Kozacy ogłosili go hetmanem. Nowy hetman rozkazał zakuć Borodawkę w kajdany, poczem dał znak do wymarszu. Śród bohaterskich walk z Turkami i Tatarami, usiłującymi nie dopuścić do połączenia się Kozaków z wojskiem polskim, dzielny wódz kozacki w dniu 1 września przyprowadził około 35.000 wojska zaporoskiego pod Chocim.

Poprzedniego dnia nadciągnął z 10.000 rycerstwa królewicz Władysław i, nie przechodząc rzeki, rozłożył się obozem pod Żwańcem. Nazajutrz sam przeprowadził się przez Dniestr i odwiedził hetmana.

Królewicz Władysław w przeciwstawieniu do swego ojca, miał ujmującą powierzchowność, był w obcowaniu z ludźmi przystępny i łatwy, a umiał jednać sobie serca. Rycerski i dziarski, pełen zapału i ducha przedsiębiorczego, budził wielkie nadzieje narodu, a był w kwiecie wieku, gdyż liczył dopiero 26 lat

życia. Niestety, w dwa dni później, gdy przybył do obozu, by do końca dzielić już trudy wojenne, choroba powaliła go na łożo. Jakaś złośliwa gorączka niemal cały czas wojny trawiła młody organizm. Chodkiewicz, acz sam schorzał, odstąpił swój namiot królewiczowi i otoczył go czułą opieką. Lecz tego dnia, gdy po raz pierwszy podejmował królewicza, obaj radowali się, że wszystkie wojska Rzeczypospolitej zdążyły się połączyć przed przybyciem nad granice Polski całej potęgi sułtana.

A niewiele brakowało, by sułtan wcześniej nadciągnął.

W tym czasie właśnie, gdy hetman podejmował królewicza w swoim namiocie, dano znać, że powrócił Teofil Szemberg, który wraz z Wewellim jeździł do obozu tureckiego. Wezwano go zaraz, by zdał sprawę ze swego poselstwa. Okazało się, że Szemberga nie tylko nie dopuszczono przed oblicze sułtańskie, ale tajono przed sułtanem jego obecność. Baszowie wyparli się swych listów, w których proponowali Polakom rozpoczęcie układów, a wielki wezyr dumnie oświadczył, że cesarz turecki nie zawrze pokoju, dopóki mieczem nie poskromi Kozaków, a od Polski, jako od kraju lennego, nie otrzyma stałego haraczu. Siły tureckie obliczał Szemberg na 300.000 głów, ale zdaniem jego, zdatnych do boju ludzi wiódł sułtan nie więcej nad 160.000, a nadto mógł liczyć na 60.000 Tatarów. Dział prowadził ze sobą Osman, według Szemberga 62, według innych relacyj dwieście kilkadziesiąt. Wojska tureckie znajdowały się zaledwie cztery mile od obozu, a więc już następnego dnia można było ich oczekiwać.



Wobec tej potęgi skromnie przedstawiała się liczebność wojska polskiego<sup>1)</sup>. Zamiast uchwalonych przez sejm 60.000 regularnych żołnierzy, zdołano zgromadzić zaledwie 35.000, a razem z Kozakami, których obliczano na 30 do 35.000, siły, jakie miał pod swem dowództwem Chodkiewicz, nie przekraczały 70.000 ludzi przeciw 160.000 Turków i 60.000 Tatarów, zdanych do walki w otwartym polu.

Trzykrotnie większe siły wiódł zatem sułtan przeciw wojskom Rzeczypospolitej.

Chocim nie mógł w swych ciasnych a wysokich murach pomieścić armji polskiej, za murami też rozkazał Chodkiewicz zatoczyć obóz. Na równinie, oto-

---

<sup>1)</sup> Chodkiewicz podzielił wojsko na 10 pułków, pułk królewicza był 11-sty. Pojęcie pułku nie oznaczało bynajmniej stałej jednostki bojowej, ani też określało jego liczebności, lecz związane było raczej z osobą, która nim dowodziła. Pułki zgromadzono pod Chociem liczyły:

Chodkiewicza	3.700 ludzi	Braci Sieniawskich	2.200 ludzi
Lubomirskiego	3.450 „	Kasztel. Opalińskiego	1.200 „
Aleks. Sapiehy	2.000 „	Kaszt. Żurawińskiego	1.600 „
Kasztelana Zenowicza	1.800 „	Królewicza Władysława	10.110 lu-
Kossakowskiego	1.000 „	dzi (w tem piechoty niemiec-	
Boratyńskiego	850 „	kiej 5.400, polskioj 1.800).	
Leśniowskiego	1.000 „		

Ponadto Lisowczyków było 1.200, usarzy Piekarskiego 150, 6 rotmistrzów z pancernymi 600, piechoty polskiej 950, piechoty niemieckiej pod dowództwem Lermunta 1.050, rajtarów 400. Razem wojsko, zgromadzone przez Polaków, wynosiło 33.260 głów, a według spisów, sporządzonych dla wypłaty żołdu, 35.000. Zaporozców liczono również na 35.000 ludzi. Ogółem siła zbrojna polska wynosiła zatem około 70.000 ludzi przeciw 220.000 Turków i Tatarów, zdanych według relacyj Szemberga do boju. Do tych cyfr niewliczona jest czeladź i ciurowie obozowi. Z obu stron wyprowadzono w pole około 500.000 ludzi.

czonej z jednej strony skalistemi brzegami Dniestru, z drugiej ścianą gęstych lasów, kryjących liczne wąwozy i jary, usypano szańce i wyznaczono stanowiska pułkom. Tylów obozu strzegł zamek chocimski, położony na wysokiej skale oraz leżąca na kilka staj przed zamkiem cerkiew, mocno ufortyfikowana i obsadzona piechotą. Przed frontem widniały liczne wzgórza, tu i owdzie pokryte lasami. Na drugim brzegu Dniestru ustawiono liczne straże i most dla bezpieczeństwa otoczono wałem obronnym.

W takiej pozycji czekało wojsko polskie na zjawienie się Turków.

Tu, pod murami Chocimia, miała się rozegrać batalja, od której wyniku zależały dalsze losy i przyszłość Rzeczypospolitej. Pogrom armji polskiej musiał spowodować groźne następstwa nie tylko dla Polski, ale i całej Europy. Dwa światy stawały ze sobą do walki: despotyzm azjatycki miał się zmierzyć z cywilizacją zachodu. Od wieków już większe niebezpieczeństwo nie groziło Rzeczypospolitej, od wieków już u wrót jej nie stawał wróg tak straszny i tak potężny.

Dnia 2 września 1621 roku daleki szum dał znać zgromadzonemu pod Chocimiem rycerstwu, że sułtan nadciąga z całą swą potęgą.

Zbliżały się chwile, pamiętne na zawsze w dziejach Europy.

---

## VIII.

### OSTATNIE ZWYCIĘSTWA I ŚMIERĆ CHODKIEWICZA.

Żołnierze polscy, wyprowadzeni w szyku bojowym za okopy, ujrzeni przed południem dnia tego olbrzymie kłęby sięgającej po same niebo kurzawy. Potworny tuman, zaciemniając blask dzienny, a zbliżając się ku obozowi polskiemu, chwilami rzednął, rozdzielał się, tworzył jakby pojedyncze chmury, znaczące pochód poszczególnych części wojsk tureckich, które, dążąc na wyznaczone im stanowiska, rozwijały się w różnych kierunkach. Niesłychana wrzawa towarzyszyła tym manewrom. Przerażliwy świst piszczałek łączył się z rykiem surm, z brzękiem wrzaskliwych instrumentów i łoskotem bębnow, a rzenie koni, ryk bydła, krzyki ciżby ludzkiej zlewały się z tą piekielną muzyką i wytwarzały przerażający szum, który wypełniał przestworza, rozpływał się szeroko po wąwozach, skałach i borach, zalewał falami swych dźwięków pogrążony w skupionem milczeniu obóz pod Chocimiem.

W olbrzymich tłumach, które Osman prowadził na Polskę, byli wojownicy z Europy, Azji i Afryki, różniący się ubiorem, wyglądem, sposobem wojo-



wania. Obok znakomitej piechoty, złożonej z uzbrojonych w rusznice janczarów, obok jazdy europejskiej, błyszczącej świetnymi strojami i przepiękną bronią, a siedzącej na wspaniałych koniach pod barwnymi, lśniącymi od złota proporcami, wlokły się oddziały obszarpanej dziczy, zaopatrzone w pierwotny oręż, pozbawione broni palnej i panczerzy. Obok doskonałych armat oblężniczych, wyrzucających pociski, ważące po 55 funtów, połyskiwały w słońcu krzywe szable tureckie, noże, rohatyny, żelazne haki, ostre włócznie, dzidy, długie drewniane drągi nakształt cepów ze zwieszającymi się szczękami koni i wielbłądów. Różnolitość uzbrojenia i ubiorów, jaskrawość barw, różnorodność nieustannie huczących instrumentów, niezliczone stada bawołów, jucznych koni i wielbłądów, poganianych ciągłym krzykiem, czyniły z armji tureckiej malowniczą i rozgłośną, ale zarazem trudną do zgodnego działania masę.

Wraz z Osmanem i chan Dziambet Giraj rozkładał swój kosz o pół mili od obozu polskiego.

Wzniesiona pochodem wojsk nieprzyjacielskich kurzawa zaczęła zwolna opadać, a gdy tuman się rozwiął, oczom rycerstwa ukazał się widok niezwyklej. Oto wzgórze, położone naprzeciw frontowych szanów, zabielały nagle, „jak gdyby owo niespodziewany śnieg spadł”. To gęste namioty z nadzwyczajną szybkością na rozkaz sultana rozbito. A w pośrodku obozu wzniesiono olbrzymi purpurowy namiot Osmana, obok zaś umieszczono cztery słonie z zawieszonymi na grzbietach dzwonami.

Chodkiewicz, na widok lawiny, walącej się z wrzaskiem na stanowiska polskie, wyprowadził za okopy

swe wojsko. Jak niegdyś pod Kircholmem, tak i obecnie, chcąc Turkom wykazać większe siły, niż te, któremi rozporządzał, rozkazał wystąpić za szanice czeladzi obozowej i ciurom. Ale rycerstwo pomrukiem niechęci przywitało ten manewr, wołając głośno, że obejdzie się bez tej pomocy i samo stoczy bitwę zwycięską.

Skorzystał hetman z tej bojowej ochoty, rozkazał cofnąć się czeladzi i uszykował swe hufce, by dać odpór oczekiwanej napaści.

Na prawem skrzydle stało pięć chorągwi pod Lubomirskim i trzy chorągwie w odwodzie. Ku lasowi przeciw Tatarom zwrócił się podkomorzy bełzki Leśniowski ze swoim pułkiem w 1.000 koni i z silnym hufem posiłkowym. Na lewem skrzydle uformował się pułk samego hetmana, a pułk Aleksandra Sapielhy znajdował się w odwodzie. Środek zajęła piechota niemiecka i polska z kilkoma działami, a w odwodzie miała pułk braci Sieniawskich. Obóz kozacki, mieszczący się w dolinie nad Dniestrem, nie był jeszcze okopany, ale chroniły go dwa rzędy wozów naładowanych kamieniami i piaskiem. Znaczna przestrzeń pomiędzy lewem a prawem skrzydłem była bardzo słabo obsadzona, bo pułk królewicza nie zdążył się jeszcze przeprawić.

Ale Chodkiewicz z pogodną twarzą jeździł wzdłuż szeregów i starym obyczajem krzepił rycerstwo gorącą przemową. Odwołując się do męstwa i dzielności polskiej, wzywał żołnierzy, by nie trwożyli się widokiem niezliczonych namiotów, które dla postrachu zostały wzniesione, bo wiele z nich świeci wewnątrz pustkami. Szydził ze słoniów i wielbłądów, mogących się przydać do walki z bydlętami, ale nie z rycer-

stwem, które nie da się oszukać urojonej potędze sultana, a wie, że skarby, co zabrał z sobą na wyprawę, wkrótce się staną łupem zwycięskiego wojska. Przypomniał Żółkiewskiego, który, pomimo najtrudniejszych okoliczności, szedł naprzód ku Dniestrowi w swym słynnym z pod Cecory odwrocie i na tem samem miejscu przebiłby się przez olbrzymie zasłepy Turków i Tatarów, gdyby bunt nie pokrzyżował jego bohaterskich wysiłków. Wzywał więc wojsko do zgodnego działania i przypominał świetne czyny wojenne przodków od czasów najdawniejszych.

„ — Jesteście, — wołał do żołnierzy, — plód marsowy i krew nieodrodna tych walecznych Sarmatów, którzy od Dniepru do Elby rozszerzywszy granice, bili na tych rzekach żelazne słupy, wiekuiste znamię swej sławy... Oddalmy od imienia polskiego ostateczną hańbę! Woła do was o zemstę krew braci pobitych, jeszcze niedobrze wsiąkła w tę ziemię, po której depcecie. Wołają ratunku żony, działki, służebnicy, abyście ich piersiami waszemi od miecza i powrozów pogańskich zasłonili”...

I przepowiadał wojsku, że ta olbrzymia tłuszcza niewieściuchów azjatyckich, przyprowadzona przez sultana, przestraszy się samego dźwięku bojowych trąb i kottów polskich, zadrży, gdy przed jej oczyma błysną szable polskie i od pierwszego zapędu jazdy trupami ziemię zaściele. Wróżąc rycerstwu sławę nieśmiertelną i, wskazując purpurowy namiot Osmana, wołał, że tam czeka jego żołnierzy wytchnienie i spoczynek.

Słuchało tej przemowy wojsko, a wielkie musiała czynić wrażenie, bo chorągwie rwały się do boju i czekały tylko na skinienie wodzów. Starym zwy-



czajem przedwiekowa pieśń rycerska „Bogurodzica” wydarła się z tysięcy piersi i rozbrzmiała potężnie w przestworzach.

Tymczasem Osman, spoglądając na obóz polski, uniósł się gniewem i, nie dając strudzonym ludziom chwili wypoczynku, postanowił natychmiast rozprawić się z wrogiem. Pierwszy impet tego gniewu skierował przeciw znieawidzonym kozakom. Zawziętość sułtana była tak wielka, iż miał się odezwać, że jadła nie tknie dopóty, dopóki tych niewiernych, co śmia stawić mu czoło, nie wyśle do piekła.

Dał rozkaz.

Zahuczały donośnie dzwony, rozległy się natychmiast wrzaskliwe sygnały bojowe i ze wzgórz, pokrytych białymi, jak śnieg namiotami, oderwała się chmura wojowników i z wolna zaczęła postępować ku stanowiskom kozackim. Wystąpiły do boju waleczne pułki janczarów, a za nimi formowała się do ataku ciężka jazda turecka.

Kozacy, ukryci za wozami, a wzmocnieni niebawem przez hetmana piechotą niemiecką Lermunta, powitali atakujących salwami samopałów. Strzelanina ta wywabiła z obozu mnóstwo ciekawej czeladzi, pragnącej przyjrzeć się zbliska nigdy niewidzianym Turkom. Wojsko zaporoskie, sądząc, że przybywają mu nowe posiłki, opuściło swoje kryjówki i rzuciło się ku janczarom. Zadrzało od bojowych okrzyków powietrze, zakotłowało się mrowisko ludzkie, rozgorzała bitwa—i trupy zaczęły się walić na krwią ociekającą ziemię. Na ten widok, gapiąca się czeladź rozpierschła się w popłochu i znikła za szańcami. Kozacy walczyli z ogromną zaciętością, ale gdy uderzyła na nich jazda turecka, zachwiali się i zaczęli

szybko ustępować z pola. Chodkiewicz, dostrzegłszy przewagę Turków, pchnął na plac boju strasznych Lisowczyków i kilka rot jezdnych z własnego pułku, a sam sprawował chorągwie i prowadził je w wir walki. Jazda, zagrzana widokiem osoby hetmana, runęła z impetem na wroga, zmiotła z pola janczarów, przełamała szyki konnicy tureckiej i zmusiła ją do odwrotu. Daremnie gniewał się sultan, daremnie się miotał, kazał bić z dział ciężkich, posyłał w ogień nowe oddziały jazdy i piechoty. Wszystkie ataki zostały krwawo odparte, wszędzie wojska hetmańskie odniosły przewagę.

Zapadający mrok przerwał bitwę.

W obozie polskim zagrały trąby i wojska wracały do okopów.

Tatarzy, stojący naprzeciw hufców Lubomirskiego, acz oczekiwano ciągle ich natarcia, nie wzięli dnia tego udziału w bitwie. Nie wychylając się z lasów, włóczyli się zdala po wzgórzach i wąwozach i tylko przeraźliwemi wrzaskami dawali znać o swojej obecności.

Straty polskie w tej pierwszej bitwie pod Chocimem były nieznaczne, choć padło czterech rotmistrzów, a między nimi Bohdan i Czarewicz, obaj pochodzący z Tatarów litewskich, obaj wsławieni znakomitemi czynami w wojnach inflanckiej i moskiewskiej. Postrzelony został wódz Lisowczyków, pułkownik Rusinowski oraz kilku innych dzielnych rycerzy. Ale w tej pierwszej bitwie wojsko hetmańskie odczuło swoją wyższość, a wiele pięknych koni z przepyszniemi rzędami, odebranych Turkom i wprowadzonych do obozu, wiele kosztownej broni tureckiej, bogatych szub, zawojów, a nawet sześć wspaniałych

skór tygrysich, zdobytych na wrogu, wymownie świadczyło o odwadze polskiej i tych, co nie brali udziału w bitwie, utwierdzało w męstwie i w ochocie do boju.

Straty Turków były znacznie poważniejsze: 800 trupów zasała pole walki, ciężką ranę otrzymał następca sławnego Iskiendera-baszy, Hussein-basza, beglerbeg sylistryjski, i wielki wezyr zarazem, a dostał się do niewoli beglerbeg anatolski. Przez całą noc snuli się Turcy po poboju i przy krwawem świetle pochodni zbierali rannych, grzebali poległych.

W obozie polskim na rozkaz Chodkiewicza umacniano obwarowania, sypano szańce, a w namiocie hetmańskim odbywała się rada wojenna.

Zwycięzca z pod Kircholmu, pełen animuszu rycerskiego, pomny sławnych, tylokrotnych przewag nad Szwedem i Moskałem, idąc za popędem swej lwiej a gorącej natury, radził wydać w najbliższych dniach walną bitwę i jednym potężnym ciosem zakończyć całą wojnę. Hetman nie lękał się liczby nieprzyjaciół, a znając dobrze charakter żołnierza polskiego, chciał wykorzystać rozbudzony zapał bojowy i nie narażać wojska na długie a ciężkie trudy wojny oblężniczej. Liczył się z tem, że amunicji jest mało, że żywności znajduje się w obozie niewiele, że dowóz jej jest wielce utrudniony, że rychło nastąpić może głód, a wraz z głodem zacznie się szemranie, za którem przyjdzie zwątpienie w pomyślny wynik wojny. Dowodził, że wolną przestrzeń przed szaniami, nadającą się jeszcze do stoczenia bitwy, poprzecinają niebawem przekopy i wały tureckie, co uniemożliwi ataki jazdy i wyprowadzenie w pole wszystkich sił polskich. Wreszcie twierdził, że Tatarzy wykorzystają unieruchomienie wojska pod Chocimem,



wyniszczą wielkie połacie bezbronnego kraju i obróć ją w zgliszcza a popioły.

Ale przeciw wywodom naczelnego wodza podniosły się liczne głosy. Stanisław Lubomirski, kasztelan Żórawiński, podkomorzy Leśniowski, Jakób Sobieski i inni radzili „kunktacji raczej zażyć, a nie rzucać kostką o Rzeczpospolitą”. Dowodzili oni, że cała nadzieja kraju zamknięta jest obecnie w obozie pod Chocimem, że innych sił Polska nie posiada, a więc w razie nieszczęśliwego przebiegu generalnej bitwy, całe państwo wystawione będzie na zgubę. Ponadto zwracali uwagę na to, że zbliża się jesień, a z nią chłody, do których przywykli Polacy, a które dadzą się straszliwie we znaki owym ludom, co z dalekich a ciepłych krajów przygnane zostały aż nad granice Rzeczypospolitej.

Wielki hetman litewski słuchał uważnie wypowiedzianych racyj, ale nie dał się przekonać i pozostał sam ze swem zdaniem odmiennem. Ale gdy komisarze okazali mu świeży list króla, który z wydaniem bitwy radził czekać na przybycie nowych posiłków, gdy zaczęli dowodzić, że władza hetmańska nie może w tak ważnej sprawie stanowić wbrew radzie wojennej, stary wódz zamilkł i zapadł w posępne milczenie.

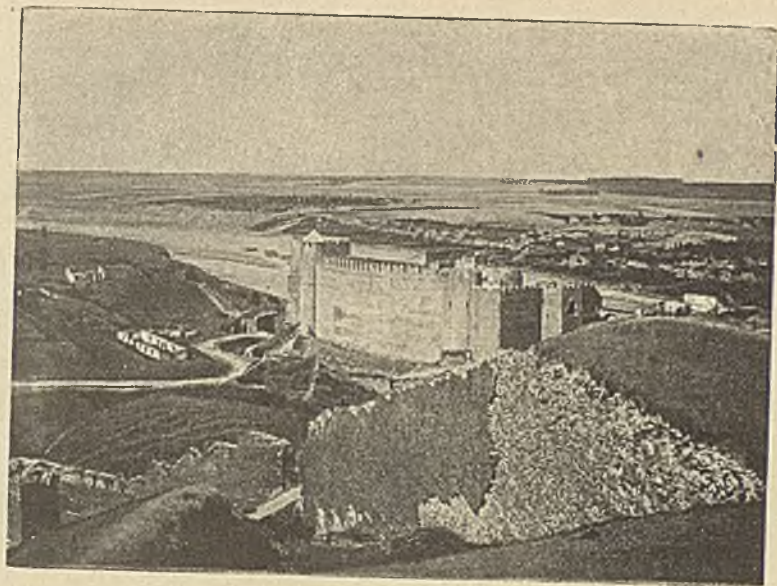
Zgnębiony przewagą ludzi młodszych, nie mogących równać się z nim doświadczeniem, skrępowany powrozami instrukcyj sejmowych, a nadto czujący upadek sił fizycznych, zamierzał oddać komendę naczelną Lubomirskiemu, którego talenty wojenne szacował wysoko. Ważył tę myśl, mocował się długo sam z sobą, ale wkońcu, licząc się widocznie ze złem wrażeniem, jakie złożenie dowództwa mogłoby

wywrzeć, poddał się zdaniu komisarzy i postanowił trwać na stanowisku, dopóki sił starczy.

Nazajutrz, dnia 3 września, skoro dzień zaświtał, liczne wojska tureckie zbliżyły się do szanieców Lubomirskiego. Odpędzone ogniem dział i piechoty, zwrócili się ku cerkwi, ale po krwawej walce i tutaj zmuszone były się cofnąć. Po południu wielkie masy tureckie, wspierane silnym ogniem ukrytych w lesie bateryj, ruszyły na tabor kozacki, lecz i ten szturm z wielkimi stratami został odparty. Niepowodzenie wrogów wznieciło taki zapał, że gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, z za szanieców wypadła czeladź i z takim impetem a tak wielką wrzawą ruszyła do ataku, że przestraszeni Turcy rzucili się do ucieczki. Popędzili za nimi żołnierze wraz z czeladzią i jak dnia poprzedniego wrócili do obozu z bogatemi łupami.

Był to drugi dzień oblężenia i druga porażka Osmana.

Przyszedł dzień 4-ty września, cięższy i krwawszy niż poprzednie, bo wielkie masy wojsk tureckich zaatakowały obie bramy hetmańskie, jednocześnie zaś janczarowie przypuścili gwałtowny ogień do piechoty niemieckiej i polskiej. Głównym przeciw celem ataków, prowadzonych z dziką furją, stał się i tego dnia tabor kozacki. Z usypanych w nocy szanieców działa tureckie zionęły nieprzerwanym ogniem i zasypywały wojsko zaporoskie ulewą żelaza. Olbrzymie dymy wzniosły się w niebo i ciemną chmurą, jakby pomroczą nocną przesłoniły słońce. Grzmot za grzmotem przewalał się w tej pomroce, stada pocisków z przeraźliwym świstem przecinały powietrze i z głuchym jękiem waliły się na ziemię. Huk był tak gwałtowny,



WIDOK ZAMKU CHOCIMSKIEGO



iż osiwiwały w bojach Chodkiewicz powiadał, że nigdy w życiu „tak wielkiej strzelby nie słyszał”. Pod osłoną tej strzelby raz wraz wynurzały się z dymów sprawne pułki janczarów, pędziły z groźnym okrzykiem ku pozycjom kozackim i, zbliżywszy się na strzał, dawały ognia z muszkietów. Kozacy, odpowiadziawszy salwą samopalów, wypadali za szzańce, wyrzucali z fantazją w powietrze swe czapki, poczem, ująwszy szable, pędzili wprost na nieustraszoną piechotę i w walce na białą broń odganiaли ją precz od okopów.

Chodkiewicz, czujny i baczny na wszystko, słał na pomoc posiłki dzielnym mołojcom, a w krytycznej chwili rzucił na plac boju Lisowczyków i kilka chorągwi rajtarskich. Turcy nie wytrzymali natarcia i w popłochu zaczęli się cofać. Na ten widok, porwani szałem bojowym kozacy, niepomini na niebezpieczeństwo, popędzili za uciekającymi, wpadli za nimi do lasu i, biegnąc wciąż naprzód, dotarli aż do baterij tureckich. Wyrąbawszy kanonierów, opanowali działa, mniejsze wrzucili do wężozów, a większe, przymocowane do drzew łańcuchami, zniszczyli, miążdżąc koła i lawety. Upojeni powodzeniem, pomknęli dalej aż w głąb obozu tureckiego i, szerząc przerażenie, zaczęli łupić bogate namioty. Ujrzawszy wielki huf jazdy, szykującej się do ataku, posłali gońca do hetmana z wieścią, że są już w środku obozu tureckiego i proszą o znaczne posiłki.

Chodkiewicz uradował się otrzymaną wiadomością, ale że noc zapadała, nie chciał, nie znając dobrze położenia, przedłużać niepewnej bitwy.

Dobrze o zmroku powrócili kozacy. Wielkie straty ponieśli w odwrocie, ale szalony ich zapęd przera-

zil Turków, a wśród wojsk polskich uważany był za wielkie zwycięstwo.

Po trzech dniach walk i szturmów w obu obozach zapanowała cisza.

Młody sultan, widząc ogromne straty wojsk swoich, szalał z rozpacz, gniewał się, lżył baszów, co sromotnie uciekali z pola, zgrzytał zębami, mówiąc o kozakach i odgrażał się, że nie spocznie dopóty, dopóki do nóg jego „siwy pies” Sahajdaczny nie będzie przywleczony.

Korzystając z zacisza, wojska polskie umacniały swe szanice, a Turcy przekopami, coraz bardziej zbliżali się do obozu polskiego. Przestrzeń, dzieląca siły nieprzyjacielskie, zmniejszyła się do ćwierć mili.

Dnia 7 września Turcy od samego rana zaczęli uderzać w różne punkty obozu, jakby szukając najsłabszego miejsca. Około południa, skutkiem opieszałości rotmistrzów Zyczewskiego i Śladkowskiego, pograżonych we śnie, wtargnęli w niedokończone szanice około bramy Lubomirskiego, wycięli 150 piechurów, obu śpiącym rotmistrzom odrąbali głowy i unieśli ze sobą 2 sztandary oraz 8 śmigownic. Pod wieczór ukazały się wielkie masy piechoty, a kilka tysięcy spahów uszykowało się w polu i ruszyło wprost na owe niedokończone szanice, gdzie wycięta została zaskoczona znienacka piechota i gardła dali dwaj nieszczęśni rotmistrze.

Widok tysięcy jeźdźców, pędzących w obłokach kurzawy ku niedokończonym szansom, przejął trwogą patrzących na ten zapęd żołnierzy, bo niebezpieczeństwo było ogromne.

Ale Chodkiewicz, przewidując atak, zawczasu przygotował kilka chorągwi husarji, które stały w szyku

bojowym i czekały tylko rozkazu, a po raz pierwszy miały w bitwie wziąć udział.

Najbliżej zagrożonych szańców znajdował się krajczy koronny Mikołaj Sieniawski na czele 200 husarzy. Opodal stała wyborowa chorągiew hetmańska, licząca 200 koni, dalej 150 husarzy kasztelana połockiego Zenowicza i 130 husarzy Rudominy. Była to garstka w porównaniu z mknącą ku obozowi lawiną spahów, ale była to sławna, acz dotąd lekceważona przez Turków, husarja polska.

Chodkiewicz, wyczekawszy odpowiedniej chwili, krzyknął na Sieniawskiego, by pierwszy uderzył.

Porwali się z miejsca skrzydlaci husarze i, złożwszy długie kopje, żelazną ławą runęli na olbrzymią masę ludzi i koni, na tysiące krzywych szabel, wzniesionych do ciosu. Z wielkim hukiem starły się pierwsze szeregi, a jazda nieprzyjacielska rozstała się zaraz, jak brama, rozwalona uderzeniem pioruna. Husarze, strzaskawszy o piersi Turków swe kopje, dobyli koncerzy, i chorągiew Sieniawskiego posuwała się naprzód, niby ruchoma skala wśród fal ryczącego morza.

Chodkiewicz posłał po posiłki do Lubomirskiego, następnie rozkazał Zenowiczowi uderzyć na prawe skrzydło, a Rudominie uczynić krąg i z lewego boku wpaść na nieprzyjaciół. Potem stanął na czele własnej chorągwi i, dobywszy szabli, poprowadził ją na wsparcie Sieniawskiemu. Biały adamaszkowy sztandar z herbem Chodkiewiczów, bujający ponad skrzydłami husarji, świadczył, że sam hetman wiezie rycerstwo swe do ataku.

Zamarły serca licznych widzów, przerażenie ogarnęło wszystkich, gdy dostrzeżono, jak sędziwy wódz



wpadł ze swą garstką w ciżbę wrogów i zginął w niej, jak w otchłani. Zakotłowało się na placu boju—i tuman przykrył walczących. Skroś ten tuman raz wraz błyskały tylko szable i koncerze, a szczęk żelaza i straszliwe jęki świadczyły, że bój trwa i toczy się z największą zaciekłością. Po pewnym czasie z kłębiącej się kurzawy zaczęli wypadać jeźdźcy tureccy, po kilku, po kilkunastu, coraz częściej i coraz gromadniej, aż wreszcie cała jazda nieprzyjacielska zawróciła z pola i w wielkim nieładzie zaczęła rwać ku swemu obozowi. Na karkach uciekających pędzili husarze. Potrzaskawszy swe kopje, walczyli koncerzami, a od piorunowych ciosów walili się spahowie i ginęli pod kopytami rozhukanych koni. Gdy posiłki, przysłane przez Lubomirskiego, wystąpiły do sprawy, już pole bitwy oczyszczone było od nieprzyjaciół, a Chodkiewicz na czele zwycięskich hufców wracał do obozu. Ale wracał żaloszny: jego chorąży, gdy zapędził się nieopatrznie, rozsiekany został na sztuki, a pamiątkowy sztandar Chodkiewiczów, świadek wielu sławnych czynów i zwycięstw, dostał się w ręce tureckie.

Dzień ten był dla Turków dniem klęski. Wielu zabitych, mnóstwo rannych zostało na pobojuwisku. Długo w noc widać było z szańców polskich, jak przy krwawem migotaniu kagańców snują się Turcy po polach i unoszą swych rannych. Dwóch baszów poległo dnia tego. Ze strony polskiej padło i odniosło rany kilkudziesięciu towarzyszy i wielu pacholików, a kasztelan połocki Zenowicz otrzymał postrzał, który go życia pozbawił.

Następnego dnia panowała cisza, lecz 9 września armaty tureckie rozpoczęły gwałtowny ogień i znowu

obóz kozacki z wielką gwałtownością acz bezskutecznie był atakowany.

Tymczasem, jak to przewidywał Chodkiewicz, Tatarzy pod wodzą dzikiego Kantemira przeszli Dniestr, spustoszyli Podole i powróciwszy z wielkim jassyrem, rozłożyli się po drugiej stronie rzeki. Widziało wojsko polskie, jak nieszczęsnych jeńców używa dzicz tatarska do posług, jak ich katuje i dręczy. A widząc to, zżymało się, lecz nie mogąc przyjść jeńcom z pomocą, zlorzeczyło i upadało na duchu. A w obozie polskim zaczął już dawać się we znaki brak żywności i paszy dla koni.

Hetman, widząc konieczność przedsięwzięcia kroków stanowczych, zaproponował radzie wojennej wielką wyprawę nocną na Turków. Bardzo gorąco poparł ten projekt Konaszewicz—i wyprawa została postanowiona. Ale w oznaczonym terminie spadł ulewny deszcz i projekt trzeba było odłożyć. Później kozacy objawiali niechęć do wyprawy, a co gorsza! z powodu dokuczającego im głodu, zaczęli szemrać i zmawiać się z sobą. Tysiące mołojców snuło się po obozie polskim i żebrało o chleb oraz o paszę dla koni. Pomagali im Polacy, jak mogli, sami cierpiąc głód, oddawali swoje zapasy, a własne konie karmili liśćmi dębiny, byle zaspokoić żądania kozackie. Lecz szemrania nie ustawały i sam Konaszewicz Sahajdaczny zaczął obawiać się buntu. Straszliwe niebezpieczeństwo zawisło nad obozem polskim. Chodkiewicz zwołał radę wojenną, by przedsięwziąć środki zaradcze. Wydelegowani do kozaków Lubomirski, Sobieski i senator Opaliński obietnicą wypłacenia ponad żold znacznej nagrody pieniężnej i uprzejmemi słowy pozyskali sobie starszyznę i szczęśliwie zażegnali burzę.

Ale i wśród wojska polskiego przejawiało się codziennie coraz większe niezadowolenie. Kończyła się żywność, wyczerpywały się prochy i kule, zaczynała się dezercja. Niepokój ogarniał umysły, lęk przenikał serca.

Sprawdzały się przepowiednie Chodkiewicza.

W takim to czasie do obozu polskiego zawitał znowu Wewelli. Przywoził tym razem list hospodara mołdawskiego Raduły, który, udając życzliwość dla Polaków, straszył hetmana potęgą sultańską i namawiał go, by niezwłocznie wszczął z wielkim wezyrem układy o pokój. Było to dowodem, że sułtan, pokosztowawszy oręża polskiego, stracił pewność siebie, gdyż list bez wiedzy wezyra nie mógł być wysłany.

Uradowali się komisarze i parli do układów.

Na naradzie u hetmana pragnienie zawarcia pokoju wyraziło się z taką siłą, że Chodkiewicz, widząc w tem pragnieniu zupełny upadek ducha, dał gniewną komisarzom odpowiedź. A w tej odpowiedzi zajaśniała pełnią swego blasku wielka i zarazem nieulękła dusza hetmana, przejawił się umysł bystry i przenikliwy, zadźwięczała zahartowana w walce z przeciwnościami losu wola ze spiżu. Schorzały wódz, z największym wysiłkiem trzymający się jeszcze na nogach, niemal w obliczu śmierci, która owiewała go już swoim lodowatym tchnieniem, stanął, jak olbrzym wobec tych mężów, niewątpliwie dzielnych, zdolnych do poświęcenia i bohaterstwa, ale szarpanych już pazurami zwątpienia.

— „Wiem.—zaczął Chodkiewicz— że ten nieprzyjaciel nam tak straszny, jakośmy go sobie kładli, nie jest tak mocny, aby nas przemóc mógł... Mieczem nas zwojować nie może, boby już to rad uczynił”...



Głodem także wziąć nie potrafi, bo sam również głód cierpi, a niezliczone tłumy ma do wykarmienia. Dowodem jego słabości jest właśnie otrzymany list hospodara i owe groźby w tym liście zawarte, któremi — wołał hetman — dobrze jest „żaki straszyć”, ale nie rycerskich mężów.

Ponieważ skarżono się na dezercję, więc Chodkiewicz mówił, że dezertują tchórze i żadna z tego nie wypływa szkoda, bo lepiej, że uciekają z obozu, niżby mieli uciekać z pola bitwy. Użalano się na jassy, który pobrali tatarzy, na męczarnie nieszczęśliwych więźniów, których po drugiej stronie rzeki niemal na oczach wojska wiążą i męczą. Na to odpowiadał, że nie traktaty zaczęte nie w porę uwolnią owych nieszczęśników z rąk dziczy, bo nie jednaniem, lecz krwią zdobywa się pokój honorowy. Za mało jeszcze tej krwi przelano, aby o pokoju myśleć.

Zamilkli komisarze na ten głos lwa, nie mogąc nie przyznać mu słuszności.

Wtedy dopiero Chodkiewicz, widząc, że przekonał zebranych, zgodził się odpowiedzieć hospodarowi i wysłać list do wezyra, ale nie po to, by zawrzeć pokój „ladajaki”, ale by dać dowód, że i on sam nie odrzuca myśli o pokoju, gdy myśl tę podsuwa mu chytry przeciwnik. Nie chciał przecież, aby ktokolwiek się ludził, że przyszedł czas na traktaty i przywiązywał zbyt wielką wagę do propozycji hospodara. Żądał też hetman, aby, wysyłając jego listy, wybrano człowieka, któryby umiał znaleźć się wobec pogan i godnie bronić „honoru ojczyzny naszej milej”.

— „Zbroję mą — pisał do hospodara — przywdziałem jedynie dla obrony ojczyzny i przywrócenia pokoju, nie zaś w chęci wydania i prowadzenia wojny”.

Ale zarazem upewniał, że gotów jest raczej zginąć, niż patrzeć na nieszczęścia narodu. Na pogróżki o potędze tureckiej odpowiedział, by raczej sułtan, którego poprzednikom wielce na zgodzie z Polską zależało, baczył, aby monarchowie chrześcijańscy nie wykorzystali sposobności dla połączenia swych sił przeciw państwu otomańskiemu.

Pełen godności był również list do wezyra.

Oba pisma zawiózł do obozu tureckiego Jakób Zieliński, ale Turcy, pragnąc, by żądanie pokoju wyszło ze strony polskiej i przewidując konieczność wszczęcia układów, jeszcze nie wyrzekli się myśli o zwycięstwie. Poprzedniego dnia przybył z posiłkami basza budzyński, Karakas, głośny wojownik turecki i perspektywą zdobycia szturmem obozu polskiego ożywił nadzieje Osmana.

Jakoż w dniu 15 września, jakby dla potwierdzenia słów Chodkiewicza, że czas na układy nie nadszedł, zakotłowało się w obozie tureckim i masy wojsk, jakich jeszcze w tej wojnie nie widziano, wyruszyły do szturmu. 70.000 ludzi oddał sułtan pod dowództwo Karakasowi i sam opuścił swój namiot, aby być świadkiem zwycięstwa.

W obozie polskim na widok tej potęgi, występującej do boju, zagrały na alarm trąby, zahuczały bębny i całe wojsko stanęło na szanłach. Chodkiewicz zajął miejsce przy bramie, a wielki pułk królewicza trzymał w pogotowiu. Z obu stron odezwały się działa, potężny huk wstrząsnął powietrzem — i ściśnione kolumny tureckie ruszyły ku okopom. Zawrzała bitwa, a Karakas basza wysunął się na czoło i zagrzewając swych żołnierzy, sam wystawiał się na największe niebezpieczeństwa. Niedługo przecież to trwało. Ra-

żony kulą w głowę, padł mężny basza z konia, a śmierć wodza wywołała popłoch wśród żołnierzy. Szturm zwyciężył. Na niczem spełżyły wielkie nadzieje Osmana.

I znowu kilka dni upłynęło bez walki, ale w obozie polskim wzmogło się szemranie. Wyrzekano na głód, skarżono się na niewypłacenie zaległego żołdu, szeptano, że amunicja jest na wyczerpaniu. Coraz większe wzburzenie rosło wśród wojska — bunt wisiał w powietrzu.

Chodkiewicz czuł, że uchodzi zeń życie, ale zachował umysł jasny i czuwał do ostatniej chwili. Wiedząc dobrze, co się dzieje w obozie, postanowił uczynić próbę zażegnania owej klęski, która tyle razy zwycięski oręż wytrącała mu z ręki, a której lada dzień można było oczekiwać.

W tym celu na dzień 18 września rozkazał zwołać koło generalne, a do namiotu swego, w którym choroba powaliła go na łożo, zawezwał komisarzy, pułkowników, rotmistrzów i starszyznę zaporoską z Sahajdacznym na czele. Gdy zebrali się wszyscy, zabrał głos i wśród głębokiej ciszy przedstawił bardzo ciężkie położenie wojska. Potwierdził wszystko, o czem pokątnie szemrano, oświadczył, że niema żadnej nadziei szybkiego wypłacania żołdu, ani też jakichkolwiek widoków na polepszenie sytuacji. Przyznając, że amunicja jest na wyczerpaniu, rzucił pytanie, azali nie byłoby najwłaściwiej opuścić Chocim i oddać go Turkom?

Zdumieni się słuchacze i spoglądali po sobie z niedowierzaniem. Głucha cisza zapadła w namiocie. Nikt nie spodziewał się takiej mowy, nikt nie przypuszczał, by niezwalczony hetman mógł myśleć o odwrocie. Dopiero gdy Chodkiewicz, unosząc się na łożu, we-



zwał zebranych, by otwarcie wypowiedzieli swe zdanie i począł bystro a badawczo spozierać w oczy zdumionym rycerzom, zrozumieli go wszyscy. Wielki krzyk powstał w namiocie. Komisarze, pułkownicy, rotmistrze, atamani, zgodnie zaczęli wołać:

— „Nie tylko głód, ale i śmierć tu wytrwać raczej, a niż ustępować placu!”

Zapał ogarnął rycerstwo. Trzaskano w szable, wołano o rozkazy do boju, przysięgano sobie polec co do nogi, a kroku nie ustąpić, tych zaś, coby myśleli inaczej, obiecywano rozsiekać na sztuki.

Uradował się Chodkiewicz, widząc, że nie zawiodła go próba, dziękował zebranim, obiecał sprowadzić żywność, przyrzekł trzymiesięczny żołd wypłacić każdemu, kto się dobrze pod chorągwią zasłuży i, zachęcając do trwania przy sztandarach i walki za ojczyznę, zawołał ze wzruszeniem:

— „Do ostatniego tchu pójdę na waszem czele, gdziekolwiek nas losy ojczyzny zawezwą!”

Pod olbrzymiem wrażeniem opuszczali wszyscy namiot hetmański.

Radością promieniejące rycerstwo wyszło z namiotu Chodkiewicza — pisał uczestnik tej podniosłej sceny, Jakób Sobieski. — „Jedni, podawszy wzajem prawie, jakby zobopólną pomoc sobie obiecywali. Inni, co już byli uciekli, teraz wrócili, złorzecząc tym, co ich skusili. I nie słyszałeś w obozie innego okrzyku, prócz tych słów:

— „Tu stojąc, umrzeć! tu raczej oczekiwać ostatecznej klęski, niż opuszczać chorągwie!...”

Było to już ostatnie zwycięstwo Chodkiewicza. Raz jeszcze odwrócił klęskę buntu i całe wojsko natchnął zapałem. Ostatni raz. Bo choroba z godziny

na godzinę czyniła postępy i wielki wódz, acz interesował się wszystkim i wydawał jeszcze zarządzenia, zaczynał już dogorywać. Gdy dnia 23 września weszli do namiotu wezwani komisarze i wyżsi wojskowi, hetman nie mógł już mówić i tylko Lubomirskiemu dawał znak, że powierza mu buławę i dowództwo nad wojskiem.

Tegoż dnia w południe umieszczono Chodkiewicza w karecie i odwieziono do zamku chocimskiego. Starszyzna chciała zataić przed wojskiem ciężki stan chorego, ale wszyscy domyślali się, co znaczą te przenosiny. Z powodu swojej surowości wielu niechętnych miał Chodkiewicz wśród wojska, ale w tej chwili, na widok pojazdu, uwożącego z obozu wielkiego wodza, żal ścisnął najtwardsze serca i wzruszenie dławilo gardła. Cisnęli się do karety żołnierze, szli za nią, a szlochanie wstrząsało piersiami. Po całym obozie słychać było płacz.

Tak wojsko, przeczuwające nieszczęście, żegnało swojego wodza.

Nazajutrz, dnia 24 września 1621 roku, o godzinie drugiej po południu, zmarł na zamku chocimskim niezwyciężony hetman wielki litewski. Zwłoki jego przewiezione zostały do Kamieńca, a po pewnym czasie zabrała je żona do Ostroga i tam prochy jednego z największych synów Polski złożyła uroczyście na wieczny odpoczynek.

---

Śmierć Chodkiewicza starano się zataić w obozie polskim. Jeszcze czas jakiś jego imieniem podpisywał rozkazy Stanisław Lubomirski. Ale sułtan już nazajutrz otrzymał przez szpiegów wiadomość o zgonie

straszego wodza i postanowił wykorzystać tę okoliczność. Dnia 25-go września prawie wszystkie pulki tureckie, tak piesze, jak konne ruszyły ku szafcom polskim, a odparte zwycięsko, dnia 28 go ponowiły szturm, który był najstraszniejszy ze wszystkich, a najwięcej ofiar pochłonął ze stron obu. Lecz był to już ostatni wysiłek, na jaki zdobyli się Turcy. Przerażeni stratami, zniechęceni, wyczerpani, nie śmieli czynić prób dalszych. Było to wielkie szczęście dla wojsk obleżonych i dla Rzeczypospolitej, bo po ostatnim szturmie w całym obozie polskim pozostała zaledwie jedna beczka prochu: następnego szturmie nie mogłoby już wojsko odeprzeć. W tych ciężkich dniach z wielkim talentem sprawował odziedziczone po Chodkiewiczu dowództwo Stanisław Lubomirski i dzielnie stawał rycerski królewicz Władysław.

Duch zmarłego wodza żył w całym wojsku, wiódł je do zwycięstw — i dnia 9 października 1621 roku doprowadził do owego honorowego traktatu, o którym mówił przed zgonem nieugięty hetman.

Sława wojowników chocimskich długo rozbrzmiewała po Europie.

---



## ZAKOŃCZENIE.

Niemal cały żywot Chodkiewicza, odkąd ukazał się na szerszej widowni publicznej, upłynął wśród trudów obozowych, w huku armat i zgiełku bitewnym. Szła za nim sława, a przed nim nieustannie piętrzyło się morze trudności. Jego zwycięstwa, co podziw świata budziły, prawie zawsze poprzedzała walka z otoczeniem i zwycięstwa, odniesione nad towarzyszami swej sławy. Pierwszemi głośno szczylił się naród, drugie głuchem milczeniem topił w mrokach niepamięci. Tymczasem dopiero te podwójne zwycięstwa dają właściwą miarę wielkości Chodkiewicza. Współczesność nieraz oceniała słusznie jego wiekopomne czyny, ale nie знаła ich całkowitej wartości. Kiedy w r. 1609-ym wielki wódz oddawał w Wilnie królowi zdobyte na Szwedach chorągwie, podkanclerzy koronny Feliks Kryski wygłosił mowę, w której pięknie uczcił zwycięzcę.

„ — Podał waszmości zgoła Pan Bóg, mości panie hetmanie, na przewagi uszom ludzkim niepodobne, straszne, rycerstwu państw jego król. mości sławne, a męstwu rąk waszmości przystojne. Wielką waszmość nieraz w zatrwożonych czasiech i ojczystych Rzeczypospolitej trudnościach sprawujesz radość, nie-

spodziewane jego król. mości, panu swemu z nieprzyjaciół jego zwycięstwa przynosisz, nieśmiertelne narodom naszym imię a sobie, by to u postronnych było, zawołane triumfy... Mało o takich hetmanach w kronikach czytamy, którzyby oraz wodza i żołnierza odprawowali powinności. Dzieła rąk twoich albo pierwsze w kronikach, albo z pierwszymi bojownikami porównane będą. Serce i męstwo waszmości onym narodom obojga państw, z których krwie idziesz, nieśmiertelną sławę przynoszą... Jeśli my drudzy pół wieku w próżnowaniu tracim, waszmość wiek swój wszystek pięknie prowadzisz i żyjesz, wszystkie dni swoje i nocy pracą i czułością, a prawie potem rąk swoich panu swemu i ojczyźnie poświęcił”...

W takich podniosłych słowach składał dziękczynienie od tronu podkanclerzy Kryski, a słowa podobne nieraz obijały się o uszy bohatera. Ale ten bohater częściej słyszał wrzawę niezadowolenia i syczące okrzyki zawiści, częściej musiał walczyć z trzaskającymi weń intrygami magnatów, z małodusznością króla, z występłą a jałową krzykliwością sejmów, z obojętnością całego narodu. I tutaj dopiero ukazuje się w pełnym blasku druga strona jego wielkości: żadne przeciwiństwa nie zdołały oderwać go od pełnienia twardego obowiązku w służbie dla milej ojczyzny, żadna siła nie mogła złamać hartu jego ducha.

Szczera prawda tkwi w prostych a pięknych słowach, które z żołnierską otwartością, śmiało, a bez fałszywej skromności napisał hetman do króla w liście z dnia 22 maja 1613 roku:

„ — Oświadczone są tylekroć waszej król. mości usługi moje, oświadczona zyczliwość i nieoziębiona na każde skinienie ochota. Doznałeś wasza król. mość

w sprawach swych szczerzo pałającego serca mego, doznałeś pracy i trudów, a w nich nie pozoru tylko, ani farbowanych ozdób, ale samą istotną rzecz, samą cnotę. Gdzie słowy służyć przyszło, służyłem rzeczą, gdzie rzeczą, służyłem zdrowiem, nie oglądając się na żadne zazdrości i zwaśnienia, na żadne razy, ani utraty. Świadkiem mi są Inflanty, świadkiem domowy uszczerbek i ten siwy włos, który nie z rozkoszy, ani z czasów domowych, prędzej nad lata głowę moją opędził”...

Jako wódz i statysta oddał cały swój genjusz na usługi Rzeczypospolitej, ale podobnie, jak jego bohaterski kolega, Stanisław Żółkiewski, nie miał się doczekać owoców swych nadludzkich wysileń i głośnych na świat cały zwycięstw. I w tem tkwi tragedia jego żywota: wiekopomnych jego czynów nie umiał naród przekuć na trwałą zdobycz polityczną. Przy większej dojrzałości społeczeństwa, przy współdziałaniu innego króla, dzieła Chodkiewicza i Żółkiewskiego mogły zawążyć na losach Europy, zdobyć państwu szacunek świata i wznieść ojczyznę do tej potęgi, jaką zwycięscy hetmani nosili w swych piersiach. Niestety, obaj wielcy mężowie musieli patrzeć, jak giną marnie ich świetne pomysły, jak niszczejają ich wielkie plany i zadziwiające czyny. Więc jak w Żółkiewskim, tak w Chodkiewiczu niejednokrotnie gromadziła się gorzycz i dyktowała obu krwawe a bolesne słowa. Hetman wielki koronny z cichą rezygnacją niósł swoje brzemie, a nieustannie szarpany przez opinię, marzeniem o chwalebnej śmierci w walce za ojczyznę osładzał sobie życie, pełne zawodów i smutków. Hetman wielki litewski nie miał w sobie tego cichego poddania się losowi. W niezwyciężonym wodzu, jak



w wulkanie kłębiły się namiętności, a gwałtowny temperament mimo siwych włosów ciągle go unosił. Gniewał się i srożył, ale podobnie jak Żółkiewski, do ostatniego tchnienia nie wypuszczał z rąk miecza. Nie danem mu było paść w bitwie z rąk wroga, ale i on nie umierał w domu, ale w obozie, wśród gromów armatnich i szczęku oręża, w przededniu triumfu, którego już nie doczekał, ale który przygotował bartem swego ducha.

Żywoty wielkich ludzi nigdzie zazwyczaj nie upływały w spokoju. Żywoty wielkich Polaków nie tylko wypełniała walka z nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim walka ze straszliwymi wadami i tragiczną niefrasobliwością własnego narodu. Ta niefrasobliwość i te wady kładły się zaporą na drodze wielkich planów, obalały wielkie idee, niweczyły najwspanialszy dorobek, zdobyty krwawym wysiłkiem jednostki. Te wady tak głęboko zaczęły przenikać życie polskie, że w najtrudniejszych chwilach wielcy nasi mężowie sam na sam stawali wobec niebezpieczeństw, co zagrażały dobrej sławie narodu, a nawet ojczyznę wystawić mogły na zgubę. Wielki Polak za całą Polskę musiał nieraz starczyć, za cały naród musiał mieć charakter i siłę moralną.

Przykładem takiego charakteru i takiej siły jest żywot Chodkiewicza.

Koniec.

## LITERATURA.

Poniżej wykaz źródeł i opracowań, z których autor głównie korzystał przy pisaniu pracy niniejszej.

I. **Korespondencje Jana Karola Chodkiewicza.** Opracował i opisał Wł. Chomętowski. Warszawa 1875. — **Pisma Stanisława Żółkiewskiego** kanclerza koronnego i hetmana. Wydał August Bielowski. Lwów 1861. — **Rajnolda Hejdensztejna: Dzieje Polski.** Tom II. Petersburg 1857. — **Kronika Pawła Piaseckiego**, biskupa przemyskiego. Kraków 1870. — **Źródła do dziejów polskich** wydawane przez Mich. Grabowskiego i Aleks. Przeździeckiego. Tom I. Wilno 1843. — **Jakóba Sobieskiego: Pamiętnik wojny chocimskiej.** Petersburg 1854. — **Tegoż: Diarjusz wojny tureckiej pod Chocimiem r. 1621.** — **Jana hrabi z Ostroroga: Dziennik wojny tureckiej w Wołoszech.** — **Prokopa Zbigniewskiego: Diarjusz.** — **Stanisława Lubomirskiego: Diarjusz wojny polskiej z Turkami pod Chocimiem r. 1621.** — Cztery ostatnie diarjusze wydał razem Żegota Pauli w Krakowie r. 1853 p. t.: **Pamiętniki o wyprawie Chocimskiej.** Autorstwo diarjusza, przypisywanego Lubomirskiemu kwestjonuje prof. J. Tretiak. — **Stanisława Łubieńskiego: Rozruchy domowe od r. 1606 po 1608** drukowane w Pismach pośmiertnych. Petersburg i Mohilew 1855. — **Jan Karol Chodkiewicz i Jan Weyher** pamięcią pogrzebną wspomnieni od W. O. X. Fabjana Birkowskiego. W Krakowie 1627. — **Nowiny z Inflant: O szczęśliwej porażce, która się stała nad Karolusem...** W Krakowie 1605. — **Pamiętnik Teodora Jewłaszewskiego.** Warszawa 1860. — **Historja wojny moskiewskiej** przez Mikołaja Ścibora z Marchocic Marchockiego. W Poznaniu 1841. — **Żywot Tomasza Zamojskiego** napisał Stanisław Żurkowski. Lwów 1860. — **Pamiętniki S. muela Maskiewicza.** Wilno

1838.—**Herby Rycerstwa Polskiego** przez Bartosza Paprockiego. Kraków 1858.—**Herbarz Polski** Kaspra Niesieckiego S. J. Tom III. W Lipsku 1839.—**Złota księga szlachty polskiej**. Rocznik XI. W Poznaniu 1889.—**Collectanea z dziejopisów tureckich...** przez J. J. Sękowskiego. W Warszawie 1824.

II. A. Naruszewicz. **Historja Jana Karola Chodkiewicza**, wojewody wileńskiego, hetmana W. X. L. 2 t. Warszawa 1781.—**Strona moralna Jana Karola Chodkiewicza, wyczytana z jego listów** przez Seweryna Gołębiowskiego. Biblioteka Warszawska. 1854. Tom III.—**Jan Karol Chodkiewicz w domowych swych stosunkach** przez K. Wł. Wójcickiego. Tygodnik Ilustrowany 1864.—**Bitwa pod Kircholmem** przez kapitana Ferdynanda Kudelkę. Ateneum 1883. Tom III. Tadeusz Korzon: **Dzieje wojen i wojskowości w Polsce**. Tom II. Kraków 1912.—Dr. Ludwik Kubala: **Jerzy Ossoliński**. Tom I. Lwów 1883.—Aleksander Hirsberg: **Maryna Mniszchówna**. We Lwowie 1906.—**Dzieje Panowania Zygmunta III** przez J. U. Niemcewicz Tom 3. W Krakowie 1860.—Józef Tretiak: **Historja wojny chocimskiej**. Kraków 1921.—**Dawna Akademia Wileńska** przez Michała Balińskiego. Petersburg 1862.—Wacław Sobieski: **Żółkiewski na Kremlu**. Warszawa—Kraków 1920.—Józef Szujski: **Dzieje Polski**. Tom III. Kraków 1894.—Joseph von Hammer: **Geschichte des osmanischen Reiches**. Tom III. 1828.—**Geschichte Schwedens von Erik Gustav Geijer**. II Band. Hamburg 1 34.

---



## T R E Ś Ć.

---

	Przedmowa . . . . .	5
I.	Chodkiewicz . . . . .	13
II.	Wojna ze Szwecją . . . . .	33
III.	Zwycięstwa Chodkiewicza. Kircholm/ . . . . .	46
IV.	Stracone triumfy . . . . .	75
V.	Wojna moskiewska/ . . . . .	97
VI.	Polska a Turcja . . . . .	118
VII.	Chocim . . . . .	130
VIII.	Ostatnie zwycięstwa i śmierć Chodkiewicza . . . . .	144
	Zakończenie . . . . .	165
	Mapa i plan bitwy pod Kircholmem według ry- sunku kapitana Ferdynanda Kudelki	

## R Y C I N Y.

J. K. Chodkiewicz . . . . .	1
Zygmunt III . . . . .	40
Piotr Sapieha . . . . .	66
Lew Sapieha . . . . .	104
Królewicz Władysław . . . . .	112
Widok zamku chocimskiego . . . . .	134

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~



STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

K 19832